



MONUMENT 14

NIEBO W OGNIU

EMMY LAYBOURNE



W PRZYGOTOWANIU
KOLEJNY TOM CYKLU

MONUMENT 14

WŚCIEKŁY WIATR

MONUMENT 14

NIEBO W OGNIU

EMMY LAYBOURNE

PRZEKŁAD MARIA SMULEWSKA

Dom WYDAWNICZY REBIS

Tytut oryginału *Monument 14. Sky on Fire*

Copyright © 2013 by Emmy Laybourne *All rights reserved*

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2014

Redaktor Agnieszka Horzowska

Projekt okładki i ilustracji Rich Deas i Kathleen Breitenfeld

Fotografia drogi na okładce © 2013 Cain Pascoe

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki Sławomir Folkman

prawolubnl

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty. Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl Polska Izba Książki

Wydanie I Poznań 2014

ISBN 978-83-7818-605-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74 e-mail: rebis@rebis.com.pl, www.rebis.com.pl

Łamanie: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl

Nada I Samowi

***Do kogokolwiek, kto to znajdzie:
Oto zadanie matematyczne do
rozwiązania.***

***Ośmioro dzieciaków, które nie
powinny być wystawione na kontakt z
powietrzem dłużej niż 30-40 sekund, bo
wiąże się to z okropnymi
psychotycznymi zaburzeniami,
wyruszyło w ponad stukilometrową
podróż po ciemnej autostradzie w
szkolnym autobusie, który przetrwał już
koszmarne gradobicie oraz wjazd przez
szyby do hipermarketu Greenway (gdy
kierowała nim jeszcze pani Wooly).
Narażają się na ataki i opóźnienia
wywołane bliżej nieokreśloną liczą
potencjalnym przeszkód, takich jak:
obłąkani z powodu chemikaliów
mordercy, gangi, barykady i inne
utrudnienia na drogach.***

***Oblicz, jakie mają szanse dotrzeć na
międzynarodowe lotnisko w Denver,
gdzie – jak wierzą – zostaną uratowani.***

***Wiem, brakuje wam istotnych danych,
więc nie da się tego porządnie obliczyć.
Ale jeśli znacie się choć trochę na
matematyce – jeśli macie choćby
mgliste pojęcie o teorii
prawdopodobieństwa – to wiecie jedno:
mamy przekichane.***

***I dlatego piszę ten list. Żebyście
wiedzieli, kto tu był, gdy już to
znajdziecie.***

W autobusie jadą ze mną:

Niko Mills – nasz przywódca. Chodzi (a raczej chodził) do drugiej klasy liceum Lewisa Palmera. Jest skautem i ma grupę krwi A, co oznacza, że jeśli będzie wystawiony na działanie powietrza dłużej niż minutę, zacznie pokrywać się pęcherzami i umrze.

Brayden Cutlass – drugoklasista. Grupa krwi AB, więc będzie cierpieć na urojenia paranoidalne, ale to i tak nie ma większego znaczenia, bo jest prawie zupełnie nieprzytomny. To on jest powodem, no, w każdym razie jednym z powodów, dla których próbujemy dostać się do Denver.

Został postrzelony w ramię przez jednego z ludzi z zewnątrz, których wpuściliśmy do Greenwaya.

Szpital w Monumencie jest zamknięty, ale powiedziano nam, że na lotnisku są lekarze, bo tam się podobno odbywa ewakuacja.

Josie Miller – pierwsza klasa liceum. Grupa AB. Jedna z najmilszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek w życiu spotkałem. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Tak pisze dla porządku.

Sahalia Wenner – trzynastolatka, ale chyba jej się wydaje, że już jest w liceum. Grupa B, tak jak ja. Żadnych widocznych skutków, ale prawdopodobnie „zaburzenia funkcji rozrodczych”, czyli żadne z nas nie będzie mogło mieć dzieci. Hura.

Batiste Harrison – druga klasa podstawówki. Grupa B, tak jak ja i Sahalia. Lubi nam czasem prawić kazania. Nie ulega wątpliwości, że chodzi do kościoła, ale jakiego, nie wiem.

Ulysses Dominguez – pierwsza klasa podstawówki. Grupa AB. Angielski: nie najlepszy.

Max Skolnik – też pierwszoklasista. Grupa A. Szalone włosy i szalone historie. Ale teraz i tak nie widać jego włosów ani nie słychać jego historii, bo jest wciśnięty w pięć warstw ubrań i do tego ma maskę. Jak my wszyscy.

To już cała ekipa w autobusie. Ale część z nas została. Na przykład mój głupi szesnastoletni brat Dean Grieder.

Został w Greenwayu na Old Denver Highway w Monumencie, w Kolorado, z następującymi osobami:

Astrid Heyman – maturzystka. Grupa 0. Dziewczyna głupich marzeń mojego brata, która, swoją drogą, nawet nie jest miła i na moje oko w ogóle nie jest zainteresowana moim bratem choćby jako przyjacielem, a już na pewno nie kimś więcej.

Chloe (nie pamiętam nazwiska) – trzecia klasa podstawówki. Typ 0. Nieznośna.

Carolina McKinely – zerówka i Henry McKinley – zerówka. To bliźniaki. Grupa AB.

Do tego, kto znalazł ten notatnik, błagam – jedź lub jedźcie uratować mojego brata i pozostałych. Może nadal czekają w Greenwayu na pomoc.

Dean powiedział, że został, bo on, Astrid i Chloe mają grupę 0 i zmieniliby się w krwiożercze potwory, gdyby wystawić ich na działanie chemikaliów, ale zamierzaliśmy ich przecież związać i uśpić. Nic by im nie było.

Proszę bardzo. Oto macie już czarno na białym, jak głupią decyzję podjął mój brat. Choć z drugiej strony, jeśli właśnie wyciągnęliście te kartki ze zwęglonego wraku naszego autobusu i zamierzacie jechać do Greenwaya ich uratować, to może wychodzi jednak na to, że to on podjął słuszną decyzję.

Chciałem tu także wspomnieć o Jake’u Simonsenie. Maturzystą. Grupa B. Choć opuścił nas podczas rekonesansu, zasługuje na to, by go tu wymienić, ponieważ należał do początkowej czternastki z Monumentu.

To tyle na razie.

***Alex Grieder – lat 13, grupa B
28 września 2024***

ROZDZIAŁ 1

DEAN

DZIEŃ 12

TO BYŁ WSPANIAŁY MOMENT. ASTRID TULIŁA CAROLINE I HENRY'EGO.

Luna szczekała i lizała wszystkim twarze, jak dawała radę dosięgnąć.

Wszyscy oczywiście mieliśmy po pięć warstw ubrań, które miały chronić naszą skórę przed chemikaliami. Ja miałem jeszcze maskę. A Chloe leżała obok na materacu, w masce, w warstwach, uśpiona. Ale dla nas w Greenwayu była to piękna chwila.

Widok Astrid całującej małe, brudne, piegowate buźki sprawił, że poczułem się przez chwilę szczęśliwy, pełen nadziei. Czuję, że moje serce pełne jest miłości do niej. Ze mała od tej miłości nie pęknie.

A potem Astrid wzięła głęboki wdech.

I zobaczyłem, że jej nozdrza zaczynają się poruszać. Odetchnęła zbyt głęboko i wiedziałem już, że właśnie wpada w szal.

- Dlaczego zostaliście?! – zawyła. - Wy głupie, DURNE BACHORY, DLACZEGO ZOSTALIŚCIE?

Przycisnęła bliźniaki do piersi, każdą dłonią jedną rudą główkę. Przycisnęła za mocno.

Musiałem jej wyrwać dzieciaki i ją obezwładnić.

To by było na tyle, jeśli chodzi o wzruszające chwile w Greenwayu.

Caroline i Henry płakali, a ja usiłowałem utrzymać Astrid przyciśniętą do ziemi.

- Przynieście jej maskę! – wydarłem się.

Astrid wyrywała się i szarpała.

Luna szczekała jak oszalała.

- Caroline! – ryknąłem, ale mój głos był zduszony przez materiał maski. – Biegnij po maskę! Daj mi ją!

Astrid upuściła swoją maskę na podłogę, gdy zobaczyła bliźniaki, i rzuciła się, by je tulić.

Caroline przyniosła maskę. Astrid kopała i wyrywała się. Musiałem się naprawdę mocno postarać, żeby ją utrzymać przy ziemi.

- Załóż jej maskę! - krzyknąłem.

Zapłakana Caroline wcisnęła Astrid maskę na twarz.

Podbiegł Henry i pomógł jej ją zamocować.

- Przestań ze mną walczyć! – wrzasnąłem na Astrid. - Zaraz ci przejdzie. To tylko odrobina chemikaliów. Już możesz oddychać.

- Wciśnij mocniej – powiedział Henry do Caroline, a dziewczynka skinęła głową.

Wcisnęli maskę mocniej.

Astrid spojrzała na nas, na mnie. Wściekłość w jej błękitnych jak niebo oczach ustępowała powoli, aż w końcu je zamknęła i poczułem, jak jej ciało pode mną się rozluźnia.

Zostałem jednak na niej, póki nie wycharczała:

- Już w porządku.

Podniosłem się na kolana, potem całkiem wstałem.

Astrid uniosła rękę i położyła ją na masce. Ostrożnie odsunęła bliźniaki.

Caroline poklepała ją po plecach.

- Nie przejmuj się. Wiemy przecież, że to nie byłaś prawdziwa ty.

- Jasne - poparł ją Henry. – To była Potworna Astrid, nie Prawdziwa Astrid.

- Chodźcie – powiedziałem. - Musimy połączyć bramę! I to szybko!

Musieliśmy ją otworzyć, żeby wypuścić autobus z Aleksem, Nikicm, Josie i resztą. Warstwy koców, plastiku i sklejki, których

użyliśmy przedtem do zatkania szpar, żeby nie dostawało się przez nie powietrze, były teraz zupełnie zerwane.

Najpierw musimy uszczelnić bramę, a potem jakoś oczyścić powietrze. Czy cały sklep już jest zatruty? Nie wiedziałem.

Chwyciłem zwisające koce i plastikowe płachty i próbowałem przyczepić je z powrotem.

- Podajcie mi zszywacz! – krzyknąłem do bliźniaków.

Zszywacz tu wciąż leżał, został jeszcze po naszym pierwszym zatykaniu bramy. Pogratulowałem sobie w duchu tego naszego bałaganiarstwa, bo przynajmniej teraz miałem narzędzia pod ręką. Chyba że to Niko zostawił je tu dla nas celowo. To do niego podobne.

Podniosłem koce i plastikowe płachty, a tymczasem Astrid zdążyła wstać i przyciągnąć pod bramę kawał dykty.

Chciałem ją przymocować zszywaczem, ale udało mi się strzelić tylko trzy razy, nim usłyszałem głuche klik-klik. Skończyły się zszywki.

- Cholera – wymamrotałem.

Nie było zapasowych w pudełku.

- Zaraz wracam! – ryknąłem.

Musieliśmy się dosłownie drzeć, żeby dało się cokolwiek usłyszeć przez te głupie maski.

Aż się bałem myśleć, jak Niko, Josie i Alex dają radę się porozumiewać w autobusie.

Nie powinni byli wyjeżdżać i za każdym razem, gdy przypominałem sobie, że ich nie ma, szlag mnie trafiał.

Teraz jednak złość była ostatnią rzeczą, jaka mogła mi pomóc. Natomiast przydałoby się nieco rozsądku. Musieliśmy jak najszybciej uszczelnić bezpiecznie sklep.

Pobiegłem do działu remontowego.

Minąłem Chloe leżącą na dmuchanym materacu. Wciąż miała na sobie maskę i warstwy ubrań, lecz była zupełnie zimna. Środki nasenne, które dał jej Niko, były pewnie dość silne.

Kiedy się obudzi i zrozumie, że tamci pojechali bez niej, będzie wściekła.

Przegapiła przecież tę scenę, kiedy Astrid i ja powiedzieliśmy wszystkim, że nie jedziemy. Że to by nie było bezpieczne ze względu na naszą grupę krwi.

I z pewnością nikt jej nie pytał o zdanie, kiedy Niko wyciągnął ją z autobusu.

Ale mieliśmy rację, pomyślałem. Dla nas wyjście na zewnątrz naprawdę było zbyt niebezpieczne. Astrid ledwie niuchnęła odrobiny chemikaliów i od razu zupełnie jej odbiło. Mielibyśmy wyjechać i próbować pokonać sto kilometrów do Denver? Przecież byśmy ich pomordowali!

Byłem tego pewien. Podjęliśmy słuszną decyzję.

A w Greenwayu mieliśmy dość zapasów, by przetrwać jeszcze całe tygodnie, może nawet miesiące. Dość czasu, by pozostali dotarli na lotnisko i zorganizowali dla nas jakąś pomoc. Albo nawet by poczekać, aż działanie chemikaliów osłabnie - przecież w telewizji mówili, że nie powinny się utrzymywać w powietrzu dłużej jak trzy do sześciu miesięcy...

Gdy wróciłem z naładowanym zszywkami pistoletem, zobaczyłem, że Caroline i Henry skaczą tuż przy pogrążonej we śnie Chloe na materacu. Przy nich zwinęła się Luna.

Wyglądali jak trzy małe ufoludki z psem. Ufoludki na ufoludkowej tratwie.

Nagle od strony bramy dobiegł nas łomot.

Astrid podskoczyła i spojrzała na mnie.

Łomot się powtórzył.

- Hop! Hop! — krzyknął jakiś głos.

- Kto tam? — zawołała Astrid.

- Wiedziałem! Byłem pewien, że widziałem światło! Hej, Jeff, miałem rację! Tam ktoś jest!

- Kim jesteście? — krzyknąłem.

- Nazywam się Scott Fisher. Otwórzcie bramę i wpuście nas do środka, dobra?

- Przykro mi, nie możemy jej otworzyć – skłamałem.

- Bzdura. Przecież dopiero co to zrobiliście. Ledwie minutę temu. Widzieliśmy światła! No, otwierajcie!

- Hej! Wpuście nas – dołączył się drugi głos. Pewnie tenże Jeff.

- Chłopie, musicie nas wpuścić. Tu jest, normalnie, sytuacja awaryjna!

Hm.

- No tak, wiem – powiedziałem. – Ale nie możemy was wpuścić.

- Niby dlaczego, do cholery? – zdenerwował się.

Przy mnie stanęła Astrid.

- Bo już raz wpuściliśmy dwóch dorosłych i jeden z nich molestował naszą koleżankę i próbował zastrzelić naszego przywódcę! – krzyknęła.

- No, ale przecież my nie jesteśmy tacy. My jesteśmy mili.

- Przykro nam – powiedziała Astrid. Poklepała sklejkę i dała mi znak głową, żebym ją przymocował zszywkami.

- No dalej! – darł się facet. – Jesteśmy głodni i spragnieni. Ludzie tu umierają! Wpuście nas.

- Przykro nam! - powtórzyłem.

Wstrzeliłem pierwszą zszywkę.

Scott i Jeff dobijali się przez chwilę do bramy, przeklinając przy tym zdrowo, ale nim skończyliśmy przymocowywać sklejkę, już ledwo ich słyszeliśmy.

Przyglądałem się ścianie i zastanawiałem, czy nie dodać jeszcze jednej warstwy plastiku, kiedy już włączymy filtry, gdy Astrid pociągnęła mnie za rękę.

- Korzystając z tego, że jesteśmy cali okutani, zrzućmy im z dachu trochę jedzenia.

- Co? – zdumiałem się.

- Zrzućmy im z dachu trochę jedzenia i wody! - wydarła się.

- Dlaczego? – spytałem.

Wzruszyła ramionami.

- Mamy tak dużo, a oni nie mają nic. Powinniśmy im pomóc. Uch, nie chciało mi się wychodzić na dach. Ani trochę. Byłem wykończony i chciałem jak najszybciej włączyć filtrowanie powietrza.

Ale Astrid miała taką minę, jakby było oczywiste, że to dobry pomysł. Jakby to była jedyna słuszna rzecz.

- Najpierw chcę włączyć filtry - upierałem się.

- Zrobimy to z dziećmi – odkrzyknęła mi przez maskę. - Powinieneś zrzucić im jedzenie, póki jeszcze tam są.

- Ale...

Nie potrafiłem zebrać myśli, skupić się na tyle, żeby jej wyjaśnić, dlaczego to właściwie nie jest najlepszy pomysł, jeszcze sobie pomyśli, że jestem leniwy albo boję się wyjść na dach czy coś.

- Dobra – powiedziałem. – Zrobię to.

Odwróciła się do dzieci bez jednego... no, nie wiem... dziękuję albo co.

- Caroline, Henry! – zawołała. – Weźcie wózek i chodźcie ze mną.

- Zaczekaj – zatrzymałem ją. – Najpierw włączmy filtry. Potem zaniosę to jedzenie.

Astrid spojrzała na mnie i westchnęła.

Dobra, nie jest znowu tak łatwo odczytać czyjąś minę przez plastikowe okienko wielkiej maski, ale jednak zdaje mi się, że jej twarz wyrażała mniej więcej coś takiego:

Temu durnemu dzieciakowi się wydaje, że mu rozkazuję, więc się uparł co do tego jednego szczegółu. Ale skoro już koniecznie musi wygrać w sprawie takiego drobiazgu, żeby zachować resztki dumy, to niech mu będzie.

Potem powiedziała:

- No dobra, ale pośpiesz się.

Mieliśmy w Greenwayu osiem różnych modeli oczyszczaczy powietrza i od sześciu do ośmiu sztuk każdego z nich. Usta-

wiliśmy z Astrid te większe, a Caroline i Henry zajęli się rozstawianiem mniejszych po całym sklepie.

Zużyliśmy mnóstwo przedłużaczy, bo większość wtyczek znajdowała się w ścianach.

Potem poszedłem do pizzerii. Już jakiś czas temu przenieśliśmy sporo jedzenia do tutejszych wielkich lodówek, bo zrozumieliśmy, że zostajemy tu na dłuższy czas.

Wziąłem kilka puszek tuńczyka, trochę starego chleba i kilka batoników z błonnikiem, które nikomu nie smakowały, oraz parę okropnych lodów na patyku, których nie chciały tknąć nawet nasze najmniej wybredne dzieciaki. Do tego kilka litrów Greenwayowej, najtańszej lemoniady.

Wrzuciłem wszystko do pustego plastikowego pojemnika, który ktoś tu zostawił, i zatargałem do magazynu.

Byliśmy sami w sklepie od zaledwie dwóch godzin, a Astrid już, się rządziła jak szara gęś, jakbym był dzieckiem. Nie jest dobrze.

Do magazynu wszedłem tyłem, bo w rękach miałem pojemniki, więc drzwi pchnąłem po prostu plecami.

Odwróciłem się i mało nie upuściłem całego ładunku na ziemię.

Z tego wszystkiego zupełnie zapomniałem o trupach.

Wszędzie było pełno krwi. Ciało Robbiego leżało w połowie na materacu, a w połowie na podłodze, bo uszło powietrze i materac zrobił się niemal zupełnie płaski. Koc, którym i zakryliśmy, w kilku miejscach nasiąknął krwią.

Tuż za nim leżał pan Appleton, który umarł we śnie. Miał spokojniejszą śmierć, to nie ulegało wątpliwości. I jakby na potwierdzenie tego jego materac nadal był ładnie nadmuchany.

Obcy, którzy przyszli z zewnątrz i rozbili naszą grupę, leżeli teraz martwi w magazynie.

Dotąd nie miałem nawet czasu, żeby pomyśleć o Robbii i jego zdradzie.

On i pan Appleton przyszli do naszego sklepu i wpuściliśmy ich. Ale kiedy nadszedł czas, żeby sobie poszli, Robbie nie chciał się wynieść. Stan pana Appletona się pogorszył, a potem w nocy znaleźliśmy Robbiego z Sahalią.

W całym tym zamieszaniu Brayden został postrzelony, a Robbie zabity.

Tej samej nocy zmarł pan Appleton. Pewnie nie mogliśmy temu w żaden sposób zapobiec. W każdym razie nie wydaje mi się.

Ale Robbie...

Mogłem spojrzeć na Robbiego i zacząć się wściekać. Z tego, co rozumiałem, próbował zmusić Sahalię do seksu. Czy to siłą, czy manipulacją, nie wiem. Ale na pewno pokazał wtedy swoją prawdziwą twarz i była ona obrzydliwa. Pięćdziesięciolatek z trzynastolatką? Okropność. Myśleliśmy, że jest typem kochającego ojca, a on się okazał zbrojnym.

A gdyby Robbie nie zaatakował Sahalii, Braydenowi nic by nie było. Niko i Alex nie próbowaliby teraz dotrzeć do Denver.

Ale nie czułem wściekłości. Tylko smutek.

Robbie i pan Appleton byli tylko kolejnymi dwiema nieżyjącymi osobami w tym koszmarnym ciągu katastrof.

Maluchy nic nie wiedziały o tych ostatnich wydarzeniach. I lepiej, żeby tak zostało.

W głowie dodałem „ukryć ciała” do mojej listy rzeczy do zrobienia.

Jak tylko nakarmię tych cholernych obcych pod sklepem.

Klapę prowadzącą na dach łatwo było otworzyć. Niko zabezpieczył ją płachtami przyczepianymi na rzepy, więc wystarczyło je oderwać, a w klapie już tkwił klucz.

Odłożyłem pojemnik na stopień i pchnąłem klapę do góry.

Kiedy ostatni raz byłem na dachu, nie wiedzieliśmy jeszcze nic o działaniu chemikaliów. Patrzyliśmy, jak na niebie nad znajdującym się prawie pięćdziesiąt kilometrów od nas NORAD-em rozlewa się chmura czarnego atramentu.

Kiedy ostatni raz byłem na dachu, próbowałem zabić mojego brata.

Teraz było ciemno. Powietrze zdawało się tłumić nawet światło sączące się przez otwór w dachu. Niebo nade mną było zupełnie czarne. Żadnych gwiazd. Żadnych chmur. Tylko wiszące w powietrzu czarne błoto.

Wkurzyłem się na siebie, że nie wziąłem latarki.

Nie chciało mi się jednak wracać po głupią latarkę, więc postawiłem pudło na dachu i pchnąłem je w kierunku krawędzi, czołgając się ostrożnie za nim.

Za nic nie chciałem spaść z dachu w tę ciemność.

Po jakiejś minucie żalostnego czołgania się za pudłem, oparło się o krawędź dachu. Pchnąłem je w przepaść i usłyszałem, jak uderza o ziemię.

- Hej! Co to? - rozległ się krzyk Scotta Fishera.

- Nie ma za co! - wrzasnąłem.

Znajdą łup. A zanim to zrobią, ja już będę w środku.

Mieli szczęście, że Astrid ma takie dobre serce, a ja daję jej tak sobą pomiatać.

Zacząłem się ostrożnie przesuwać z powrotem w stronę światła padającego z otworu w dachu. Jak najszybciej chciałem zdjąć maskę.

Połączenie maski z okularami doprowadzało mnie do szalu. Maską była niby na tyle duża, że zachodziła na okulary, ale wciskała je w taki sposób, że niemiłosiernie bolał mnie nos. Który wciąż wyglądał kiepsko po tym, jak mnie pobił Jake. I to bolało. Jak cholera.

I chciałem już zdjąć wreszcie te wszystkie warstwy ciuchów. Rolowały mi się pod pachami i pod kolanami.

Starałem się nie myśleć o Aleksie, Niku i reszcie.

Mieli do pokonania ponad sto kilometrów w tych warstwach ubrań i maskach, w na w pół zreperowanym szkolnym autobusie, po niebezpiecznej, ciemnej autostradzie. A ja tu użalam się nad sobą, że muszę wytrzymać raptem dwie godziny w masce i kilku warstwach ciuchów.

Wstałem i zacząłem iść powoli w stronę klapy. W ciemności światło sączące się z wjazdu zdawało mi się bardzo jasne.

Ale szedłem ostrożnie, bo dach był nierówny i powyginany od gradu, przed którym całe wieki temu skryliśmy się w bezpiecznym Greenwayu.

Myślałem o gradobiciu, o tym, jakie mieliśmy szczęście, że pani Wooly, która prowadziła autobus podstawówki, nie tylko wjechała nim do sklepu, ale jeszcze potem się cofnęła, żeby uratować też nas, licealistów. Myślałem o niej i zastanawiałem się, co się z nią stało. Czy jest bezpieczna? Czy w ogóle myślała o tym, żeby do nas wrócić, tak jak obiecała, czy raczej po prostu zatroszczyła się o siebie?

Myślałem o pani Wooly, gdy światło padające z wnętrza Greenwaya zgasło.

Byłem sam na dachu. W ciemności.

ROZDZIAŁ 2

ALEX

97 KILOMETRÓW

JEDZIEMY POWOLI.

Przez trzy godziny przebyliśmy około dwunastu kilometrów.

Międzynarodowe lotnisko w Denver znajduje się ponad sto kilometrów stąd.

Nasza podróż potrwa o wiele dłużej, wbrew moim nadziejom. Wydostanie się z parkingu Greenwaya na 1-25 zajęło nam całe dwadzieścia minut.

Przez szybę niewiele widać, bo to plexiglas, a nie prawdziwe szkło. Zupełnie jakbyśmy jechali we mgle.

Autostrada jest popękana. Czasami w asfalcie są duże szczeliny i dziury. Jak na razie jednak nic takiego, przez co nie dałoby się przejechać.

Co jakieś dwadzieścia metrów stoją wielkie latarnie na baterie. To dobrze, bo:

- Wyznaczają nam kierunek.
- Sprawiają, że lepiej widzimy.
- Dają nam nadzieję, że gdzieś tam ktoś na nas czeka.

Po obu stronach autostrady pełno jest samochodów i da się jechać tylko jednym, środkowym pasem. Podejrzewam, że jechało wtedy wojsko i oczyściło przejazd. Czasami samochody zostały tylko przewrócone na bok i przesunięte tak, żeby mniej zawadzały.

Oczywiście to nie samochody są przerażające. Kto by się bał długiego, dziwnego parkingu, w jaki zmieniła się 1-25.

Przerażające są ciała.

Widzimy martwych ludzi, którzy przed śmiercią wyczołgawali się ze swoich samochodów.

Niektórzy są tylko zakrwawionymi stertami mięsa - pewnie mieli grupę A, tak jak Niko i Max.

W niektórych samochodach, które mijamy, nasze światła oświetlają czarną maź rozbryzganą po całych wnętrzach. To krew. Ci ludzie pewnie też mieli grupę A. Albo może w tych wozach był ktoś z grupą 0 i ktoś z jakąś inną, i ten pierwszy rozszarpał tego drugiego.

Inna przerażająca rzecz to pleśń.

Jakaś przedziwna, biała piana obrastająca opony samochodów, a nawet całe pojazdy.

Wygląda to niemal tak, jakby auta zamarzły, jakby pokrywały je warstwy lodu i śniegu, ale rozjechaliśmy trochę tej bieli i wcale nie zachowała się pod ciężarem autobusu jak lód, tylko jak coś mokrego, gęstego. Jak grzyb.

Zżerający gumę grzyb.

To w każdym razie wyjaśnia, dlaczego nie widzimy żadnych aut na chodzie.

Tylko to, co nie było wystawione na działanie zatrutego powietrza, nie pokryło się pleśnią.

Właśnie przejechaliśmy ciało leżące na środku drogi. To było obrzydliwe, mimo że nic nie słyszeliśmy, bo wszystko zagłusza silnik. Ale i tak c z u l i ś m y, jak po nim przejeżdżamy. Po czymś twardym.

Mięsistym, jeśli można tak w ogóle powiedzieć.

To o takich rzeczach myślę, Dean, kiedy Ty się tam objasz w Greenwayu, i razem z Astrid, Chloe i bliźniakami zajadasz czekoladkami z bombonierek.

Max, Ulysses i Batiste siedzą ściśnięci na dwóch fotelach. Śmiesznie wyglądają - za nimi piętczą się pojemniki z jedzeniem i wodą, wszystkie nasze zapasy, a na tle tego całego bałaganu trzech chłopców w za dużej ilości ubrań i w maskach. Bawią się resorakami Matchbox.

Domyślam się, że któryś z nich (pewnie Max) przemycił je w plecaku.

I teraz urządzają sobie wyścigi na oparciu fotela przed nimi, zderzają się samochodzikami i wydają wszystkie te odgłosy, które zawsze wydają mali i chłopcy, gdy się bawią resorakami.

Sahalia siedzi na przednim siedzeniu z Braydenem.

Brayden nie jest w najlepszym stanie.

Sahalia wciąż przekazuje jakieś pilne wieści Nikowi i Josie. O Braydenie. Pewnie: „Jest słaby. Jest szary. Wygląda, jakby miał umrzeć”. Ale jej nie słyszymy.

Przez te maski. Prawie nic w nich nie słychać, tylko hałas silnika i walenie naszych serc.

Wydaje mi się, że pod maską Sahalia płacze.

(później)

Tuż przed Castle Rock trafił nam się długi odcinek pustej autostrady (mówiąc „pustej”, mam na myśli taką z jednym czystym pasem, na którym nie ma żadnych przeszkód do wymijania).

Rozpędziliśmy się do trzydziestu kilometrów na godzinę. Zdawało się, że dosłownie lecimy.

Roześmiałem się i wydaje mi się, że Niko pod maską zaczął się uśmiechać, ale wnioskowałem tylko na podstawie kącika jego oka, bo tylko tyle widziałem.

Josie się uśmiechała. Obróciła się w moją stronę. Uniosła kciuki. Wyglądała bardzo śmiesznie - jak my wszyscy zresztą - w pięciu warstwach bluz i płaszczu przeciwdeszczowym. Ale jej mina wyrażała nadzieję. Uśmiechnąłem się do niej i też uniosłem kciuki.

Kiedy Josie była szczęśliwa, wszyscy byli szczęśliwi. To w sumie miało sens, bo była dla nas jak mama. Wszyscy zawsze na nią liczyli, bo była dobrą, spokojną osobą.

Podszedł do niej Max i poprosił, żeby mu dała jeść.

- Jesteśmy głodni! - krzyknął.

- Będziecie musieli poczekać, kochanie! - odkrzyknęła Josie.

- Ale my jesteśmy głodni!

Josie wzięła Maksa za rękę i zaprowadziła na tył autobusu. Próbowała mu wyjaśnić, że nie może zdjąć maski, żeby coś zjeść - że to zbyt niebezpieczne, gdy Sahalia zaczęła wrzeszczeć.

Brayden zsunął się na podłogę.

Sahalia wykrzykiwała jego imię, ciągnęła go, chyba próbując z powrotem posadzić na fotelu.

Podeszła do niej Josie.

- Jak długo jest nieprzytomny? - spytała.

Sahalia odpowiedziała coś, ale nie usłyszałem co.

- Brayden, Brayden! Musisz jeszcze chwilę wytrzymać! - krzyknęła Josie. - Próbujemy cię zawieźć do...

- On to wie. Wszystko mu wyjaśniłam, ale potem nagle zasnął. Musicie mu jakoś pomóc! - panikowała Sahalia.

- Sahalio, posłuchaj... - błagała Josie.

- Musimy zjechać na pobocze i sprowadzić pomoc! - histeryzowała Sahalia.

- Przestań się drzeć! - wrzasnęła na nią Josie. Miała jej już dość.

Nagle Josie zerwała swoją maskę. A potem jeszcze narciarską kominiarkę z głowy.

- Nie mogę zrozumieć ani słowa, Sahalio - krzyknęła na nią.

- Uspokój się i mów wolniej.

Trzymała Sahalię za ramię. Spokojnie, ale stanowczo. Taka po prostu jest Josie.

Na to Sahalia też ściągnęła maskę i kominiarkę.

Chłopcy z tyłu zaczęli coś wykrzykiwać. Pewnie coś w stylu: „To nie fair”. I że oni też chcą zdjąć maski.

Wiedziałem, że Sahalia ma grupę B, tak jak ja. Grupa B odczuwa skutki chemikaliów najmniej boleśnie - grozi nam tylko utrata zdolności rozrodczych.

Ale Josie miała grupę AB, więc jeśli natychmiast nie włoży maski, zacznie mieć halucynacje i oskarżać nas, że próbujemy ją zabić, albo coś.

- On umiera. Umiera, a wy jedziecie za wolno! -
awanturowała się Sahalia.

Oczy miała czerwone od płaczu, a twarz dziwnie wychudłą.
Zachowywała się jak wariatka, ale zauważyłem, że ona często zachowuje się jak wariatka, nawet kiedy na przykład jest po prostu przerażona albo szczęśliwa.

Niko krzyknął coś zza kierownicy. Pewnie: „Co się tam z tyłu dzieje?”.

Niko zatrzymał autobusu. Co było słuszną decyzją, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności. Tak, Brayden miał ranę postrzałową, może nawet umierał, ale jeśli nie będziemy się posuwać naprzód i nie dowieziemy go do Denver, to na pewno umrze, a my być może razem z nim.

- Brayden! - zawołała Josie. Trochę sapała. - Słyszysz mnie?

Patrzyłem i widziałem, jak to się stało.

Josie potrząsnęła głową. Zupełnie jakby chciała odgonić komara. Potrząsnęła głową i zatoczyła się do tyłu.

Podniosła ręce do głowy i zanosła się śmiechem. Podłym śmiechem.

- Co? - wyrwało się Sahalii. - Co z tobą?

I wtedy Josie rzuciła się na Sahalię. Wpadły między fotele. Sahalia zaczęła wrzeszczeć.

Niko zatrzymał autobus.

- Co się tam dzieje?! - ryknął. Rzucił się w kierunku dziewczyn i próbował oderwać Josie od Sahalii.

Josie wcale nie miała grupy AB. Tylko 0!

Dlaczego mi się zdawało...? Czemu byłem święcie przekonany, że ma AB?

Miała 0 i właśnie próbowała zabić Sahalię.

- Podaj linę! - krzyknął do mnie Niko, ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie wsadziliśmy liny.

Pudła nie były uporządkowane. Jedzenie pomieszało się ze środkami pierwszej pomocy, a baterie wpadły w zwoje brezentu. Nigdzie nie mogłem znaleźć liny.

Ja szukałem; chłopcy piszczeeli w panice, tulili się do siebie i płakali; Niko próbował odciągnąć Josie od Sahalii. A ja wciąż nie mogłem znaleźć liny.

W końcu ją znalazłem (pod siedzeniem przed chłopcami).

Rozerwałem paczkę i wyciągnąłem jeden koniec, ale Josie już udało się zerwać Nikowi maskę z twarzy.

- Twoja maska! - krzyknąłem.

Niko przyciskał Josie twarzą do podłogi między fotelami. Prychała, warczała i próbowała mu się wyrwać.

Sięgnął i założył maskę z powrotem na twarz.

Josie dźgnęła go łokciem i próbowała z siebie zrzucić.

Nie wiedziałem, co zrobić z liną, więc po prostu podałem ją Nikowi.

- ZWIĄŻ. JEJ. STOPY! - ryknął na mnie.

Josie kopnęła mnie w głowę, ale udało mi się związać jej nogi.

Niko trzymał jedną jej rękę, druga była pod jej ciałem.

Wyciągnął ją spod niej i jakoś zdołał związać je razem. Teraz nie miała już jak atakować.

Choćby nie wiem jak się wiała i rzucała, nie mogła się oswobodzić. Niko nie musiał nic mówić. Dobrze wiedziałem, czego potrzebujemy. Tabletek nasennych. Znalezienie ich zajęło mi całe wieki. Ale w końcu trafiłem na całą nową paczkę, wyciągnąłem jedną tabletkę i podałem Nikowi.

Wcisnął jej do ust, a potem dał mi znak, żeby mu podał następną. Podałem. Kilka chwil później Josie już się nie ruszała.

Sahalia wciąż nie miała maski. Leżała na podłodze między drugim a trzecim rzędem foteli. Płakała.

Niko podszedł i pomógł jej wstać.

- Myślałam, że ma grupę B, tak jak ja - wybeczała Sahalia.

Niko coś odpowiedział. Brzmiało to mniej więcej jak:

- Nie wiedzieliśmy.

- Myślałem, że ma AB - dorzuciłem.

- Powiedziała, że zna swoją grupę - wyjaśnił Niko. - Była pewna, że ma B.

Jak to możliwe, że nie wiedzieliśmy na pewno? Próbowałem sobie przypomnieć. Chyba wtedy, gdy wszyscy byliśmy wystawieni na działanie chemikaliów, Josie przy nas nie było.

Sahalia pochyliła się do przodu, oszołomiona położyła głowę na oparciu fotela przed sobą. Niko zakaszłał.

W środku jego maski zobaczyłem krew.

ROZDZIAŁ 3

DEAN

DZIEŃ 12

ROZPACZLIWIE PARŁEM W STRONĘ KLAPY. POTYKAJĄC SIĘ NA POWYGNIANYM od gradobicia dachu

Czy Astrid zatrzasnęła mi klapę? Nie. Przecież nie zrobiłaby czegoś takiego.

Serce skoczyło mi do gardła, pocilem się jak mysz.

Czy na dachu był ktoś jeszcze? NIE.

Stopą trafiłem na ramę klapy. Schyliłem się, żeby wymacać ją palcami.

Była otwarta.

Po prostu w środku zgasły światła.

I dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jacy byliśmy głupi.

Przez większość tych niecałych dwóch tygodni, gdy mieszkaliśmy w Greenwayu, mieliśmy wyłączone prawie wszystkie światła, żeby oszczędzać energię.

Mój brat Alex, geniusz techniczny, rozpracował sklepowy system paneli słonecznych i oświetlenia. Udało mu się zrobić tak, że zostawiliśmy sobie tylko światło w kuchni i w pociągu (naszych tymczasowych sypialniach na tyłach sklepu).

Ale przez ostatnie - nie wiem - dwie, może trzy godziny wszystkie światła były włączone.

A do tego podłączyliśmy około trzydziestu oczyszczaczy powietrza naraz.

Skończył nam się prąd. Tak po prostu.

Zabezpieczyłem za sobą klapę i w zupełnej ciemności zszedłem po schodach.

Ostrożnie, bokiem dotarłem do drzwi. Za nic nie chciałem się potknąć o ciało Robbiego.

Wołali mnie.

Astrid, Caroline i Henry. W ich głosach słychać było panikę.

- Jestem! Nic mi nie jest! - odkrzyknąłem.

- Gdzie jesteś? - zawołała Astrid.

- Przyjdę do was. Gdzie jesteście?

- W Pociągu!

Myślałem, że już przywykłem do ciemności w sklepie, ale teraz było zupełnie inaczej. Przedtem zawsze trochę światła dochodziło z kuchni i Pociągu. Teraz otaczały nas nieprzeniknione ciemności.

Najpierw poszedłem do regału z artykułami motoryzacyjnymi. Wiedziałem, że gdzieś tam na podłodze muszą być latarki, bo tam zajmowaliśmy się przedtem panem Appletonem i Braydenem.

Znalazłem dwie zwykłe latarki i jedną czołówkę. Włączyłem je.

Gdy byłem już blisko Pociągu, Henry zawołał:

- Widzimy cię!

- Widzimy twoje podskakujące światło - dodała Caroline.

- Przeciążyliśmy system, tak? - krzyknęła Astrid.

Nie musiałem jej widzieć, żeby po głosie zorientować się, że nie ma maski.

- Jest już bezpiecznie? – spytałem, wskazując swoją maskę.

- Nie wiem, czy z przodu sklepu też, ale tu raczej tak.

Podąłem jej latarkę i zdjąłem maskę.

- Och, Dean – jęknęła Astrid. – Twoja twarz.

Czy już zdążyła zapomnieć, że mam podbite oczy? I może o tym, że załatwił mnie tak przecież jej chłopak (miałem cichą nadzieję, że były chłopak).

Prawdę powiedziawszy, zasłużyłem sobie na to, ale to i tak nie skłaniało mnie do darzenia Jake'a jakimiś specjalnie ciepłymi

uczuciami. Gdy tylko zaczęło być ciężko, ten uroczy, popularny przystojniak sięgnął po prochy z apteki.

A potem, gdy wysłaliśmy go, żeby sprawdził, czy szpital jest otwarty, zwyczajnie sobie poszedł i nas zostawił. Astrid zasługiwała na coś więcej.

- Zabrakło nam prądu, bo wyczerpaliśmy całą rezerwę energii słonecznej – powiedziałem.

Bliźniaki jęknęły z przerażenia, więc zacząłem je natychmiast pocieszać:

- To nic, to nic. Mamy mnóstwo baterii i latarek. Mamy Nawet latarenki. Poradzimy sobie.

- Ale jak będziemy gotować? - spytał Henry.

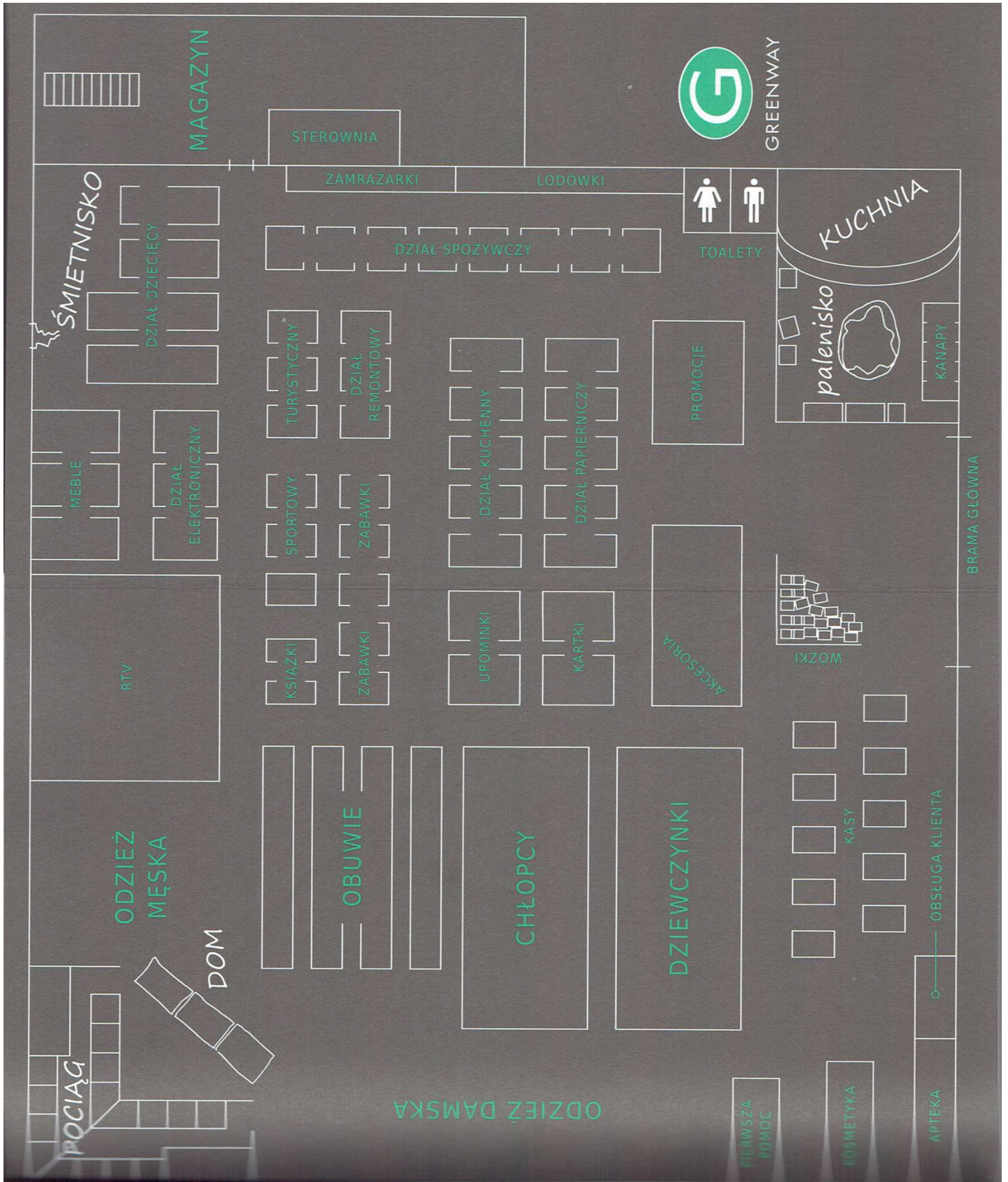
- Dział turystyczny jest całkiem spory - odpowiedziałem. - Gotowaliście kiedyś na kuchence turystycznej? To świetna zabawa.

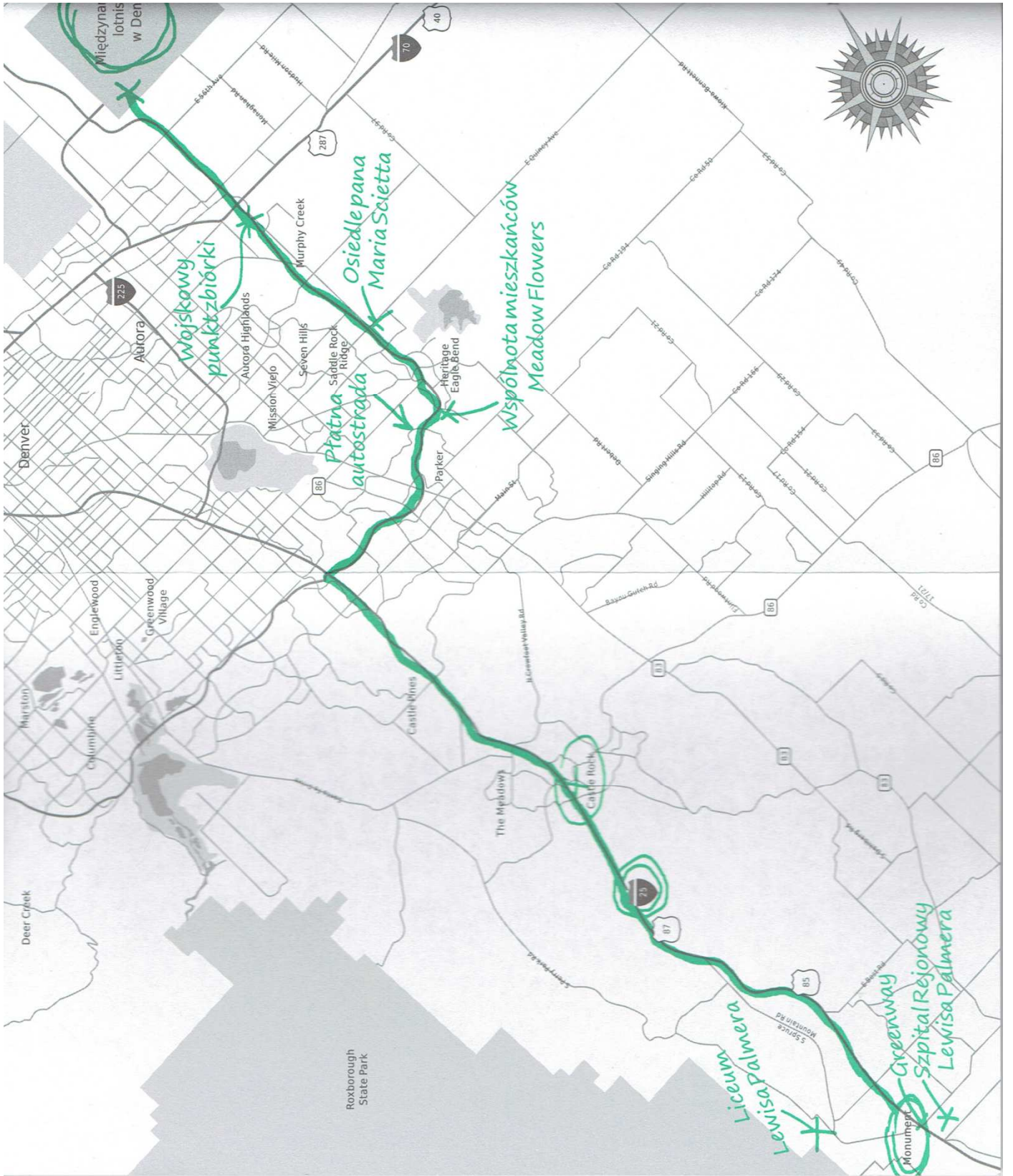
Nagle usłyszeliśmy jęk.

Astrid odwróciła się i światło padło na postać Chloe, która właśnie siadała i już zdejmowała maskę.

Rozejrzała się wokół i potarła oczy.

- Hej, wy! – warknęła groźnie. – Dlaczego nie jestem w Denver?





Z Chloe było niezłe ziółko, nawet kiedy miała dobry dzień, i a to nie był dobry dzień.

Ależ się wściekła.

- Miałam już dawno być w Denver, tulić się do babci, a wy im mówicie, że CELOWO wynieśliście mnie z autobusu?!

Odstawiała niezłą scenę, aż pożałowałam przez chwilę, światła są zgaszone. Chętnie bym zobaczył jej czerwoną twarzyczkę, gdy tak wrzeszczała.

- Powinnam być w samolocie i lecieć sobie na Alaskę, a nie tkwić tu z wami, frajerzy!

Założę się, że wyszły jej żyły na szyi, jakby była wściekłym sierżantem – sierżantem metr dziesięć wzrostu.

Migały mi jedynie krótkie urywki z cyrku, który odstawiała - widziałem ją tylko wtedy, gdy wchodziła w światło latarki jednego z bliźniąt.

Caroline i Henry wcale jednak nie dostrzegali komizmu sytuacji i płakali, prosząc Chloe, żeby przestała krzyczeć.

- Chloe, proszę! Tu jest lepiej. Bezpieczniej i nie tak strasznie – błagał Henry.

- Wróciliśmy, bo tam było okropnie! – łkała Caroline. - Ktoś nas w końcu uratuje, zobaczysz.

Astrid opuściła nas już jakiś czas temu. Poszła po więcej latarek i kilka latarenek na baterie. Może też po świece.

Siedziałem po prostu na wersalce i czekałem, aż Chloe zmęczy własna furia. Uznałem, że w końcu straci zapał albo przynajmniej głos.

Nagle Luna zaczęła się dziwnie zachowywać. Podskoczyła, nastawiła uszu.

Nogi jej drżały, zaszczekała – raz, krótko – patrząc na coś na przedzie sklepu, potem na mnie.

- Ciii! – próbowałem uciszyć Chloe.

- I pomyśleć, że nawet cię lubiłam, Dean! – darła się dalej.

- Zamknij się! – warknąłem na nią. – Spójrzcie na Lunę! A Luna nagle wystrzeliła jak z procy.

Wrzasnąłem na Astrid i popędziłem za psem.

Luna gnała w stronę kuchni.

- Jest tu kto? – krzyknąłem w biegu.

Starałem się brzmieć groźnie, ale głos mi zadrżał.

Luna wbiegała do kuchni, oszczekiwała coś za głównym barem, a potem wracała do mnie.

- Jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi. W każdym razie żadnej ludzkiej.

Nagle Luna zamarła z jedną nogą uniesioną wysoko i nosem skierowanym w stronę pieca do pizzy.

- Co się stało Lunie?! – wrzasnęła Chloe.

Co ten pies wyprawia? – myślałem gorączkowo.

- Wystawia zwierzynę – powiedziała Astrid, zbliżając się do nas od strony działu spożywczego. – Tam musi być jakieś zwierzę.

Luna wystawiała zwierzynę! Ja rozumiem, że golden retriever albo labrador może się tak zachowywać. Ale puchaty mały psiak, taki jak Luna?

Poświeciłem latarką pod piec i rzeczywiście – zobaczyłem dwa małe czerwone oczka.

- Szczur - stwierdziłem.

- Fuuu! – pisnęły bliźniaki.

- Mogę go zobaczyć? - poprosiła Chloe.

- Odsuńcie się – zarządziłem. – Po prostu się odsuńcie.

- Pójdę po pułapkę – powiedziała Astrid. - Albo od razu dwie... albo dwadzieścia.

- No – mruknąłem. – Dobry pomysł.

- Nie zabijajcie go! – zaprotestowała Chloe. - Możemy go złapać i oswoić.

- No coś ty – syknąłem. - To okropny pomysł.

- Wcale nie, Dean – oburzyła się. – Złapię go, potem go oswoimy i będziemy mieć takie miłe zwierzątko! – zachwalała to Caroline i Henry emu.

- Ale my już mamy zwierzątko. Lunę – oponowała Caroline.

- Zwierzątek nigdy dość, głupia!

- Chloe, nie dotykaj tego szczura. Astrid zaraz przyniesie pułapkę.

Ale smarkula musiała oczywiście podejść do blatu, wziąć z niego pudełko ze słomkami i wysypać wszystkie na podłogę

- Chodźcie, ja go wygonię miotłą, a ty, Henry, złap go w to pudełko!

- Chloe! Odsuń się natychmiast!

Zupełnie mnie ignorowała. Podszedłem i złapałem ją za ramię. Nie chciałem na nią wrzeszczeć, ale miałem jej już serdecznie dość.

- Nie mów mi, co mam robić, ty zdrajco! - wydarła się na mnie Chloe.

Wyrwała mi się i uderzyła o piec.

Szczur wyskoczył spod niego i popędził prosto na Caroline. Luna zaczęła szczekać jak najęta i rzuciła się do ataku.

Caroline wrzasnęła i zrobiła krok do tyłu, ale szczur i Luna już kotłowali się wokół jej nóg i ten cholerny gryzoń ugryź Caroline.

Potem Lunie udało się w końcu chwycić go szczękami i było po szczurze.

Chloe, Henry i Caroline darli się wniebogłosy. Chwyciłem Caroline i podniosłem. Trzymała się kurczowo za nogę.

Luna rzuciła mi martwego szczura pod nogi i usiadła.

- Zły pies! Zły pies! – wrzeszczała Chloe na Lunę. - Mieliśmy go złapać, a nie zabijać!

Luna odsunęła się potulnie od Chloe.

- Zamknij się, Chloe! – wybuchnąłem. – Ten głupi szczur ugryzł Caroline! Gdybyś zostawiła go w spokoju, w ogóle by do tego nie doszło.

Na co Chloe zmieniła ton swoich wrzasków – teraz miały i chyba wyrażać jej urażone uczucia.

Luna zaczęła lizać swoje rany.

- To nie była moja wina! – ryczała Chloe.

Ale to była jej wina.

- Co się stało? – wydarła się Astrid, pędząc do nas z niepotrzebnymi już pułapkami.

Astrid oświetlała mi drogę, gdy niosłem Caroline do Pociągu.

W salonie stały jeszcze wszystkie leki.

Rana była mała. Tylko dwa rzędy małych nakłuć. Szczur ledwie zdążył capnąć Caroline.

Oczyściłem ranę bactinem, użyłem trochę przeciwbakteryjnej maści i przyklepiłem duży, odblaskowy, pomarańczowy plaster.

Piegowata buźka Caroline była blada i cała we łzach.

Ona i jej brat zwykle byli tacy spokojni, jakby pogrążeni w marzeniach.

Czasami odnosiłem wrażenie, że naprawdę nie zdają sobie sprawy, gdzie są ani jak poważna jest sytuacja.

Mieli tylko pięć lat.

Pięć.

- Nie cierpię szczurów – wyznała Caroline cichutko.

- Ja też. Są okropne – powiedziałem.

- Cieszę się, że ten już nie żyje – załkała. Twarz miała wykrzywioną. – Jeśli Bozia się na mnie za to pogniewała to trudno, ale cieszę się, że ten podły szczur nie żyje - dodała.

Przytuliłem ją.

- Bozia na pewno się na ciebie nie gniewa, Caroline – zapewniłem.

Ale potem pomyślałem sobie, że jeśli się wierzy w Boga i mieszka w Monumencie, w Kolorado, jesienią 2024 roku, to można rzeczywiście zwątpić w Jego wyrozumiałość.

Próbowaliśmy oczyścić rany Luny, ale uciekła za wersalkę w salonie.

Astrid przytargała cały wózek pełen latarek i wszelkich lampek na baterie.

Ku radości Henry'ego i Caroline - oraz Chloe, gdy już się przestała boczyć – znalazły się też świąteczne lampki na choinkę, które działały na baterie.

Astrid pozwoliła dzieciakom rozwiesić je na ścianach w salonie.

Szperałem właśnie w wózku w poszukiwaniu baterii, które by pasowały do latarek, gdy poczułem rękę Astrid na ramieniu.

- Hej – powiedziała.

- Hej – odpowiedziałem. Czasem jestem *cool* jak nie wiem.

- Możemy porozmawiać?

- Jasne.

Skinęła głową, żebyśmy weszli do Pociągu.

Wszedłem tam z latarenką. Nie byłem w Pociągu od... od jak dawna? Od ponad dwudziestu czterech godzin, to na pewno.

Raczej nie dało się zapomnieć, że to po prostu przymierzalnie przerobione na sypialnie. Nadal wyglądały dość sklepowo, mimo całego wysiłku, jaki Josie włożyła w to, żeby było tu przytulnie.

Na drzwiach pokoi były wypisane imiona dzieci, które w nich spały.

Max, Batiste, Ulysses - widniało napisane pismem Josie na drzwiach na prawo.

Dopadł mnie smutek i strach. Brakowało mi Josie. Brakowało mi ich wszystkich.

Astrid podążyła za moim wzrokiem.

- Myślisz, że już dotarli na miejsce? - spytała.
- Może. W każdym razie mam wielką nadzieję, że tak.
- No, ja też - mruknęła. Patrzyła na swoje stopy. Wciąż miała na głowie tę czapkę, którą jej dałem, gdy obciąłem jej włosy.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie tamtej chwili - chyba naszej jedynej mile spędzonej razem.

Nagle Astrid spojrzała mi prosto w twarz, a ciepłe światło latarenek oświetliło ją pięknie.

- Nie będę z tobą sypiać – oświadczyła.

Zdębiałem.

- C-co? – wybąkałem.

- Chcę, żeby to było jasne. Pomyślałam sobie, że pewnie ci się zdaje, że będę z tobą spać. Ale nie będę.

Po czym obróciła się na pięcie i wyszła z Pociągu.

Szczeka mi opadła i stałem przez dobre dziesięć minut zupełnie oszołomiony.

Potem się wściekłem.

Znalazłem ją w kuchni. Przeglądała półki, wyciągała takie jedzenie, którego nie trzeba podgrzewać.

- Astrid, wcale nie oczekiwałem, że się ze mną prześpisz! Nigdy nic takiego nie powiedziałem. Nigdy w życiu by mi coś takiego do głowy nie przyszło!

- Świetnie - odpowiedziała. - To dobrze. Wszystko jasne.

- Zostałem, bo miałaś rację. Stanowilibyśmy zbyt duże zagrożenie dla innych, gdybyśmy z nimi pojechali. I zostałem, bo powiedziałaś, że jesteś w ciąży. Czułem, że powinienem.

- Jestem ci za to wdzięczna – powiedziała aż zbyt wyraźnie, jakbym był idiotą. - Ale nie będę z tobą spać tylko dlatego, że jestem ci wdzięczna.

- W głowie mi się nie mieści, że w ogóle wpadłaś na coś takiego. Za kogo ty mnie masz? Za jakieś zwierzę?

- Chciałam tylko, żeby wszystko było jasne - stwierdziła, odwracając się do mnie plecami.

- No i jest jasne.

- I dobrze – mruknęła, wracając do sortowania jedzenia. -
Bardzo się cieszę.

Byłam wściekły. Traktowała mnie z takim chłodem i w ogóle zachowywała się tak...

Nie wiem. Odwróciłem się i poszedłem sobie.

Czy dotąd się łudziłem, że zakochamy się w sobie i pewnego dnia w dalekiej przyszłości rzeczywiście będziemy uprawiać seks?

Tak. Hm. Jasne, że tak. To marzenia typowe dla zakochanego po uszy, nie?

Teraz wyszło tak, jakby ona wypominała mi te marzenia. Przez to, że wyraziła je tak wprost. To nie było miłe i nie było fair.

Wściekły pomaszerowałem w ciemny, zabałaganiony labirynt naszego głupiego, sklepowego schronienia.

Potrzebowałem zadania.

ROZDZIAŁ 4

ALEX

84-67 KILOMETRÓW

NIKOWI WYCHODZIŁY BĄBLE NA CAŁEJ TWARZY.

Pewnie już podczas walki z Josie zsunęła mu się trochę maska.

Pewnie miał też bąble w ustach. Może w płucach.

Pogrzebał w plastikowym pudle z lekami i znalazł butelkę syropu antyhistaminowego dla dzieci.

Oderwał plastikowe zabezpieczenie i zaczął pić prosto z butelki.

- Nie mogę prowadzić - wysapał. - Musimy odpocząć.

Dziesięć minut.

Osunął się na fotel, pochylił głowę, z trudem oddychał.

- Możemy już zdjąć maski? - spytał Max.

- NIE! - wydarliśmy się na niego z Sahalią.

- Tylko ci, którzy mają grupę B, mogą zdjąć maski - dodała Sahalia.

- Czyli kto, bo zapomniałem? - spytał Batiste.

- Ty, ja i Alex - powiedziała Sahalia, przewracając oczami.

Wzruszyłem ramionami i zdjąłem maskę.

Powietrze miało dziwny smak. Ostry.

Ale bez maski łatwiej było mówić, lepiej było widać i w pewnym sensie łatwiej było się skupić, bo nie trzeba było słuchać bezustannie swojego przerażającego oddechu.

Batiste niepewnie zdjął maskę. Max i Ulysses wymamrotali coś o tym, co jest fair, a co nie.

- Co teraz? - spytała Sahalia z rękoma na biodrach.

- Chyba musimy po prostu poczekać - powiedziałem. - Niko, powiesz nm, jak będziesz w stanie prowadzić?

Głowa Nika odchyliła się do tyłu na oparcie fotela.

Podszedłem i pochyliłem się nad nim.

- Niko? Niko! - zawołałem.

Ale odpowiedziało mi tylko chrapanie.

- No to świetnie! - zdenerwowała się Sahalia.

- Niko, musimy jechać dalej - powiedziałem. - Niko, obudź się.

Niko usiadł i rozejrzył się zdezorientowany.

- Jeszcze tylko kilka minut - wymamrotał. - Jestem taki zmęczony. Nie spał od... pewnie dobrych dwudziestu czterech godzin, może nawet trzydziestu sześciu. Ale...

To był koszmar. To czekanie. Daliśmy mu jeszcze dziesięć minut.

- Dobra, Niko. Czas wstawać! - Potrząsnąłem nim.

- Ja mogę poprowadzić - oświadczyła Sahalia.

- Co? Nie, wykluczone!

- Mój ojczym zawsze pozwala mi prowadzić - upierała się.

- To chory pomysł. Przecież to autobus. Wielki szkolny autobus.

- Potrafię prowadzić! - wydarła się Sahalia.

- Niech jedzie - wymamrotał Niko. I znów zapadł w sen.

Okej, tak ogólnie Sahalia nie była beznadziejnym kierowcą. Jechała może nieco szybciej niż Niko, ale to mi nie przeszkadzało. Josie spała. Dzieciaki były przerażone. A Niko naćpał się lekami antyhistaminowymi. Jednym słowem, im szybciej będziemy na lotnisku, tym lepiej.

Mijaliśmy właśnie spalony autobus miejski, kiedy wyskoczyła nam przed maskę jakaś postać.

Sahalia dała po hamulcach, ale i tak uderzyła w tego człowieka. Jego głowa roztrzaskała się o burtę autobusu i już go nie było.

Sahalia szarpnęła kierownicą za bardzo w prawo i nagle mknęliśmy w dół po nasypie.

Teren wokół autostrady był dość nijaki, żadnych drzew ani większych roślin. Tylko wzgórza i trochę zwiędłych zarośli. To one chyba trochę spowolniły nasz zjazd.

Nie rozbiliśmy się, tylko zatrzymaliśmy w krzakach. Sahalia dosłownie stała na hamulcu.

Dzieciaki płakały.

Niko wstał półprzytomny z fotela.

- Co się stało? - krzyknął.

- Sahalia zjechała z drogi - odpowiedziałem, a gdy posłała mi zabójcze spojrzenie, dodałem pośpiesznie: - Przez przypadek.

- Dobra - powiedział. Wyglądał, jakby miał się przewrócić.

Zakaszła i w środku jego maski pojawiło się więcej krwi.

Wyjrzał przez okno. Wyglądało na to, że nikogo tu nie ma i nie będzie.

- Myślę, że jesteśmy tu w miarę bezpieczni.

Pokiwałem głową. Wiedziałem, co ma na myśli.

Że jesteśmy dość bezpieczni, by się zdrzemnąć.

- Jesteśmy głodni - pożalił się Max.

Już przedtem to mówili, ale wtedy jeszcze myśleliśmy, że za kilka godzin będziemy w Denver. Teraz wyglądało na to, że zostajemy tu na noc.

- To coś zjedzcie - powiedziałem. - Jedzenie jest tam.

Wskazałem otwarty pojemnik z żywnością.

Dlaczego te dzieciaki oczekiwały, że im będę otwierał torebki z mieszanką studencką?

- Musicie sami o siebie dbać! Nie jestem waszym opiekunem - rzuciłem.

Rozpłakał się.

Westchnąłem i wyciągnąłem do niego rękę.

- Przepraszam.

Myślałem, że uściśnie mi dłoń na zgodę, ale zamiast tego jakoś tak na mnie upadł i zrozumiałem, że chce się do mnie przytulić.

Trudno się było zorientować przy tych wszystkich warstwach ubrań. Alu myślę, że jednak zrobiło mu się lepiej na duchu.

A potem powiedział:

- Jesteśmy strasznie głodni.

- Na litość boską, Max, jak jesteście głodni, to jedzcie! - jęknąłem.

- Ale jak? - spytał.

- Jak to „jak”? Normalnie, otwierasz buzię, wkładasz do niej jedzenie i żujesz!

Popukał w plastikową szybkę w swojej masce.

- Ale jak tam włożyć jedzenie?

Zrobiło mi się głupio. O tym jakoś nie pomyślałem.

Próbowałem więc im pomóc. W końcu unosili lekko z boku maskę i pakowali jedzenie.

Skóra Maksa zrobiła się czerwona i zobaczyłem pierwsze bąble, więc po dwóch garściach mieszanki studenckiej zabrałem mu paczkę.

Położyli się spać.

Próbowałem nie zasnąć, żeby stać na straży ich wszystkich, ale byli im równie zmęczeni jak reszta.

Nie wiem, czemu nikt nie przyszedł i nie zainteresował się naszym autobusem.

Może dlatego, że był w takim opłakanym stanie.

Cały w plamach po tej mazi, którą Robbie kazał dzieciakom zalepiać szczeliny. Okna były zabite dechami.

Pewnie wyglądał tak, jakby już dawno padł.

ROZDZIAŁ 5

DEAN

DZIEŃ 12

POSTANOWIŁEM PRZEORGANIZOWAĆ SALON TAK, ŻEBY STANOWIŁ BARDZIEJ zwarte pomieszczenie - domek w wielkim sklepie. Dzięki temu będziemy mogli go oświetlić i ogrzać, jeśli zajdzie taka potrzeba. Łatwiej też będzie jakoś rozweselić taką przestrzeń, i by dzieciaki się nie bały.

To był dobry, duży projekt. Potrzebowałem go, żeby nie myśleć o tym, co zaszło między mną a Astrid.

Wziąłem latarkę i poszedłem do działu z zabawkami. Zauważyłem już wcześniej, że ścianki oddzielające rzędy w tym dziale są na kółeczkach. Oczywiście były zablokowane, ale dało się je odblokować.

Odczepiłem jedną z regału, na którym leżały gry planszowe. Miała półki (a nie haczyki), co było świetne, bo będziemy mogli trzymać na nich nasze zapasy.

Przykucnąłem, żeby się przyjrzeć, jak się odblokowuje kółka. Potem przesunąłem całą ściankę do Pociągu.

To była ciężka praca. Ścianka była wysoka (mogła mieć jakieś dwa metry), ciężka i nieporęczna. Nie toczyła się gładko, więc musiałem pchać ją bokiem jak zepsuty wózek sklepowy.

Cały się spociłem i sapałem dziko, nim dopchałem ją do salonu.

Ale była długa i wystarczyła za całą ścianę zamkniętego z trzech stron pokoju, jaki sobie zaplanowałem stworzyć wokół salonu.

Astrid i dzieciaki byli w kuchni. Pewnie jedli obiad.

Nie chciałem czuć się odrzucony, ale oczywiście i tak się czułem.

Skupiłem się na swoim planie przeorganizowania naszej przestrzeni mieszkalnej.

Chciałem tak to urządzić, żebyśmy przed sypialniami mieli zamknięty obszar, gdzie byłaby nasza „kuchnia” i główne zapasy. Pociąg z łózkami mielibyśmy tuż obok. Na zewnątrz wychodzilibyśmy tylko na Śmietnisko i po więcej zapasów.

Gdzieś z tyłu głowy wiedziałem, że wykonuję takie ruchy, jakbyśmy mieli zostać w Greenwayu na bardzo, bardzo długo, ale w danej chwili potrafiłem myśleć tylko o tym, że muszę pokazać Astrid, że mam świetne pomysły, że jestem inteligentny i niezależny. I że potrafię przesuwac bardzo ciężkie rzeczy. Taka była prawda.

Nim zdołałem dopchać drugą ściankę do salonu, z kuchni wróciła Astrid z dziećmi. Ona i ja ignorowaliśmy się.

Bez słowa podała mi kanapkę z masłem orzechowym i dżemem, a ja bez słowa ją zjadłem i wróciłem do pracy.

Kanapki z masłem orzechowym są przepyszne, ale to pewno rozumie się samo przez się.

Dzieciaki próbowały grać w grę planszową w świetle lampek choinkowych. Caroline leżała na boku. Wyglądała na zmęczoną.

- Dean, chodź pograj z nami w Monopol – zażądała Chloe. - Caroline i Henry zupełnie nie umieją grać.

- Nie! – warknąłem.

Trzy małe główki od razu uniosły się w przerażeniu, a Astrid spojrzała na mnie pytająco.

Wyglądało na to, że tu w Greenwayu każde niegrzeczne słowo od jednego z osobników z grupą 0 wywołuje u pozostałych odruchowe szacowanie ryzyka.

- Nic mi nie jest – zapewniłem. – Wyluzujcie.

Poszedłem sobie.

Niech się gapią.

Monopol to gra moja i Aleksa. To nasza rodzinna gra, ale oni tego nie rozumieli. Tu chodziło o strategię i tradycję i żadne z nich nigdy nie pojmie tych wszystkich niuansów.

Nie chciałem, żeby w ogóle w to grali.

Pomaszerowałem do działu z zabawkami po kolejną ściankę, myśląc sobie, że nigdy, przenigdy nie będę już grał w Monopol z nikim poza Alekssem. Nigdy, choćby nie wiem co.

Niewykluczone, że zachowywałem się nieco infantylnie.

Przetoczenie trzeciej ścianki okazało się trudniejsze.

Udało mi się przepchać jedną całkiem spory kawałek, po czym nagle utknęło kółko i za nic nie chciała ruszyć dalej, więc musiałem się cofnąć po inną.

Gdy leżałem na brzuchu w dziale z zabawkami, próbując odblokować kolejną ściankę, usłyszałem ciche kroki Astrid.

- Dean, przepraszam, jeśli... byłem wobec ciebie podła czy coś w tym guście – powiedziała.

Ale nie brzmiało to tak, jakby było jej przykro. Raczej jakby była zaniepokojona.

Patrząc teraz na nią z podłogi, widziałem dobrze jej brzuszek pod krawędzią bluzki.

Wyraźnie zaznaczony. Mały brzuszek.

Nagle dotarło do mnie, że przecież ona jest w ciąży. Ze może powinienem o tym pamiętać i wyluzować, jeśli zachowuje się trochę, jakby... jakby przechodziła burzę hormonalną.

- Mógłbyś do nas przyjść? - poprosiła.

Usiadłem i spojrzałem na nią.

Przygryzała dolną wargę.

- Caroline usnęła i kiedy chciałam ją przesunąć... Jest rozpalona. Naprawdę rozpalona.

- To nie moja wina – zastrzegła Chloe, gdy do nich podszedłem. Snuła się przed „sypialnią”, którą dzieliła z bliźniakami. – Tak tylko mówię, bo to, że tak wyszło z tym szczurem, wcale nie znaczy, że to wszystko moja wina.

Dwa dziecięce materacyki zajmowały całą podłogę w ich sypialni.

Lustro zabazgrali kredkami – były to rysunki domów, drzew, rodzin, wszystkich tych rzeczy, które zawsze rysują małe dzieci. Tylko że w naszej sytuacji miały zupełnie inny wydźwięk.

Rysunek, który naprawdę mnie powalił, był autorstwa Henry'go i przedstawiał trzy osoby. Mówię osoby, ale to były raczej uśmiechnięte kształty przypominające mniej więcej ziemniaki z pędami, które miały być rękami i nogami. Z każdej ręki wyrastały długie palce niczym nogi pająka. Palce nachodziły na siebie - trzy postacie trzymały się za ręce. Ta po prawej miała czerwone kropki na głowie, ta po prawej miała czerwone długie zygzaki, a ta w środku miała brązową skórę i dwie czarne plamy na czubku głowy.

Josie. Był to rysunek przedstawiający Josie z bliźniakami.

Boże, jak żałowałem, że nie ma z nami Josie.

Caroline była blada i spocona. Leżała na materacu. Wśród wymiętych prześcieradeł i koców.

Przy niej leżał Henry. Przyciskał twarz do jej twarzy.

- Ona nie zaraża – powiedział obronnym tonem na mój widok. - Mogę przy niej być.

- Oczywiście – uspokoilem go.

Przyklęknąłem na materacu. Cały pokój cuchnął. W kącie zobaczyłem stertę brudnych ciuchów, a może i pieluch. Bliźniaki bały się iść po ciemku same na Śmietnisko, więc wróciły do pieluch.

- Hej, Caroline – spytałem cicho. – Jak się czujesz?

Uniosła powieki i spojrzała na mnie. Oczy miała wielkie i szkliste.

- Dobrze – odpowiedziała.

Z kącików jej oczu pociekły łzy. Nie otarła ich. Spłynęły na Henry'ego, bo przyciskał swoją twarz mocno do jej policzka. Też ich nie otarł.

- Przyjrzę się twojej nodze.

Odsunąłem kołdrę zwiniętą wokół jej nóg.

- Nogę ma gorącą - powiedział Henry.

Gdy odchyliłem kołdrę, zobaczyłem, że Henry przyciska stopę do bandaża Caroline.

- Co robisz? - spytałem.

- Ochładzam swoją nogę, a potem przyciskam do jej nogi. To jej pomaga. Potem zmieniam nogi, kiedy już jedna mi się rozgrzeje. To naprawdę pomaga. Prawda, Caro? Pomaga.

Caroline pokiwała słabo głową.

- Możemy to lepiej rozwiązać - powiedziałem. - Henry, przesunij się na chwilę, dobra?

- Okej - zgodził się niechętnie.

Ostrożnie przesunąłem nogę Caroline i oderwałem plaster. Jęknęła.

Rana była opuchnięta, czerwona na brzegach i biała w środku. Zakażona. Nawet ja to widziałem.

Panika uderzyła mnie w brzuch jak bezlitosna pięść. Dlaczego od razu nie dałem małej antybiotyku? Zaćmiło mnie czy co?

W duchu przekląłem się za tę niewybaczalną głupotę. Muszę zacząć myśleć jak przywódca.

- Nic mi nie jest – zapewniła przerażona Caroline.

- Jasne - przytaknąłem. - Nic a nic. Ale wiesz co, dam ci odrobinę lekarstwa. Żebyś czuła się jeszcze lepiej.

- Okej – odpowiedziała.

Wstałem, a Henry znów się do niej przytulił.

- Nie... nie przyciskaj do niej swojej stopy, Henry. Przyniosę ci coś, czym będziesz mógł ochładzać jej nogę.

Coś sterylnego, na litość boską.

Astrid przyszła za mną do apteki.

- Jest źle, prawda? – spytała.

- Tak. Ale mamy tu całą aptekę. Damy radę.

- Luna nie chce wyjść z za kanapy – dodała. – Wyłożyłam jej całą puszkę karmy, ale nawet nie tknęła.

W aptece wciąż był straszny bałagan, ale po chwili znalazłem to, czego szukałem – paczkę Super-Z.

- Co to? – spytała Astrid.

- Antybiotyki.

- Skąd wiesz, że odpowiednie dla Caroline?

- Latem rozciąłem sobie nogę o słupek w ogrodzie. Rana się zaogniła i źle wyglądała. Lekarz dał mi to.

- Ale jaką dawkę? – Wyłamywała sobie nerwowo palce-

- Nie wiem, Astrid - odparłem. - Ale uważam, że to najlepsze, co możemy zrobić.

- Musiałam to powiedzieć. Rozumiesz? - zmieniła nagle temat.

- Właśnie o to chodzi, że nie musiałaś – odpowiedziałem. – Nigdy w życiu bym...

Skrzyżowała ręce na piersi i odsunęła się ode mnie.

Wziąłem głęboki wdech i zacząłem od nowa:

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Prawie się nie znamy.

Wszystko, co sobie o mnie myślałaś, wszystko, co ja myślałem o tobie... zapomnijmy o tym i zacznijmy od nowa. Bo wiesz jeśli tak do tego podejmiemy, to może nawet uda nam się zostać przyjaciółmi. – Może trochę mnie poniosło. Ale mnie słuchała, więc ciągnąłem dalej: - Prawdziwymi przyjaciółmi, którzy mogą na sobie polegać. Bóg jeden wie, że naprawdę potrzebujemy kogoś, komu możemy ufać. Co ty na to? -I spytałem.

- No – zgodziła się Astrid. – To dobry pomysł.

To był naprawdę dobry pomysł.

A jeszcze lepszym pomysłem byłoby jakimś cudem się odkochać, żebyśmy mogli zacząć od początku.

Wyciągnęła rękę, żebym ją uścisnął.

Dobra, nie mówię, że ona musiała koniecznie coś poczuć, tego przecież nie wiem, ale kiedy ja ująłem jej dłoń, to jakby we mnie piorun strzelił i popłynął wprost do mojej piersi.

Prawda była taka, że byłem w niej po uszy zakochany.
Ale może od teraz uda mi się lepiej to ukrywać.

Caroline nie potrafiła połknąć pigułek.

Pakowała je sobie do ust, brała łyk gatorade'a, ale potem cała się opluwała, pigułką i gatorade'em. Zrobił się straszny bałagan w ich sypialni.

- Wiem, co trzeba zrobić - wtrąciła się Chloe. - Trzeba jej dać trochę galaretki. Moja babcia zawsze tak robi!

I już jej pulchna postać pędziła do regału ze słodyczami.

Miała rację. Gdy zmieszaliśmy antybiotyk z galaretką, Caroline udało się go przełknąć. Na dwie kapsułki antybiotyku zużyliśmy cztery łyżeczki galaretki.

Razem z Astrid przenieśliśmy małą do salonu i położyliśmy na wersalce.

Pozostajej dwójce powiedziałem, że mają się porządnie umyć mokrymi chusteczkami i przebrać w czyste ubrania. Mieli strasznie brudne buzie i nie pachnieli najładniej.

Chloe oczywiście narzekała i wzbraniała się jak mogła.

- Gdy wy będziecie się myć, Astrid i ja wyczyścimy Pociąg - powiedziałem im. - Robimy nowy dom i w naszym nowym domu wszystko musi być czyste i ładne.

- Nowy dom - powtórzyła sennym głosem Caroline.

Następne dwie godziny spędziliśmy na kompletnym przeorganizowaniu Pociągu. Astrid pomogła mi przepchać ostatnią ściankę.

Teraz naprawdę miało się wrażenie, że to prawdziwy Dom przez duże D - mieliśmy kuchnię z półkami na jedzenie i kuchenką turystyczną. Był salon z wersalkami i regałami im książki oraz Pociąg z sypialniami.

Chloe i Henry byli zachwyceni naszym nowym Domem. Pomogli Astrid ułożyć na półkach zapasy jedzenia i leków oraz zabawki, książki i gry.

- Dean! - zawołała Chloe, wracając obładowana torbami i ciastek. - Nasz Dom to sekretny domek!

Caroline poruszyła się we śnie i Astrid uciszyła Chloe.

- Ona ma rację - dodał Henry ciszej. - Naprawdę wygląda jak sekretny domek. Możemy zrobić z niego jeszcze większy sekret?

- Możemy go ukryć? - pytała Chloe.

- Jak to „ukryć”? - nie rozumiałem.

Wyciągnęli mnie przez dziurę między ścianami, żeby mi pokazać.

Rzeczywiście, wyglądał jak sekretny domek. W ciemnym sklepie, gdyby się nie wiedziało, gdzie szukać, można by go zupełnie przeoczyć. Ścianki wyglądały, jakby były po prostu przedłużeniem ścian sklepu. Tak jakby. W każdym razie po ciemku można się było nabrać.

- Widzisz te puste półki? - pokazała mi Chloe. - Jeśli je zapełnimy, będzie to wyglądało jak każdy inny regał.

- Okej. — Wzruszyłem ramionami.

- I musielibyśmy jeszcze jakoś zabudować tę dziurę - dodał Henry.

Światło z Domu biło górą tam, gdzie kończyły się ścianki. Henry chciał jakoś tę dziurę zasłonić, żeby nie widać było, że w środku się świeci.

- Tego raczej nie damy rady zrobić - powiedziałem.

- Możemy zbudować sufit z klocków! Na przykład z lego! — świergotał.

- No, mamy mnóstwo lego - przyznałem. - Możecie spróbować.

Dobrze by było, gdyby mieli się czym zająć. Ale zaskoczyło mnie to, jak bardzo się ucieszył na to zadanie.

- Hej, Henry, nie martwisz się już tak o Caroline? — spytałem.

Wzruszył ramionami, jego piegowata buźka była zupełnie spokojna.

- Już z nią lepiej - powiedział.

- Serio? Skąd wiesz?

- Po prostu wiem – rzucił z rozbrajającą pewnością.

- Chodź, Henry, zbierzmy rzeczy, które można by postawić na półkach - ponaglała go Chloe.

Oboje włączyli czołówki i ruszyli wesoło w ciemność.

Wślizgnąłem się z powrotem przez szparę między ścianami.

- Hej – powiedziałem do Astrid z uśmiechem. – Henry mówi, że z Caroline już lepiej.

Przyłożyłem śpiącej dziewczynce rękę do czoła. Wydało mi się odrobinę chłodniejsze.

- Naprawdę? - spytała Astrid. Pochyliła się i też dotknęła czoła Caroline. – No, on chyba ma rację. Ależ te tabletki szybko zadziałały! – I uśmiechnęła się tym promiennym uśmiechem, który zawsze mnie powalał. W ciepłym świetle lampek LED wyglądała jeszcze piękniej.

- Co za ulga – powiedziałem, starając się, żeby zabrzmiało to lekko.

- Ale martwię się o Lunę.

- Myślałem już o niej – powiedziałem. – I mam pomysł.

Podszedłem do jednej z turystycznych lodówek, które tu przynieśliśmy.

Rozmrażało się w nich kilka kotletów na hamburgery.

Wyciągnąłem jedną porcję i przysiadłem na podłodze obok kanapy.

- Czy psy mogą jeść surowe mięso? – zaniepokoiła się Astrid.

- Jasne – zapewniłem. – Uwielbiają je. Mój wujek Dave ma cztery czarne labradory. Najpiękniejsze psy, jakie w życiu widziałem. Karmi je tylko surowym jedzeniem. Robi im na przykład taki gulasz z mięsa mielonego, startych warzyw i oleju lnianego.

- Fuu, obrzydliwe!

- Jednym słowem nie nadajesz się na psa - zażartowałem.

- No myślę. - Roześmiała się.

Uwielbiałem jej śmiech.

Okej, więc mogę być jej przyjacielem i potrafię ją rozśmiać. Może to wystarczy.

- Hej, hej, Luna — zawołałem cicho. Wyciągnąłem rękę, żeby pokazać jej mięso. Trzęsa się cała. - Mmmm... mięsko. Mmmm... pyszne.

Zaskomlała cicho.

- Wyłaż stamtąd, psinko - kusilem ją.

Powoli zaczęła się skradać do mięsa.

Z moim szczęściem to w sumie bym się nie zdziwił, jakby się okazało, że ma przez tego głupiego szczura wściekliznę i chce mnie zaatakować.

Ale nie, była po prostu chora i zmęczona.

Wzięła mięso z mojej ręki i polizała po palcach. Spojrzała na mnie tym swoim wdzięcznym wzrokiem i zamachała dwa razy ogonem.

Nakarmiłem ją resztą mielonki i dałem jej wody.

Potem próbowała schować się z powrotem pod kanapę, ale delikatnie ją powstrzymałem.

- Podasz mi bactine i neosporin? — poprosiłem Astrid.

Zrobiła to bez słowa.

- Brawo, Luna — pochwaliłem psa. — Teraz wyleczymy ci rany. Dzielna psina.

Nałożyłem trochę więcej maści antybiotykowej na najgorsze zadrapania. Były zaognione, o wiele bardziej niż u Caroline, ale nie wiedziałem, co innego miałbym zrobić.

Siedziałem na podłodze tak długo, że nogi mi zupełnie zdrętwiały. Chrupnęły, gdy wstawałem.

Odwróciłem się do Astrid.

Patrzyła na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Dobry z ciebie facet - powiedziała.

Jej głos wydał mi się jakiś pusty.

- No - zgodziłem się.

Zaśmiała się. Złośliwym, autoironicznym śmiechem.

- Mama mówi, że gdy poznała tatę, dosłownie usłyszała dzwoneczek i pomyślała sobie: „Dobry z niego facet”. Wiesz, normalnie chwila olśnienia.

Pokiwałem głową.

- Co jej nie przeszkodziło mieć potem całe mnóstwo beznadziejnych facetów, wierz mi.

- Twoi rodzice się rozwiedli?

- Nigdy się nie pobrali. Mama nie mogła znieść tego, jaki tata był miły.

- O... — wybąkałem. Rozmowa nie szła jakoś w dobrym kierunku.

- Jak myślisz, dlaczego Jake odszedł? - spytała, nagle zmieniając temat.

- Yyy, myślę, że chciał pomóc Braydenowi. Miał wyrzuty sumienia, że za mało zrobił, gdy Robbie strzelił...

- No, wiem, dlaczego wyszedł ze sklepu. Chciał być wielkim bohaterem. Wybrać się na rekonesans. Na wielką, głupią misję.

W jej głosie słychać było rozgoryczenie. Mówiła o Jake’u ze zwykłą dla niej surowością, ale niemal słyszało się pod tym sarkazmem rozpacz.

- Ale kiedy już pokazał nam na tym całym walkie-talkie, że szpital jest zamknięty, to dlaczego nie wrócił?

- Nie wiem.

- Powiem ci dlaczego — syknęła. — Bo on myśli tylko o sobie. To takich chłopaków sobie zawsze znajduję. — Po jej policzkach ciekły łzy. — Nawet nie wie - łkała. — O dziecku. Brr! Co się ze mną dzieje? Zupełnie się rozklejam! - Otarła Izy wierzchem dłoni. — I gdzie się podzieli tamci? Udało im się dotrzeć? Przecież już powinni być w Denver, nie? Dlaczego jeszcze nikt po nas nie wrócił?

Usiadła ciężko na wersalce. Teraz to już całkiem płakała. Nie wiedziałem, co robić, więc usiadłem przy niej i ją przytuliłem. Wydało mi się, że tak trzeba. Ze ona chce, żeby ktoś ją przytulił.

Chyba nie wykorzystywałem sytuacji.

Jej miękkie ciało było takie ciepłe w moich ramionach.

Miałem nadzieję, że naprawdę nie wykorzystuję sytuacji.

- Wiem, Astrid, wiem. To straszne. Okropne.

Bystra wypowiedź.

Zatkała, więc przytuliłem ją mocniej.

- Mam wrażenie, że zupełnie wariuję.

Szlochała mi w koszulę.

- Astrid, posłuchaj, na twoim miejscu też bym się tak czuł – powiedziałem. – Straciliśmy wszystko, nie wiemy, co z nami będzie, a jakby tego było mało, jesteś w ciąży. Jesteś w ciąży, Astrid. Musisz bardziej o siebie dbać. Naprawdę.

Spojrzała na mnie. Mokre rzęsy, zaczerwieniony nos. Jej piękna twarz zaledwie kilka centymetrów od mojej.

Wyciągnęła rękę i opuszkami palców poprawiła mi okulary.

Czułem jej oddech na swoich wargach.

Spojrzała mi prosto w oczy.

I wtedy pojawili się Chloe i Henry, każde targając po trzy pudła lego.

- Co się stało, Astrid? - zawołał Henry. - Jesteś smutna? Nie płacz!

Podbiegł do nas, odepchnął mnie i wpakował się jej na kolana. Zarzucił jej swoje chude, piegowate łapki na szyję.

- No - rzuciła Chloe. – Dość tego płakania. – Wysypała klocki z jednego pudła na podłogę. - Ten sufit z lego sam się przecież nie zbuduje, nie?

ROZDZIAŁ 6

ALEX

67-43 KILOMETRY

PORANKI NA ZEWNĄTRZ WYGLĄDAJĄ TAK: CIEMNOŚĆ. ZUPEŁNIE JAKBY PANOWAŁA NOC. Bezksiężycowa. Ale gdzieś w twoim mózgu jest to oczekiwanie, że na skraju nieba zaraz pojawi się światło. Szare niebo tuż przed pierwszymi promykami słońca. Więc czekasz na nie, czekasz, ale ono się nie pojawia.

Miałem zegarek, więc wiedziałem, że jest 6.07.

Ale było ciemno, ciemno, ciemno.

Wyglądało na to, że ranek nigdy nie nadejdzie.

Bogu dzięki, Niko czuł się lepiej.

Obudził wszystkich, poza Josie. Ona była wciąż nieprzytomna i zimna. Brayden - bez zmian. Nieprzytomny, ale żył. Sahalia uparcie wciskała mu co jakiś czas kilka kropel gatorade'a do ust.

Z Sahalią i Batiste'em wyszliśmy na zewnątrz i wypchnęliśmy autobus z rowu.

Ziemia była bardzo błotnista, śliska od gnijących liści i trawy.

Niko był wściekły, że Sahalia, Batiste i ja zdjęliśmy maski, ale naprawdę nie dało się w nich usłyszeć, co mówimy. Teraz, kiedy rozmawialiśmy z nim albo z maluchami, przynajmniej jedna strona konwersacji była zrozumiała.

I oczywiście wcale nie byliśmy najlepszą drużyną do pchania autobusu, ale nawet Niko musiał się zgodzić, że jesteśmy jedyną dostępną drużyną. Przecież tylko my mieliśmy grupę krwi B.

Bujaliśmy i bujaliśmy autobus. Na oponach widać było cienką warstwę pieniającej się, białej pleśni, ale to ani nam nie

pomagało, ani nie przeszkadzało. W końcu udało nam się trochę przepchnąć autobus i opony złapały przyczepność dzięki krzakom.

Wsiedliśmy z powrotem.

- Fuu - mruknęła Sahalia, ocierając brud ze swojej wierzchniej warstwy, czyli męskiej wiatrówki z pięć rozmiarów na nią za dużej. - Ale tam cuchnie.

- Myślę, że to przez gnijące rośliny - wyjaśniłem.

- Niech ci będzie, geeku - rzuciła i wskoczyła na fotel przy Braydenie.

Nawet gdybyśmy byli dwojgiem ostatnich ludzi na całej ziemi - swoją drogą, nie, żeby to było aż tak niemożliwe, jak było jeszcze miesiąc temu to Sahalia i tak by była dla mnie niemiła, a ja dalej bym udawał, że to mnie w ogóle nie obchodzi.

Prowadził Niko. Jechaliśmy dołem, wzdłuż autostrady. Nasyp, z którego zjechaliśmy, nie był wysoki. Jakies 4-6 metrów.

Myślałem o Deanie. Wiedziałem, że się martwi. Już dawno powinniśmy być na lotnisku. Już powinniśmy wysłać kogoś, żeby ich uratował.

Potem Niko wskazał mi duży znak drogowy.

Musieliśmy się zdecydować, czy jechać 1-25 do 1-225, czy skręcić na prawo i wybrać płatną autostradę.

- Płatną jedzie się bezpośrednio - powiedziałem. - Ale pewnie będzie bardziej zapchana, bo wszyscy chcą tak jechać. Z drugiej strony, 1-225 prowadzi chyba przez bardziej zaludnione obszary, bo jest bliżej samego Denver.

Niko myślał chwilę, a potem bez słowa wjechał na płatną autostradę.

Och, Dean.

To było straszne.

To wszystko było takie straszne.

Jechaliśmy naprawdę sprawnie płatną autostradą. Dojechaliśmy do Parker, czyli byliśmy gdzieś tak w połowie drogi na lotnisko.

Zobaczyłem coś na drodze.

Światła reflektorów się od tego odbijały. Lśniąca postać. Jak duch.

- Patrz tam! - krzyknąłem. - Coś białego.

Przetarłem pleksyglas i zmrużyłem oczy. Teraz już widziałem, że to dziewczyna.

Miała biały płaszcz, jakimś cudem wcale nie był brudny, a jej twarz nie była zakryta.

- Stój! To dziewczyna! - krzyknąłem.

Miała długie, jasne włosy. Niemal białe, takie jak Max.

Uniosła dłonie, żebyśmy się zatrzymali. Miała gołe ręce.

Niko zwolnił, ale się nie zatrzymał.

Zatrąbił.

- Niko, musisz się zatrzymać!

- Nie! - krzyknął. - Za duże ryzyko.

Dziewczyna otworzyła usta i widziałem, że krzyczy, żebyśmy się zatrzymali, choć jej nie słyszałem.

- Stop! - darła się Sahalia.

Maluchy też się dołączyły.

Niko walnął po hamulcach.

- Nie podoba mi się to - mruknął.

Otworzyłem drzwi.

- Wsiadaj! - zawołałem do dziewczyny.

I wtedy ich zobaczyłem.

Ciemność się poruszyła. Tak to wyglądało. A potem wyłoniły się z niej postacie. Chłopcy. Nastolatki w kamuflażu. Twarze mieli pomalowane, a może umorusane błotem.

Trzech rzuciło się w moją stronę, a ja szybko zamknąłem drzwi. Zaczęli w nie walić.

Niko próbował wycofać, ale podłożyli coś za autobusem. Nie wiedziałem co. Próbował wrzucać wsteczny, ale tylko uderzał w coś za nami (to były dwa motocykle).

Dwójka tamtych przepchała motocykl i postawiła przed naszą maską.

- Byliśmy w pułapce.

Jeden z nich - chyba przywódca - stanął przed autobusem i zastukał karabinem w pleksiglas.

Miał szalik zawiązany na ustach i czarny beret na głowie. Jego oczy były zaczerwienione i dzikie.

- Kim oni są?! - piszczała Sahalia.

- To kadeci - odpowiedział Niko. - Ze szkoły lotniczej.

- On jest 0. On jest 0! - wrzeszczałem.

Niko walnął po klaksonie.

- Z drogi! - ryknął i zaniósł się kaszlem.

- Z drogi! - darłem się.

- Walcie się! - odkrzyknął przywódca. - Przejmujemy ten autobus!

- Powiedz im, że mogą jechać z nami - polecił mi Niko. Przez maskę nie mogłem mówić na tyle głośno, żeby nas słyszeli.

- Możecie jechać z nami! - krzyknąłem. - Jedziemy na lotnisko.

- Jeśli wyrzucą broń - dodał Niko.

- Jeśli wyrzucicie broń!

Przywódca znów walnął kolbą karabinu w pleksiglas.

- W Denver zabijają ludzi! Nie wiecie o tym, idioci? - krzyknął. - Dzielą ich na grupy i zabijają wszystkich, którzy to widzieli. Nie chcą mieć żadnych świadków!

Spojrzałem na Nika.

Sahalia była tuż za nami.

- Odbiło mu - powiedziała. - Ma paranoję.

Trzech pozostałych kadetów stanęło wokół przywódcy.

- Może on ma paranoję - zgodziłem się. - Ale oni?

Wszyscy byli tylko zakamuflowani. Nie mieli masek. Uznałem więc, że muszą mieć grupę krwi AB albo B.

- Gdzie się podziała dziewczyna? - wyrwało mi się.

Potem rozległ się huk i maluchy zaczęły wrzeszczeć.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że jeden z kadetów wchodzi do autobusu przez tylne okno. Rozrąbał je jakoś siekierą.

Inny kopał w drzwi.

Niko wstał i chwycił swój plecak, w którym miał pistolet.

Ale nim zdołał wyciągnąć broń, drzwi się otworzyły i tamci już byli w środku.

- Chryste! - ryknął przywódca. - Ten autobus jest pełen żarcia!

Zaczął wrzeszczeć z radości jak szalony, potem chwycił Sahalię i pocałował ją w usta. Wyrwała mu się, a Niko ją złapał i odciągnął od niego.

- Łapy precz! - warknął.

Przywódca bandy walnął go w twarz.

Nikowi zsunęła się trochę maska, a facet ją chwycił i pociągnął, tak że nie przylegała już do twarzy.

- Przestań! - wydarłem się. - On umrze!

Kopnąłem tamtego, a on puścił maskę i obrócił się w moją stronę.

Chwycił mnie za kurtkę.

- Wiesz, co zrobimy? Powiesz mi wszystko, co wiesz, a ja oddam waszemu kierowcy maskę. Co ty na to?

Niko sapał ciężko. Sahalia była na podłodze. Zaczęła dyskretnie odciągać od nas Josie.

Do środka wchodziło coraz więcej kadetów. Przybijali piątki, zadowoleni ze swojej zdobyczy.

- Po pierwsze, co jest nie tak z tym tu? - spytał przywódca, wskazując Josie.

- Z tym...? - zająknąłem się. Nie od razu zaskoczyłem.

Myślał, że Josie jest chłopakiem. Okej, może to nawet lepiej. - Ma grupę 0, więc musieliśmy...

- A z tym? - przerwał mi i wskazał Braydena.

- Z Braydenem? Został postrzelony - powiedziałem. - Zabieramy go im lotnisko, żeby obejrzał go lekarz.

- Chryste! - ryknął i zobaczyłem, że jego ludzie drgnęli nerwowo. - Głuchy jesteś czy co? Mówię ci przecież, że na lotnisku zabijają ludzi. Chcą nas dorwać. Ten wasz Brayden już właściwie nie żyje.

Czy to prawda? Uznałem, że nie. Facet najwyraźniej zupełnie oszalał.

Sahalia zaczęła łkać. Nie wiem dlaczego, ale to zwróciło uwagę przywódcy.

- O, miałaś może słabość do Braydena? Nie płacz, ślicznotko. Payton się tobą zajmie. - Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. - Dobrze się tobą zaopiekuję, złotko. Będiesz moją specjalną dziewczyną.

Niko próbował się przesunąć, żeby - bo ja wiem - może rzucić się na faceta, ale inni kadeci natychmiast go powstrzymali.

- Dlaczego wasz autobus nie sparciał? - wypytywał dalej Payton.

- Nie sparciał?

Przewrócił oczami.

- Biała piana. Rośnie na gumie. Zżera opony. Skąd macie ten autobus?

- Byliśmy zamknięci razem z nim w hipermarkecie - wyjaśniłem. Zalepiliśmy okna i drzwi, więc nie byliśmy wystawieni na...

- Opuściliście wielki, bezpieczny od powietrza z zewnątrz sklep, pełen żarcia i wody, żeby dowieźć Braydena do Denver?

- No tak - wybąkałem.

- Od jak dawna jesteście w drodze?

- Jak to „od jak dawna”?

- Od ilu godzin? Po dwudziestu czterech opony parcieją.

- Wyjechaliśmy wczoraj około dziesiątej rano...

- Pięknie! Czyli jeszcze chwilę pociągną. Ostatnie pytanie... - odwrócił się z powrotem do mnie. - Gdzie jest ten sklep?

Pochwyciłem spojrzenie Nika. I ledwie zauważalny ruch głową.

- King Soopers - skłamałem.

- Który?

- W Castle Rock.

- Który, do cholery?

- Ten... ten...

- KŁAMIESZ! - ryknął.

I trzasnął mnie w twarz. Myślę, że nie rozciąłby skóry, gdyby nie miał pierścienia.

Paliło jak ogień. Krew była wszędzie, na moich rękawiczkach, ciekła mi po szyi.

To Batiste wykrzyczał:

- Jesteśmy z Greenwaya w Monumencie. Z Greenwaya w Monumencie, w Kolorado.

Payton zarechotał.

- No, temu to wierzę! - Uśmiechnął się do Batiste'a. - Dobra, chłopcy, jedziemy do Monumentu!

- Ale Brayden! - wrzasnęła Sahalia. - Umrze, jeśli nie dowieziemy go do Denver!

Payton znów przyciągnął ją do siebie.

- Daj mi buziaka, a go tam dla ciebie zawiozę, słonko.

Jej oczy zrobiły się naprawdę wielkie, przerażone. Stała na palcach i pocałowała go w ten paskudny policzek.

Balem się, że ją chwyci i pocałuje mocniej. Albo jeszcze gorzej, zamiast tego przyłożył sobie tylko dłoń do policzka.

- Mmm, czysta słodycz - mruknął. - Ale z ciebie cudo.

Wziął ją pod brodę i zmusił, żeby na niego popatrzyła, Sahalia jest jak jakiś magnes na dupków.

- Dla ciebie, mała, uratuję Braydena! Koty! - ryknął Payton na kadetów. - Musimy uratować tego chłopca.

- Tak jest, sir! - odkrzyknęli kadeci.

- Zabierzemy go do Denver!

Potem chwycił mnie za kurtkę i pchnął w stronę drzwi.

- A teraz wynocha. Wszyscy. Musimy zabrać Braydena do Denver.

- Co? - Maluchy łkały rozpaczliwie.

- WYNOCHA! - darł się Payton. Pchnął Sahalię w stronę drzwi. - Nawet ty, moja śliczna. Ty też musisz się stąd wynieść, bo wujek Payton musi uratować Braydena.

Wszystko działo się tak szybko. Wykopał nas z autobusu i nie mieliśmy nawet chwili, żeby zebrać myśli.

- Hej, musimy zabrać Braydena do Denver, a nie uda nam się wykonać naszej misji z całą bandą ryczących smarkaczy!

Nawet nie zabrałem plecaka, ale obejrzałem się i zobaczyłem, że Max łapie wszystkie plecaki, jakie daje radę. Ulysses też zaczął wyładowywać swój, czym popadło.

Payton wyciągnął rękę i wyrwał Maksowi wszystkie plecaki.

Max krzyknął, ale przywódca bandy podniósł go i cisnął w stronę drzwi,

- To nasze rzeczy! Czy to jasne? Autobus i wszystko w środku jest nasze! Więc lepiej spadajcie, bo na pewno nie chcecie być nasi!

Niski, oślizgły kadet wyrwał Ulyssesowi butelki z wodą i wykopał go po schodach autobusu.

Sahalia próbowała przepchać się do Braydena, ale zatrzymał ją jeden z kadetów. Wypchnął ją siłą za drzwi.

- Brayden! Brayden! - łkała.

Niko wciąż siedział na fotelu kierowcy. Wyglądał tak, jakby nie wiedział, gdzie iść i co robić.

- Hej, szofer - krzyknął Payton na Nika, kopiąc Josie w biodro butem. - Jeśli chcesz tego naćpanego dzieciaka, to go sobie weź!

Trudno powiedzieć, czy Payton pozwoliłby Nikowi zabrać Josie, gdyby wiedział, że to dziewczyna. Ale we wszystkich tych ciuchach nie dało się poznać.

Niko wstał i ruszył w stronę Josie.

Payton pochylił się i powąchał Braydena.

- Fuu, ale ten jedzie. Lepiej od razu zabierzmy go do szpitala w Denver!

Niko podniósł Josie i na wpół ją niosąc, na wpół ciągnąc, wytaszczył jakoś z autobusu.

Zauważyłem, że ma wciąż swój plecak.

Zauważyłem tylko dlatego, że szedłem tuż za nim.

- Brayden! - wydzierała się Sahalia na dworze. - Kocham cię!

To rozśmieszyło kadetów.

- Kocham cię, Brayden - przedrzeźniali ją.

- Chodźcie, koty! Musimy zawieźć tego zdechlaka do Denver! - rzucił rozkaz Payton.

Jeden z kadetów zabrał zniszczony motor sprzed maski autobusu.

- Do Denver! - cieszyli się. - Do Denver!

Ale sposób, w jaki to mówili - drwiąco i z przesadą - nie pozostawiał nam złudzeń. Nie pojedą tam.

- Nie możecie zabrać naszego autobusu! - pisnął Batiste.

- Nie możemy? - zainteresował się wysoki, przerażający chłopak. Skierował lufę broni na Batiste'a. - Tylko patrz.

Teraz oni byli już w autobusie, a my na zewnątrz, poza Braydenem.

Dziewczyna w białym płaszczu wysunęła się z za autobusu. Wygląda na przerażoną. Stała na pierwszym stopniu.

- Hej! - zawołałem za nią.

Popatrzyła na mnie. Jej wielkie błękitne oczy były szeroko otwarte.

- Nie musisz jechać z nimi. Możesz iść z nami - zaproponowałem. Pomyślałem, że może jest ich niewolnicą czy coś.

Popatrzyła na mnie uważnie, a potem pokazała mi środkowy palec.

ROZDZIAŁ 7

DEAN

DZIEŃ 13

SPAŁEM MOCNO I - ALLELUJA! - OBUDZIŁEM SIĘ DOPIERO, GDY SIĘ WYSPAŁEM!

Tak, wyspałem się!

Obudziło mnie burczenie w brzuchu.

Wyszedłem do salonu i zobaczyłem, że dzieci budują sufit z lego, a Astrid siedzi na kanapie i czyta. Śniadanie już zjedli (płatki z mlekiem sojowym, wnosząc po resztkach). Caroline wciąż była w pidżamie, ale prezentowała się znacznie lepiej. Nawet Luna wyglądała na zdrową.

Na mój widok psina wstała i obwąchała mi rękę, jakby szukała jakiegoś smakołyka.

- Dzień dobry - powiedziała Astrid. - Zrobiłam ci kawę.

- Dean, kiedy oni wreszcie przyjadą? - zaczęła natychmiast nudzić Chloe. - Mam już po dziurki w nosie tego czekania. Nic tylko czekamy i czekamy, i czekamy...

Ale przerwał jej huk.

Odwróciłem się do Astrid.

- Co, do licha? - wyszeptała.

ŁUP. ŁUP.

Huk dochodził od głównej bramy.

- Chloe, zostań tutaj i opiekuj się Henry'm i Caroline - zarządziłem.

Zamknęła buzię potulnie.

Chwyciłem czołówkę, Astrid wzięła latarkę i razem pobiegliśmy przez ciemny, zimny sklep do bramy.

Przy nas biegła Luna, szczekając jak najęta.

ŁUP. ŁUP.

Ktoś strzelał w bramę.

- Nie podchodź bliżej - ostrzegłem Astrid i wyciągnąłem rękę, żeby ją powstrzymać. Zatrzymała się tuż przy mnie, tak blisko, że nawet w tej chwili napięcia i paniki czułem ciepło jej ciała.

Usunęliśmy się na bok, stanęliśmy kawałek dalej, nie bezpośrednio przed bramą.

- Czego chcesz? – ryknąłem w najbliższą dziurę po kuli. Luna aż ochrypła od szczekania.

ŁUP. Kolejny strzał zrobił małą dziurkę w bramie.

- Zamknij się, Luna! - Astrid chwyciła ją za obrozę i odsunęła.

- Kim jesteś i czego chcesz? - ryknąłem.

- Przestań! Nie strzelaj! - usłyszałem z zewnątrz cichy głos.

Potem znów jakiś hałas i uderzenie w bramę, jakby coś albo ktoś został na nią pchnięty.

- Hej, dzieciaki - zawołał głos. - To ja, Scott Fisher.

- Ale dlaczego do nas strzelasz? Przecież daliśmy ci jedzenie! - krzyknąłem.

- No właśnie, chłopie. Ten facet tutaj...

I znów uderzenie i głucho grzechotanie za sklejką.

- Znalazł mnie i kazał mi pokazać, skąd mam żarcie, a jeśli nie dacie nam więcej, to mnie zastrzeli.

Spojrzałem na Astrid, której twarz była od dołu podświetlona latarką.

- Cholera - syknąłem.

- Musimy mu jakoś pomóc - jęknęła Astrid.

- Wiem.

Scott Fisher zawył z bólu.

- Okej - krzyknąłem. – Okej!

- Mówi, że musicie otworzyć sklep!

- Zrzucimy wam jedzenie - zawołałem.

- Zabije mnie, jeśli nie otworzycie sklepu!

- Słuchaj, nie możemy otworzyć sklepu. Ale zrzucimy wam mnóstwo jedzenia i wody, dobra?

Słuchać było jakby kłótnię, ale nie mogliśmy wyłapać z tego ani słowa. Ale słyszałem ich głosy i głos Scotta robił się coraz wyższy. Walczył? Błagał?

Znów zagrzechotała brama i teraz jego głos był już zupełnie spanikowany.

- Uważaj, mały! On chce...

Znów: ŁUP. ŁUP. Potem cisza. Było dla mnie jasne, że Scott Fisher nie żyje.

- On chce... co? – szepnęła przerażona Astrid.

- Biegnę poszukać broni - powiedziałem do niej. - Zostań tu i jeśli spróbują się dostać do środka, ostrzeż mnie trąbką.

Bogu dzięki, że już jakiś czas temu znaleźliśmy czołówki.

Wiedziałem, że wyglądam w niej jak idiota, ale kiedy biegłem przez sklep w poszukiwaniu broni, to byłem naprawdę szczęśliwy, że mam latarkę na głowie i wolne ręce.

Gdyby tylko Jake nie zabrał pistoletu. Mieliśmy dwa od tych z zewnątrz.

Jake wziął jeden, a Niko drugi. To dobrze, że Niko miał broń. Tak było lepiej.

Ale Jake zabrał pistolet, a potem nas wystawił do wiatru. Żałowałem, że w ogóle mu go daliśmy.

Pomyślałem o karabinie na ziemniaki, ale pojęcia nie miałem, jak się taki karabin robi, a poza tym z pewnością zajmowało to trochę czasu.

Przemknęło mi przez myśl, że da się jakoś zrobić miotacz ognia z aerozoli w puszkach, ale też nie wiedziałem jak.

Co robić? Mogłem wziąć trochę noży z działu kuchennego i ciskać nimi w intruzów. Ale to nie wystarczy. Miałem ochotę rwać włosy z głowy w tej swojej bezradności.

- Dean? – usłyszałem głos Chloe. Pewnie usłyszała mnie między regałami. - Co się tam dzieje?

- Nic takiego - odkrzyknąłem. - Świetnie sobie radzisz, Chloe. Po prostu staraj się utrzymać bliźniaki w Domu. I czekajcie na nas. Wszystko jest w porządku.

- Ale nam się nudzi!

- To nudźcie się do woli! — ryknąłem. Był z niej nieznośny bachor.

Popędziłem w stronę działu remontowego.

Dlaczego tyle czasu zmarnowałem na budowanie tego głupiego domu? Powinienem był szykować broń.

Gdyby był tu mój brat, on umie zrobić wszystko z niczego. Albo Niko, który zawsze myślał o przetrwaniu.

Biegłem przez sklep, mijałem regał po regale. Remontowy wydał mi się najlepszą opcją.

Grille.

I płyny do rozpalania.

Połączyć ich nimi i podpalić.

Tak, wiem, głupi pomysł, ale byłem w panice.

Przy bramie Astrid wciskała kit w dziury.

- I jak? — wysapałem, biegnąc w jej stronę.

Targałem ze sobą zgrzewkę puszek z płynem do rozpalania i kilka długich zapalniczek.

- Poszli sobie - powiedziała cicho. — Teraz ich nie ma.

- Jesteś pewna?

- Od dłuższej chwili jest cicho.

- Dobrze, dobrze, to dobrze — wyszeptałem.

- Zamierzałeś zagrillować ich na śmierć? - spytała Astrid z rękoma na biodrach.

Szlag mnie trafił. Ale natychmiast mi przeszło, gdy w świetle czołówki zobaczyłem w jej oczach ogniki.

I wybuchnąłem śmiechem.

Zawtórowała mi i dostaliśmy zupełnej głupawki, aż łzy płynęły mi po twarzy.

- Aż mnie brzuch boli - wysapałem. - Zabawna jesteś.

- Zdarza mi się - odpowiedziała. - Znalazłam kit. Pomożesz mi pozalepiać te dziury po kulach?

- Jasne.

Przy pracy powiedziałem jej o swoim pomysśle.

- Widziałem w dziale remontowym piły łańcuchowe.

Większość jest spalinowa, ale jest też kilka elektrycznych.

Trochę się znałem na piłach, bo latem pomagałem wujkowi ścinać drzewa, żeby oczyścić ziemię pod Placerville. Wujek Dave miał dwie piły, spalinową i elektryczną. Ta druga była znacznie słabsza, ale z dębem sobie radziła. Wzdrygnąłem się, na myśl, co mogłaby zrobić z człowiekiem.

- A nie da się użyć tego płynu do grilla jako paliwa? — Astrid wskazała głową puszkę, które przytargałem.

Podniosłem jedną.

- Nie. To nie kerozyna, tylko rozpuszczalnik alifatyczny.

Cokolwiek to znaczy.

- Hm, ale jak naładujesz tę elektryczną piłę? - spytała.

- Może akumulatorem?

- No, to może zadziałać - przyznała.

Stanowiliśmy dobrą drużynę. Cieszyłem się, że ustaliliśmy, że będziemy przyjaciółmi. Dotrzymywała umowy, a ja robiłem, co mogłem, żeby nie czcić jej jak bogini.

- Gdzie wyście się podziewali? Czy wszystko naprawdę musi być na mojej głowie? — napadła na nas Chloe, gdy wróciliśmy, podłączywszy piły do akumulatorów.

Bawili się w szpital i Caroline była, adekwatnie do sytuacji, pacjentką.

- Żli ludzie chcieli się dostać do środka - powiedziała Astrid.

- Żli ludzie? - powtórzył Henry.

On i Caroline spojrzeli na nas z takim samym przerażaniem w oczach.

Co jakiś czas, gdy się opiekowałem bliźniakami, serce jakoś mi się ścisnęło. Ta dwójka była taka, no, nie wiem, piękni. Wiem, że to durne określenie. Ale tacy byli. Mali i ciepłutcy. Z szerokimi uśmiechami i nadmiarem piegów. Bałem się myśleć, jak bardzo pani McKinley za nimi tęskni. O ile jeszcze żyła. Musiałem się nimi dobrze zajmować – nieważne, czy w jej imieniu, czy ku jej pamięci.

- Jak bardzo źli? – spytała Chloe.

- Co? – wybąkałem.

- W skali od jeden do dziesięciu, jak źli byli tamci ludzie?

- Pojęcia nie mam - mruknąłem. – Wystarczająco.

- Ale nie udało im się pokonać bramy - powiedziała Astrid i zmierzwiła Henry'emu włosy. – Ich strata.

Astrid miała całkiem niezłe podejście do dzieci. Josie by pewnie ukryła prawdę i wcisnęła im jakąś bajkę. Ale na moje wyczucie dzieci wołały znać prawdę. Źli ludzie próbowali się dostać do środka, ale im się nie udało. Takie były fakty.

- Caroline, już czas, żebyś wzięła łyżeczek piwa imbirowego – przypomniało się Chloe.

Caroline potulnie wypijała.

- Dobrze, a teraz Henry sprawdzi ci puls – rzuciła dalej Chloe.

Henry pochylił się nad kanapą i przycisnął palce gdzieś w okolicach łokcia Caroline.

Bliźnięta popatrzyły na siebie wielkimi, poważnymi oczami.

- Jest lepiej! - oświadczył. - Sto dziewięć i cztery osiemdziesiąt.

- Doskonale - pochwaliła Chloe. - Teraz pacjentka musi zjeść więcej krakersów.

Henry karmił siostrę kawałkami ciastek, a Chloe go pilnowała, zadowolona ze swojej wydajności i zaradności.

- Dean, mam pomysł – powiedziała Astrid. – Widziałam na którymś regale mosiężną misę, w której można by rozpałił ogień. Pomyślałam sobie, że mogłabym ją zaciągnąć do kuchni,

bo tu może lepiej nie rozpalać ze względu na dym. Ale miło by było mieć ogień w nocy.

- No, fajny pomysł. - Wziąłem głęboki wdech i przeczesalem sobie włosy dłonią. Ten poranek zaczął się dość... intensywnie. — Tylko zjem śniadanie — powiedziałem do Astrid. - I potem obejdę sklep, żeby sprawdzić, czy jesteśmy bezpieczni.

- Dobra myśl - stwierdziła.

ROZDZIAŁ 8

ALEX

41 KILOMETRÓW

NIKO STAŁ Z JOSIE NA RĘKACH. GŁOWA ZWISAŁA JEJ ODCHYLONA DO TYŁU, Podskakiwała bezwładnie. Sahalia łkała i tuliła się rozpaczliwie do Ulyssesa, który też płakał.

Reszta stała oszołomiona. Trudno nam było ogarnąć fakty. Zabrano nam autobus. Zostaliśmy sami w ciemności.

- Musimy odzyskać autobus! - zawodziła Sahalia. - Musimy ich zaatakować, wykopać i uratować Braydena!

- Słuchajcie... - próbował się wtrącić Max.

- Jak? - spytał Niko zza maski. - Mają broń. I jest ich pięciu!

- Słuchajcie! - krzyknął Max.

- Musimy znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę i poczekać, aż obudzi się Josie. Potem coś wykombinujemy.

- Ale do tego czasu oni będą już daleko! - zaprotestowała Sahalia.

- Posłuchajcie mnie! - wydarł się Max.

- Czego chcesz? - ryknął na niego Niko.

- Wiem, gdzie możemy się zatrzymać - powiedział chłopiec.

Wskazał nam na kępę rachitycznych drzew. Tuż obok stała wojskowa latarnia i w jej świetle dało się przeczytać tablicę: „Wspólnota mieszkańców Meadow Flowers”.

- Co to? - spytał Batiste.

- Pole kempingowe - powiedział głośno Max, żebyśmy go usłyszeli spod maski. - Tu mieszka moja ciocia Jean.

Niko miał rację. Nie mieliśmy wyboru. W życiu nie dalibyśmy rady na piechotę dogonić autobusu. A nawet gdyby, nie zdołalibyśmy przecież wyrzucić z niego kadetów. Musieliśmy jak najszybciej poszukać sobie schronienia.

Co nie powstrzymało Sahalii przed zawodzeniem i przeklinaniem wszystkiego przez całą drogę.

Niko musiał nieść Josie. Nie wyglądało to wcale tak jak na filmach. Musiał co chwilę się zatrzymywać, żeby odpocząć, i wciąż się bałem, że mu się zsunie maska.

Maluchy szły kurczowo uczezione moich nóg i wcale im się nie dziwię. Było naprawdę strasznie.

Czasami w naszym domu wysiadały korki. Bałem się wtedy pójść do piwnicy, żeby je włączyć. Bałem się, bo w piwnicy było tak okropnie ciemno, a w tej ciemności czaiło się tyle rzeczy. Nie widziało się ich, ale się czuło. Stare kartony, narzędzia taty, kosiarka do trawy - żadna z tych rzeczy nie była ani trochę przerażająca w zwykłym świetle, ale straszna była sama myśl, że one się gdzieś tam czają w mroku. Zawsze mi się zdawało, że w ciemności czyha na mnie morderca - choć wiedziałem, że to zupełnie nielogiczna myśl.

I nasza droga przez Wspólnotę mieszkańców Meadow Flowers bardzo przypominała zejście do ciemnej piwnicy. Tylko że tu naprawdę mógł się czaić morderca.

A raczej: prawdopodobnie czaił się w ciemności jakiś morderca. Było to statystycznie bardzo prawdopodobne.

Pewnie się zastanawiacie, czy mieliśmy ze sobą latarki. Tak. Ale Niko nie pozwolił nam ich włączyć. Powiedział, że to mogłoby przyciągnąć czyjąś uwagę.

(Jakiegoś potwora z grupą 0, jak rozumiem).

Musielśmy więc zdać się na światło wojskowych latarni. A tych nie było wiele.

Minęliśmy znak Meadow Flowers i ruszyliśmy przez cmentarzysko przyczep kempingowych.

Jedna była obryzgana krwią, a między dwiema innymi pełno było ubrań wgniecionych w błoto. Odniosłem wrażenie, że celowo.

Wszędzie walały się puszki po jedzeniu i najróżniejsze butelki.

W oknach i drzwiach niektórych przyczep tkwiły meble, które ktoś próbował z nich wyciągnąć. Zupełnie jakby ludzie usiłowali zabrać ze sobą fotele i sprzęt, ale potem się poddali. Na progu jednej z przyczep siedziała martwa kobieta w podomce przyklepionej do ciała krwią.

Ulysses znów zaczął płakać i Max wziął go za rękę.

- Już prawie jesteśmy na miejscu! - krzyknął zza maski, żeby pocieszyć przyjaciela.

W jednej z przyczep, które mijaliśmy, paliło się światło. Słysząc było starszego człowieka śpiewającego piosenkę country, którą nuciła mi kiedyś babcia. *Let's give them something to talk about* Bonnie Raitt.

Nie zapukaliśmy.

Nikowi coraz trudniej było nieść Josie, więc przynajmniej wziąłem od niego plecak. Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć i mu to zaproponować, ale chyba po prostu zbyt się bałem.

W końcu Max wskazał nam jasnoniebieską przyczepę na skraju pola kempingowego.

Była ciemna, ale nie było na niej smug krwi i okna nie były wybite. Zauważyłem, że szyby są zaklejone od środka. Kolejny dobry znak.

Max wszedł na schodek i zapukał do drzwi.

- Ciociu Jean! - krzyknął. - Ciociu Jean?

Przez chwilę nic.

Zaczął walić w drzwi pięściami.

- Ciociu Jean, to ja!

W samym rogu okna uniosła się lekko zasłona i mignęło mi czyjeś oko.

- Idźcie sobie! Nic nie mam! - wydarła się kobieta.

- Wpuść nas! - odkrzyknął Max.

- Czego chcecie?

- To ja! To ja, Max! Max Skolnik! Syn Jimmy'ego!

Drzwi się uchylily.

Buchnęła na nas chmura dymu papierosowego. Nie przesadzam.

- Maksio? - spytała, wystawiając głowę przez uchylone drzwi.

W pierwszej chwili nie zarejestrowałem nic z jej wyglądu poza tym, że ma złoty ząb.

- To ja, ciociu! - potwierdził Max.

A ona otworzyła drzwi na oścież.

I wszyscy wpakowaliśmy się do środka. Nareszcie bezpieczni.

Pani Jean płakała potem i płakała, tuląc Maksa i zalewając łzami jego jasne włosy, aż wyglądał, jakby się mocno opalił.

Jestem prawie pewien, że była pijana.

W środku było mało miejsca. I pełno dymu.

Powiedziała nam, że pali bez przerwy, bo dym eliminuje chemikalia.

Najpierw nie bardzo jej wierzyłem, ale nie kłamała! Niepewnie zdjęliśmy nasze ochronne warstwy i naprawdę wszystko było okej.

To była bardzo dobra informacja. Bardzo cenna.

Papierosy były wszędzie. Ich sterty piętrzyły się w popielniczkach, słoikach, na papierowych talerzykach i starych wydaniach pisma „Star News”. Było też kilka śmierdzących świeczek. To znaczy zapachowych. I wszystkie te aromaty wymieszane z dymem sprawiały, że zapach był dość intensywny. Kwiaty, wanilia, żurawina i jakieś spelunkowe smrody.

Pomogłem Nikowi i Jean położyć Josie na łóżku z tyłu przyczepy.

Gdy tylko to zrobiliśmy, Niko osunął się na podłogę i zobaczyłem, że płacze.

- Nie zamartwiaj się - powiedziałem. - Nic nie mogłeś zrobić.

- Schrzaniłem sprawę - syknął. - Mieliśmy jedną szansę. Wiem, że mogło nam się udać. Ale zawiodłem.

Oparł głowę o łóżko i płakał.

Poklepałem go po plecach. Nie wiedziałem, co robić. Nie jestem najlepszy w takich sytuacjach. Nigdy nie wiem, co powiedzieć, i tylko stoję obok, bezradnie wymachując rękami.

Wróciłem do pokoju i zobaczyłem, że Sahalia siedzi na parapecie z dala od innych i pali papierosa.

Nie powinno mnie to jakoś specjalnie zszokować, ale jednak.

Na mój widok przewróciła oczami.

Ciocia Maksa pomagała dzieciom zdjąć warstwy ubrań. Mocowała się właśnie z bluzą Ulyssesa.

- Boże jedyny, ty to masz sadełka, co, kochasiu? - powiedziała.

Uśmiechnął się do niej nieśmiało.

- Jest pani pewna, że możemy bezpiecznie zdjąć im ubrania? - spytałem.

- Ciuchy są pełne tego paskudztwa - odpowiedziała, błyskając złotym zębem. - Wszyscy wyskakujcie z łachów, to je wam zaraz wyczyszczę.

Batiste, Max i Ulysses wyglądali dość bezradnie. Stali w samej bieliźnie i podskakiwali niepewnie.

Sahalia, jak się domyślacie, nie chciała mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Zaciągnęła się papierosem i wzruszyła ramionami.

Jean miała na sobie obcisłe dzinsy, pantofle na wysokim obcasie i taki świąteczny sweter, który cały się mienił. Widniał na nim bałwan ze spiczastym, pomarańczowym nosem, a na jego białym brzuchu były sztuczne diamenciki zamiast guzików.

Wzięła wszystkie ubrania, które zdjęła z Maksa, Batiste'a i Ulyssesa, i włożyła do wielkiej torby na śmieci.

- No już, synek - syknęła na mnie, pstrykając palcami. - Rozbieraj się do rosołu, to se to wszystko zrobię za jednym zamachem.

- Mowy nie ma! Nie przy was - zachnąłem się, wskazując ją i Sahalię.

- Na litość boską, słonko, to jest kwestia bezpieczeństwa, nie? Oparła dłonie na biodrach, z kącika jej ust zwisał papieros.

- Ja nie muszę - upierałem się.

Pani Jean podeszła do wieszaka na ścianie i podała mi znoszony, biały szlafrok z napisem „Marriott”.

- Idź do kibelka i przebierz się w to, a ciuchy wyrzuć mi przez drzwi - poleciała. - Tylko gatki sobie zostaw.

Powinienem był zostawić też kalesony. Gdy wróciłem do pokoju tylko w moich obcisłych majtkach pod szlafrokiem, Sahalia prychnęła pogardliwie. Miałem ochotę ją walnąć w tego papierosa.

Jean spięła potargane włosy i coś się zmieniło w jej wyglądzie w ciągu tej chwili, gdy mnie nie było. Nie od razu się połapałem co. Potem wyciągnęła papierosa z ust i się zorientowałem - na papierosie był teraz ślad po szmince.

A wszystkie pety na stole, przy drzwiach i w całej przyczepie były bez szminki.

Umalowała sobie usta w ciągu tych piętnastu minut, kiedy tu byliśmy. Umalowała sobie usta dla bandy dzieciaków.

Czy to nie dziwne? Mnie się wydało dziwne. I pojęcia nie mam, dlaczego utkwiło mi to w pamięci, ale tak się stało.

- Dobra, teraz wam pokażę, jak to działa - powiedziała. - Tak się czyści ciuchy w dzisiejszych czasach.

Zaciągnęła się mocno papierosem i dmuchnęła dymem do torby z ubraniami.

- Może byś mi pomogła? - poprosiła Sahalię.

- Ja pomogę! - zaoferował się Max.

- Piłeś czy co? - ofuknęła go pani Jean. - Jimmy by mnie zabił, gdybym pozwoliła jego dzieciakowi palić.

A potem pani Jean się rozplakała i Sahalia musiała sama dmuchać do torby.

ROZDZIAŁ 9

DEAN

DZIEŃ 13

NAPIERW SPRAWDZIŁEM, JAK IDZIE ŁADOWANIE. ODŁACZYŁEM BATERIE OD AKUMULATORA i włożyłem do piły.

Wcisnąłem przycisk i wrr... piła ożyła. Wyłączyłem ją natychmiast. Nie chciałem zaniepokoić Astrid hałasem. Ani l tym bardziej przyciągnąć uwagi maluchów. Jeszcze by do mnie przybiegły.

Ale strasznie mi ulżyło. Teraz przynajmniej mieliśmy jakąś broń. Nie żeby to cokolwiek dało w starciu z pistoletem i kulami, ale w walce wręcz piła może być... przerażająca. Miałem wielką nadzieję, że sam jej widok odstraszy ewentualnych intruzów.

Następne zadanie czekało mnie w magazynie.

Chciałem się upewnić, że kłapa jest dobrze zamknięta, a poza tym wiedziałem, że muszę wreszcie zrobić coś z ciałami.

Wziąłem ze sobą dwie piły, bo chciałem je zanieść do Domu, gdy już skończę w magazynie. Uznałem, że muszę pokazać Astrid, jak się nimi posługiwać. Tak na wszelki wypadek,

Miałem rację – ciała zaczęły już cuchnąć.

Trzeba je jakoś odizolować. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to zapakować je w olbrzymie worki na śmieci. Żaden nie był jednak dość duży. Za diabła nie wcisnęłyby się do żadnego.

Potem pomyślałem o plastikowych płachtach malarskich, ale te z kolei wykorzystaliśmy do uszczelniania bramy.

Ruszyłem więc po zasłony prysznicowe. Część już zużyliśmy, ale może nie wszystkie.

I tak pan Appleton i Robbie wylądowali pod całunem z nylonowej zasłony prysznicowej w łączkę.

Może to zabawne. Ale mnie wcale nic było do śmiechu, gdy musiałem ich zawinać. Ciało pana Applctona śmierdziało, było

sztynne i tak ciężkie, jakby ktoś mu odessał krew i zastąpił cementem.

A Robbie wyglądał naprawdę makabrycznie, cały zakrwawiony; koc, którym go zakryliśmy, przylepił mu się do twarzy, więc przynajmniej nie musiałem na nią patrzeć.

Owinąłem ich i położyłem jednego obok drugiego na podłodze. Teraz trzeba by ich zaciągnąć pod ścianę. Potem wziąć jakieś pudła, a może kamienie do dekoracji ogrodu czy coś takiego i zakryć nimi ciała, żeby dzieciaki ich przypadkiem nie zobaczyły, jeśli wejdą do magazynu.

No i musiałem się wytrzeć nawilżanymi chusteczkami.

Śmierdziałem jak... jak trup.

W sumie logiczne.

Nagle poczułem uderzenie.

Był też dźwięk, jakby huk, ale bardziej niż słyszeć dało się to uderzenie odczuć. Podłoga się dosłownie trzęsła.

Chwyciłem piłę i wypadłem z magazynu.

- Dean! - usłyszałem wrzask Astrid.

- Tu jestem! - odkrzyknąłem.

ŁUP.

Znów drzenie. Byłem coraz bliżej.

Rozejrzałem się, oświetlając sobie otoczenie czołówką i próbując zrozumieć, co powoduje taki hałas.

ŁUP. A potem ciężki chrupot - jakby coś miażdżyło pustaki.

Oglądałem ściany, biegałem między jedną a drugą. Dźwięk dochodził z okolicy magazynu, bliżej Śmietniska.

- Ktoś próbuje się przebić przez ścianę!

Zobaczyłem światelko Astrid, która biegła w moją stronę.

A potem ujrzałem, skąd nadciąga atak. Cementowe cegły przy podłodze wybrzuszyły się do środka. A potem przesunęły i zobaczyliśmy dlaczego.

Przez ścianę przebiły się dwa metalowe pręty.

- Mają traktor albo coś! - ryknąłem.

Pręty się wycofały.

- Chcą dostać się do środka! - krzyczała Astrid.

Zza niej wybiegła Chloe, a z nią bliźniaki i Luna, która szczykała jak opętana.

- Biegnijcie do Pociągu! – wydarłem się na nich.

- Zawsze to mówisz! – odpyskowała Chloe.

Posypało się więcej cegieł.

Nisko, na wysokości kolan, już była jedna wielka dziura na wylot.

- Schowajcie się! – wrzasnąłem na dzieciaki.

Pociągnąłem i piła ryknęła głośno.

- Dean! – darła się Astrid. – Dean! Potrzebujemy maski!

Traktor znów zaatakował. Tym razem zrobił dziurę trochę wyżej.

Otwór w ścianie był coraz większy. Pustaki wpadały do środka, na nas.

Astrid odciągnęła dzieci.

- DO POCIĄGU! NATYCHMIAST! ALBO JUŻ JESTEŚCIE MARTWI! – ryczała na nich, ciągnąc ich coraz dalej.

- Chodź, Chloe! – krzyknął Henry i razem z Caroline zaczęli ją ciągnąć w stronę pociągu.

Astrid pobiegła gdzieś między regały. Może po maski.

Nic mnie to nie obchodziło.

Już czułem, że buzuje mi krew w żyłach.

Ktoś próbuje się dostać do środka?

Zabiję.

Chce zniszczyć nasz sklep?

Zabiję.

Runęło więcej pustaków.

I zobaczyłem tę maszynę. To nawet nie był traktor. Tylko zwykły wózek widłowy.

Piła warczała i wibrowała, aż mi się ramię trzęsło.

Pokochałem tę piłę. Była niemal naturalnym przedłużeniem mojego ciała.

Przeszedłem przez sterty gruzu i wyłoniłem się na mroczny świat.

Byłem wolny i gotowy do walki. Nigdy nie czułem się tak ożywiony, tak silny i tak do szpiku kości fantastyczny.

Przy mnie biegła Luna, szczekając jak szalona.

- Dean! - usłyszałem stłumiony krzyk Astrid. - Dean, ostrożnie!

Ale nie chciałem być „ostrożny”. Nie. „Miły”, „troskliwy” to były wymysły mojego mózgu. A teraz byłem tylko ciałem, a ciało miało w sobie siłę, której nie miał mizerny umysł.

Wypchnąłem Deana, całą jego osobowość, ze swojego jestestwa.

Byłem piłą.

Przeskoczyłem nad zębami wózka, gdy znów zaatakował.. Kierowca mnie zobaczył, ale był zbyt powolny. O wiele za wolny.

Wyciągnął pistolet i wycelował we mnie, ale ja byłem szybszy.

Warcząc piłą, miotając przekleństwa, tnąc, wyszarpałem go z kabiny i zacząłem ciąć.

Szyja-ręce-tors. Po sprawie.

I jeszcze raz. Tors-brzuch-biodro. Zrobione.

Ręce miałem teraz mokre, a piła utknęła w miednicy trupa. Motor wył coraz głośniej. Chciał więcej.

Szarpałem, żeby go wyrwać, i nasłuchiwałem.

Głosy.

Chłopak i dziewczyna.

Coś jak: *Jake? Jake!* Wróciłem. *Wrócisz?* Widziałem, jak facet was atakuje, ale za wolno biegłem. *Pomóż, Jake. Dean ma 0!*

I ta myśl: dwoje do zabicia. Dwoje do zabicia.

Ale piła zupełnie utknęła. Wbiła się w kości i metal. Nie mogłem jej wyrwać.

Trudno, zabiję ich gołymi rękami.

RYKNAŁEM i odwróciłem się.

I wtedy upadłem.

Jake.

Uderzył mnie czymś.

Pustakiem.

Upadłem twarzą do ziemi. Czułem krew w ustach.

Wspaniały smak.

Teraz mogę zabić Jake'a, pomyślałem.

Ale potem była lina i już mnie związywał.

Wyrywałem się, walczyłem, ile miałem sił. Lina wpijali się w nadgarstki i kostki.

Wyłem z wściekłości, z twarzą wciśniętą w zakrwawiony asfalt.

Zaczął mnie ciągnąć z powrotem do sklepu, ze związ nymi rękami i nogami.

Twarzą po chodniku.

Zabiję go. Jake już nie żyje.

A potem stopa w białym trampku tuż przy twarzy.

I maska przeciwgazowa.

Astrid.

- Nie ugryź mnie! — krzyknęła spod swojej maski.

- WRRR! - odwarknąłem.

Siłą wcisnęła mi maskę na twarz i przylepiła taśmą do głowy.

Jake. Jake. Jake. Moja krew dudniła, wzywała do ataku.
Trzeba go zabić.

ROZDZIAŁ 10

ALEX

41 KILOMETRÓW

DŁUGO O TYM MYŚLAŁEM I DOSZEDŁEM DO WNIOSKU, ŻE LEPIEJ BY BYŁO DLA NAS, gdyby Brayden już wcześniej umarł w autobusie.

Sahalia nie byłaby taka wściekła na Nika, a Niko nie byłby taki wściekły na siebie.

I jeszcze Josie.

Boję się, że kiedy się obudzi, to będzie dla niej szok.

A gdyby Brayden po prostu umarł, moglibyśmy się czuć z tym źle, smucić się czy coś, ale jednak jakoś by się to dało znieść.

Przez jakiś czas Niko spał przy Josie, a potem Jean go obudziła i kazała mu oddać ubrania, żeby mogła je „wyprać”. Włożył jakieś męskie ciuchy, które walały się u niej w pokoju. Wszyscy byli głodni, więc zjedliśmy trochę mieszanki studenckiej i ciastek i łyknęliśmy wody. Jean też wzięła trochę od nas i pożarła w jednej chwili.

Tempo, w jakim wsuwała ciastka, dawało do myślenia. Wnioskowałem z niego, że raczej nie podzieli się z nami żadnym jedzeniem. Bo pewnie nie ma go wiele. Jeśli w ogóle coś ma.

Przejrzeliśmy plecak Nika, żeby ustalić, czym dysponujemy. Oczywiście spakował się bardzo rozsądnie, więc w plecaku było wszystkiego po trochu:

- 2 litrowe butelki wody,
- 1¹/₂ torebki mieszanki studenckiej,
- 5 paczek suszonej wołowiny,
- 4 puszki tuńczyka,
- 8 batoników proteinowych,
- Bandaże, plastry i maść antybiotykowa,
- 2 butelki syropu antyhistaminowego,

- Kilka paczek różnych pigułek.
- 1 pistolet,
- 1/2 pudełka amunicji,
- 2 latarki,
- 1 długa lina,
- 2 pudełka zapalek (każde w osobnej plastikowej torebce),
- 5 par wełnianych skarpet (moim zdaniem nieco za dużo, ale oczywiście nie komentowałem),
- 1 płaszcz przeciwdeszczowy,
- 3 świece.

Niewątpliwym problemem była woda. Potrzebowaliśmy o wiele więcej. I z jedzeniem też nie staliśmy najlepiej.

Max chciał zjeść batonika proteinowego, ale Niko powiedział, że to wykluczone.

Byłem na siebie wściekły, że nie wziąłem plecaka.

Niko mi tego nie wypomniął, ale powiedział:

Czy to wszystko, co mamy? Z całych naszych zapasów z autobusu?

I zrobiło mi się strasznie głupio.

Tak starannie nas spakował, a teraz zagarnęła to wszystko banda rabusiów.

Sahalia płakała tak długo, aż wreszcie usnęła, zwinięta na jednym z parapetów.

Max, Batiste i Ulysses ułożyli się na łóżku przy Josie. Wtulili się w siebie jak kawałki puzzli, cisnąć się do niej, jak mogli. Byliśmy bezpieczni, ale chyba potrzebowali dodatkowego poczucia bezpieczeństwa.

Zająłem drugi parapet, który wcale nie był taki wygodny, jak by się wydawało. Zamiast poduszki użyłem mojej przesiąkniętej papierosowym dymem bluzy.

Obudziła mnie kłótnia. Przegapiłem jej początek. Przegapiłem też moment, w którym Josie się obudziła, ale to musiał być dla niej szok, gdy się zorientowała, że nie jesteśmy w autobusie, ona ma grupę 0, Niko musiał ją uśpić, a kadeci porwali Braydena.

Wyglądało na to, że najbardziej przejęła się Braydenem.

- Jak mogłeś go zostawić? - krzyczała.

- Josie, miałem bardzo ograniczony wybór: albo on, albo ty.

- Ale on był ranny!

- Wszystko działo się tak szybko. Nie miałem czasu na zastanowienie.

Stali przy drzwiach. Na blacie kuchennym paliła się już tylko jedna świeczka. Chyba o zapachu brzoskwini. Jakoś tak w niej lśnili. Lśniące sylwetki.

- Po tym wszystkim, co powiedziałeś? Że nie chcesz, żeby umarł, i w ogóle? Zostawiłeś go w autobusie z bandą obcych ludzi? - spytała cicho.

- Nie miałem wyboru.

- Musiał być jakiś sposób, Niko! - jęknęła.

Słyszałem, że mówi przez łzy.

- Josie, Josie, proszę - błagał Niko.

Ich głosy były stłumione. Wyciągnąłem szyję, żeby zobaczyć dlaczego. Trzymał ją za ramiona i przysunął do siebie tak, że stykali się czołami,

- Przysięgam, że czuję się z tym równie źle jak ty - zapewnił.

A potem się pocałowali.

Okej, to było coś nowego.

Czyli chyba wychodziło na to, że są parą.

- Musimy za nimi jechać - łkała.

- Nie mamy jak. Musimy się skupić na Denver. Musimy spróbować tam dotrzeć.

- Ale, Niko...

Teraz prawie krzyczał:

- To ty powiedziałaś, że damy radę! To ty powiedziałaś, że jeśli ktoś nas tam dowiezie, to ja!

- I mówiłam szczerze...

- No więc teraz musimy jakoś tam dotrzeć - powiedział Niko. Głos miał już beznamiętny, burkliwy, jak to on, gdy jest poważny. - Mamy jedzenia i wody na jakieś dwa dni, jeśli będziemy naprawdę oszczędni. I czterdzieści kilometrów do pokonania. Jean powiedziała, że słyszała o jakimś obozie wojskowym szesnaście kilometrów stąd. Jeśli tam dotrzemy, pomogą nam.

- A co z resztą? - martwiła się Josie. - Przecież kadeci już do nich jadą.

- Dean to bystry facet - odpowiedział Niko. - A sklep jest jak forteca. Dean nikogo nie wpuści. A poza tym jest małe prawdopodobieństwo, że kadeci w ogóle tam dotrą. Też mogą wpaść w jakąś pułapkę.

W jego głosie słychać było podłą nadzieję.

Przyznam, że też o tym myślałem.

- Czyli jedziemy? - spytała Josie. - Myślisz, że znajdziemy tu jakiś samochód?

Niko odwrócił się od niej i zaczął przepakowywać swój plecak.

- Taki jest plan, tak?

- Nie - odpowiedział. - Ta biała piana. Ona zżera opony. To dlatego nie widzieliśmy po drodze żadnych sprawnych samochodów. Więc jeśli jakimś cudem nie znajdziemy jakiegoś samochodu, który cały ten czas był zamknięty w garażu, to...

- Chcesz iść? - spytała Josie. W jej głosie słychać było przerażenie i niedowierzanie.

- Nie martw się, Josie, mogę cię przecież nieść.

- Co takiego?

- Uśpię cię i będę niósł. Albo znajdę jakąś taczkę.

Josie zaczęła się śmiać.

- Niko, to absurdalne.

-Dam radę. Zrobię wszystko, co trzeba, żebyś była bezpieczna, Josio! - obiecał.

Uciszyła go pocałunkami, przyciskając się do niego mocno.

- Jeśli ty idziesz, to ja też - powiedziała. - Zakleję sobie maskę taśmą albo coś. Będę bardzo, bardzo ostrożna. Poradzę sobie.

- Nie, Josie - zaprotestował. - To by nie było bezpieczne...

Chyba zamknęła mu usta pocałunkami, bo umilkł.

Wyszeptała coś. Pewnie „Kocham cię”, bo Niko odpowiedział:

- Ja ciebie też.

Próbowałem znowu zasnąć. Nie chciałem ich podglądać, a oni naprawdę się dość ostro całowali.

- Josie? - zawołał nagle Ulysses z sypialni. - Josie! - Potem coś po hiszpańsku.

Pewnie przyśniło mu się coś złego.

Pobiegła uspokoić Ulyssesa.

- Zabierzemy dzieciaki w jakieś bezpieczne miejsce, Niko - powiedziała, gdy wróciła. Słyszałem w jej głosie, że się uśmiecha.

- Damy radę. Ty i ja.

- A ja? - pomyślałem sobie.

I dopiero po chwili dotarło do mnie, że mnie też uwzględniła. Po prostu myślała o mnie jako o jednym z dzieciaków.

ROZDZIAŁ 11

DEAN

DZIEŃ 13

PO DŁUGIEJ NAPRAWDĘ DŁUGIEJ CHWILI WŚCIEKŁOŚĆ USTĄPIŁA.

Zaczął do mnie docierać, że leżę twarzą do podłogi. Do linoleum. Próbowałem się poruszyć, ale ból w ramionach i udach był nie do zniesienia.

Uświadomiłem sobie, że mam związane ręce i nogi.

Jake związał mnie jak świniaka.

Wciąż byłem otumaniony, więc przez chwilę po prostu leżałem bez ruchu.

Krew, która ciekła mi z ust, zlepiła policzek z wewnętrzną kumką maski. Powoli językiem odkleiłem skórę od maski. Półem próbowałem ustalić, ile mam złamanych zębów. Na pewno kilku brakowało.

Nie miałem też okularów. Pewnie się połamały. Świetnie.

Wziąłem głęboki wdech. Wilgotne, lepkie powietrze filtrowane przez maskę.

Jake i Astrid znaleźli się bliżej mnie. Klócili się.

- Mówię ci, obchodziłem sklep. Chciałem właśnie zadzwonić do was domofonem, kiedy usłyszałem ten hałas.

- Ale po co w ogóle wróciłeś? – spytała Astrid głosem zduszonym przez maskę.

- Bo za tobą tęskniłem, tak? To chyba jasne. Czułem się podle, że cię tak zostawiłem. Serio.

- Pewnie chodzi tylko o to, że skończyły ci się prochy - syknęła Astrid.

- Oczywiście, że nie!

Podnosili pustaki i wkładali je z powrotem w dziury.

- Skupmy się na naprawianiu ściany – warknęła Astrid spod maski.

- A gdzie się wszyscy podziali? – spytał Jake.

- Och, Jake. – Głos Astrid wydał mi się nagle smutny. -
Pojechali. Niko uruchomił autobus i próbują dotrzeć do Denver.

- Żartujesz? - mruknął Jake. - W życiu bym nie pomyślał, że
Niko ma *huevos*, żeby zrobić coś takiego.

Próbowałem żartować, ale wypadło to jakoś smętnie, słabo.

Przekręciłem głowę, próbując przesunąć ciężar ciała na jedno
ramię. Ta głupia maska, którą mi przyklepili taśmą, wbijała się
boleśnie w szczękę.

Jęknąłem. Otumanienie mijało. Słuchanie rozmowy Astrid i
Jake'a otrzeźwiło mnie dość skutecznie. Głównie dlatego, że
czułem się tak, jakbym ich podsłuchiwał. A tego już naprawdę
nic chciałem robić!

- Czyli zostaliście tylko ty i Dean? – spytał Jake.

- Obudziłem się - powiedziałem.

Ale nie usłyszeli.

- Nie tylko my. Zostali też Chloe i bliźniaki – wyjaśniła
Astrid.

- To gdzie oni są?

- Kazałam im się zamknąć w Pociągu - odpowiedziała.

- Obudziłem się – powtórzyłem głośniej. – Rozwiążecie
mnie?

- Cześć, killer – powitał mnie Jake, pochylając się tak, żeby
wejść w pole mojego widzenia. – Jak tam?

Trącił mnie stopą.

Ból w ramionach był okropny.

- Rozwiąż mnie! – zażądałem.

- A będziesz się już zachowywał jak człowiek? Znudziło ci
się być potworem?

- Nic mi nic jest - warknąłem. - A ty skąd się tu wzięłaś?

Miałem wyrzuty sumienia, że was zostawiłem, więc
wróciłem. Potem zobaczyłem, że ten facet atakuje sklep. A
potem, że ty atakujesz jego. Chłopie, to było niezłe.

Miałem jednak wrażenie, że trochę zzieleniał, gdy to mówił. Ale przez maskę kolory w ogóle są dziwne. Może mi się przywidziało.

- Dobrze, że akurat wpadłem - ciągnął. - Bo jeszcze byś zrobił krzywdę mojej dziewczynie.

Odwróciłem od niego twarz, przyciskając ją do zimnego linoleum.

Miał rację.

To wydało mi się w tym wszystkim najgorsze.

O mało naprawdę nie zrobiłem jej krzywdy.

Rzucił Astrid scyzoryk.

- Masz – powiedział. - Uwolnij Bookera, a ja wypuszę dzieciaki z Pociągu.

Wyciągnąłem szyję, żeby zobaczyć, jak odchodzi.

Nie poszedł w stronę Pociągu.

Tylko w kierunku apteki.

Gdy Astrid rozcięła liny, zajęliśmy się reperowaniem ściany.

Już przedtem włożyli większość pustaków na miejsce, Szpary między nimi zalepialiśmy uszczelniaczem hydraulicznym. Było też kilka większych dziur, bo część pustaków się pokruszyła.

To raczej nie powstrzyma nikogo od przebicia się przez ścianę. Ale może przynajmniej odizoluje nas od zatrutego powietrza.

Astrid powiedziała mi, że Jake odciągnął już ciało na bok i przesunął wózek tak, że zasłaniał dziurę, żeby nikt z zewnątrz jej nie zauważył. Powiedziała też, że wózek miał zupełnie zdarte opony i jechał na gołych felgach. Dziwne. Czy na zewnątrz z jakichś powodów brakuje gumy czy co?

Jake wyciągnął akumulator z wózka, żeby nikt już nie mógł go użyć przeciwko nam.

Pokiwałem głową.

Dobrze. Ale tak czy siak będzie trzeba pilnować tej dziury, żeby mieć pewność, że nikt nas nie zaskoczy, po prostu wypychając pustaki.

Nie było dobrze.

- Możemy ją zasłonić sklejką - powiedziała Astrid, jakby czytała w moich myślach. — Przybijmy sklejki. To powinno zabezpieczyć otwór.

Nie śmiałem nawet na nią spojrzeć.

Wiedziałem, że chce pogadać o powrocie Jake'a, ale czułem się podle i żałośnie.

Właśnie zabiłem człowieka.

Zabiłem człowieka.

I o mało nie skrzywdziłem Astrid.

A jeśli chodzi o powrót Jake'a... Hm. Nie powiem, żebym szalał z radości z tego powodu. Ani trochę.

Oczywiście byłem naiwny, łudząc się, że mam szansę u Astrid. Ale teraz, gdy wrócił, moje szansę spadły do zera.

No i czy już wspomniałem o tym, że zabiłem człowieka?

A potem nagle Astrid wydała z siebie dziwny dźwięk. Jakby się krztusiła albo dusiła.

Spojrzałem na nią. Szarpała się z maską.

- Co ci jest? — spytałem.

- Nie mogę oddychać! — wysapała. Jej oczy były szeroko otwarte, szalone. Miała atak paniki.

Kurczowo zaciskała ręce na masce. Z trudem łapała powietrze.

Odciągnąłem ją od ściany, w głąb sklepu, między regały działu remontowego.

- Tu jest bezpiecznie! - powiedziałem i zaryzykowałem, że powietrze tu będzie już wystarczająco czyste. Ze szczelnie zalepiliśmy szpary. Zerwałem sobie maskę. Taśma odkleiła się z kawałkami skóry i włosów. — Tu powietrze jest w porządku.

Astrid zdjęła maskę i wzięła długi, drżący wdech.

- Przepraszam - załkała. – Zaczęłam myśleć o Jake’u i...
Przy nim czuję się jak w pułapce... i nagle nie mogłam oddychać...

- Już w porządku – powiedziałem. I nawet nim wyciągnąłem do niej rękę, już była w moich ramionach.

- Och, Dean - szepnęła, zadzierając głowę, żeby na mnie spojrzeć. – Żal mi go, ale to nie jest facet dla mnie.

I – sam bym w to nie uwierzył – ale ją pocałowałem.

Jej usta na moich były delikatne jak płatki róży. Potem się rozchyliły, takie gorące, i zlały z moimi. To było... ach, to było najwspanialsze, co w życiu czułem.

Problem w tym, że to jeszcze było we mnie. Ta cała agresja grupy 0. Była we mnie. Czułem, że z każdym oddechem mam więcej siły. Jakby krew w moich żyłach robiła się mocniejsza. Nie odczuwałem tego już tak jak wtedy, gdy byłem na zewnątrz, ale jednak zalała mnie moc typowa dla grupy 0. Nagle miałem już pewność, że nie zdołam wygrać, że poddam się tej mocy, więc próbowałem odepchnąć Astrid.

Ale Astrid Heyman chwyciła mnie obiema rękami za włosy, przyciągnęła moją twarz do swojej i pocałowała mnie.

Jej ręce były wszędzie.

W głębi serca – w głowie - w duszy czułem, że źle robimy.

Ale moje usta nie mówiły „nie”, a ręce nie mogły przestać jej dotykać. Jej pleców, brzucha, piersi.

Moje ciało pragnęło tylko jej, a jej ciało pragnęło mnie równie mocno.

I kochaliśmy się na podłodze, przy regale z obrusami.

To było lepsze niż cokolwiek, co kiedykolwiek czułem – poruszać się w niej i przez nią. Moja dusza i jej dusza wybuchały w sobie nawzajem. Nie wiem, jak to opisać. Ani nawet czy powinienem.

Oszaleliśmy. Oszaleliśmy razem.

Jestem prawie pewien, że Jake nas widział.

W każdym razie, nim się opamiętaliśmy - nim włożyliśmy z powrotem ubrania i maski i nim zacząłem znów w miarę logicznie myśleć - Jake już był na haju.

Wypuścił dzieci z Pociągu, a one były przeschęśliwe, że wrócił.

Właśnie piekli sobie pianki cukrowe nad kuchenką turystyczną. Widać było ślady po posiłku złożonym z hot dogów i fasolki. Wszędzie było pełno dymu i w ogóle wyglądało to na prawdziwy biwak.

Luna siedziała u stóp Jake'a, rozkosznie merdając ogonem.

Astrid i ja natomiast byliśmy cali spoceni i potargani.

Gdy już byliśmy przy nich, zdjęliśmy maski.

Dziwne kłamstwo. Ze niby cały czas mieliśmy maski na głowach. Że wcale nam nie odbiło i nie uprawialiśmy seksu.

- Hej, wy, tam - zawołał odwrócony do nas plecami Jake. - Byłem taki głodny, że po prostu upichciliśmy sobie kilka parówek i trochę fasoli. Mam nadzieję, że nie macie nam tego za złe.

- Ściana znów jest cała – powiedziała na to Astrid, zdejmując bluzę. Odłożyła maskę na pustą wersalkę. - Będziemy ją musieli jeszcze wzmocnić, ale trzyma się całkiem nieźle.

- Moja dziewczyna wszystko potrafi - powiedział Jake do dzieciaków. – Tak bardzo za nią tęskniłem! Tęskniłem za wami wszystkimi oczywiście, ale najbardziej za moją dziewczyną Astrid!

- My też za tobą tęskniliśmy, wujku Jake'u – zaświergotała Caroline.

Razem z Henrym piekli pianki cukrowe nad niebieskim butanowym płomieniem.

- Patrzcie – zawołał Henry. – Moja jest idealnie złota.

- Mama takie lubi. Tylko złote, bez żadnych przypalonych plamek – powiedziała Caroline.

- To wymaga cierpliwości – stwierdził Henry.

- I stabilnej ręki.

- A ja lubię spalone - obwieściła Chloe, wsadzając swoją piankę w sam płomień. - Patrzcie, jestem Statuą Wolności! Uniosła piankę wysoko.

- Ostrożnie! – syknęła Astrid. – Możesz się poparzyć!

- Zawsze jest ryzyko, że człowiek się sparzy – stwierdził Jake.

Spojrzał na nas, a jego głowa opadła na bok. Ujął ją w ręce i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Już przedtem widywałem u niego tę dziwną minę. Znów był na haju.

- Tu powietrze jest w porządku. Żadnych objawów. Prawda, dzieciarnia? Chloe cała i zdrowa. Widać jesteśmy wystarczająco daleko od dziury. No już, dzieciaki – ciągnął. – Kto lubi pianki cukrowe, niech zajada.

- Idę się przebrać – powiedziała Astrid. - Czuję się brudna.

Jake chwilę patrzył za nią szklistym wzrokiem.

- Siadaj, Dean - odezwał się do mnie. - Zostań z nami.

Nie ulegało wątpliwości, że naćpał się tymi samymi tabletkami co przedtem, zanim nas zostawił. Odwrócił się do dzieciaków.

- Henry, wiesz, co się mówi o założeniach?

- Co? - spytał bystro Henry.

- Chloe, może ty wiesz?

- Nie. Co? – spytała.

- Założenia to takie żale od łożenia!

Wszystkie dzieci uznały to za genialny dowcip.

- Dean wie, co mam na myśli, nie, Dean? – trącił mnie łokciem w żebra.

- Nie wiem, o czym mówisz, Jake.

- No, patrz, ja sobie na przykład założyłem, że mogę sobie połączyć spokojnie i nic się nie zmieni. Ale oczywiście figa z makiem, nie? Nie było mnie tylko, ile? Ze dwa dni? Kurczę blade, dwa dni, tak?

- Czy „kurczę blade” to słowo na ka? - chciał wiedzieć Henry.

- No - potwierdził Jake. — Zdecydowanie.

- Widzisz? Mówiłem ci! - syknął Henry do siostry.

Caroline znów ziewnęła.

- Powinienem sprawdzić ci opatrunek, Caroline — powiedziałem. — I chyba już czas, żebyś wzięła lekarstwo.

- O nie, nie idź sobie — zaprotestował Jake.

Próbował klepnąć mnie w ramię, ale nie trafił i się przewrócił.

Dzieciaki uważały, że to okropnie zabawne.

- Oj, wujku Jake’u! - pisnęła Caroline. - Ale z ciebie żartowniś.

- „Wujku Jake’u”? — spytałem. — Od kiedy on jest na wujkiem?

- Zdecydowaliśmy — powiedział Henry — że Astrid jest mamą, ty tatą, a Jake wujkiem.

O ja cię... Dlaczego dzieci muszą być takie... spostrzegawcze?

Prawdę powiedziawszy, nawet mi się podobał ten ich pomysł na idealną rodzinę z Greenwaya. Tylko że nie musieli z tym wyskakiwać akurat w tej chwili.

- No! - Jake wybuchnął śmiechem, ale czuć w nim było nutkę desperacji. — Ale nas podsumowali. Lepiej się tego nie dało ująć.

- Wstał. Poruszał się powoli. Jak staruszek. Jak pijany staruszek.

— Dzieciaki - mruknął. — Wybaczcie, ale padam na pysk.

I chwiejnym krokiem potoczył się w stronę sypialni.

ROZDZIAŁ 12

ALEX

41-35 KILOMETRÓW

WSZYSCY OBUDZILI SIĘ OKOŁO 7 RANO (CZYLI JAK W SKLEPIE).

I wszyscy byli głodni. Niko wydzielił nam po jednej trzeciej puszki tuńczyka na głowę i po ćwiartce batonika.

Jean tak się wzruszyła tą hojnością, że dała każdemu po puszcze 7 upa.

Ciepły 7 up i tuńczyk z puszki. Pyszności.

Sahalii się wymasknęło, że ma gumę do żucia, ale się nie podzieli. Z nikim. Na szczęście Jean dała mi trochę pasty do zębów i wtarłem ją sobie w dziąsła, żeby nie cuchnęło mi z gęby jak osłu z tyłka.

Zdawałoby się, że wszyscy powinni chcieć zostać w przyczepie najdłużej, jak się da, ale jakoś nie bardzo.

Napiszę jeszcze parę zdań i zaraz ruszamy. Myślę, że to dlatego, że tu jest tak mało miejsca. Siedzimy dosłownie jedno na drugim.

A gdy dzieciaki usłyszały, że wojsko jest tylko szesnaście kilometrów stąd, strasznie się podekscytowały.

- Szesnaście kilometrów to dla nas betka! - piszczał Max. - Możemy je przejść z zamkniętymi oczami!

- *Yes, sir, that's my baby. No, sir, don't mean maybe!* - zaśpiewał Ulysses ze swoim meksykańskim akcentem. Pojęcia nie mam, gdzie się tego nauczył.

- No nie wiem. - Batiste był ostrożniejszy. - Szesnaście kilometrów to dużo.

- To wielkie wyzwanie, ale wiem, że damy radę - powiedziała Josie, poklepując Batiste'a po ramieniu. Zawsze umiała powiedzieć coś na zachętę małym dzieciom. Myślę, że

gdybyśmy właśnie szli ku przepaści, i tak zdołałaby przedstawić im to tak, że byłyby szczęśliwe i przejęte.

- Max zostaje - odezwała się pani Jean. - Jesteś już w domu, złotko, a przy mnie będziesz bezpieczny. Zostajesz, kochanie, tak?

Max zastanawiał się jakieś trzy sekundy.

- Bez urazy, ciociu Jean, ale oni są tak samo moją rodziną jak ty.

- Ale ja jestem dorosła, Max! I może twój tata tu przyjdzie, bo przecież będzie mnie szukał!

Max się skrzywił, jakby mocno w to powątpiewał.

Pani Jean przyklękła przed nim i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ze mną masz największe szanse, słonko. Zostajesz!

- Ciociu Jean, nie poznałaś mojego psa Lucky'ego, nie? - rzekł jej na to Max. - Miałem tego psa, który nazywał się Lucky i był kundlem, i znaleźliśmy go przy supermarkecie, i nie miał oka. I mój tata powiedział: „Fuu, dobrze zrobili, że go wyrzucili na śmietnik. Ten kundel to nic dobrego”. Ale ja przysięgałem, że się nim zajmę, jeśli tylko pozwolą mi go zatrzymać, i mama powiedziała: „Po moim trupie”, a wtedy tata powiedział: „W sumie może to nie jest taki zły pomysł” i zaraz potem się wyprowadził. No w każdym razie zaniósłem Lucky'ego do darmowej kliniki dla zwierząt i oni go tam obsikali jakimś sprejem, i dali mi dla niego kropelki na robaki, i jeszcze obcięli mu jego męskie kawałki. Jak się zrobił czysty, to zupełnie przyzwoicie wyglądał. Ale mama wciąż go nienawidziła. Nie wiem dlaczego.

- Złotko, ja bym tylko chciała, żebyś ze mną został... - próbowała mu przerwać pani Jean.

Wywnioskowałem z tego, że jeszcze nigdy nie słyszała, jak Max opowiada historie. Oczywiście ciągnął niezrażony:

- No i potem na Święta mama nagle idzie i kupuje mi tego zupełnie nowego szczeniaczka z prawdziwego sklepu

zoologicznego. Nazywał się Chow, był bardzo puszysty i miał kokardkę. I mama mówi: „Możesz teraz mieć tego nowego, skarbie, ale Lucky idzie do schroniska”, a ja jej na to „Mowy nie ma”. Najpierw się darła, potem się obraziła, a potem jeszcze pytała, jak mogę nie chcieć takiego słodkiego puszystego szczeniaczka tylko tego śmierdziela i takie tam.

- Chodzi o to, że tu będzie bezpieczniej...

- Ale potem poszła i dała tego całego Chowa swojej siostrze Raylene i tak to jakoś rozegrała, że niby od początku zamierzała go jej dać. Potem ostatniego dnia wakacji, wiecie, co się stało? - spytał nas Max. - Bawiłem się właśnie za oczyszczalnią ścieków i nagle Lucky zaczyna szczekać jak najęty, i co widzę? Że omal nie nadepnałem na grzechotnika. Spał sobie spokojnie za cysterną, bo ziemia była nagrzana i ciepłutka, a tu nagle grzechocze ogonem i na mnie syczy. A wtedy Lucky hop, skoczył, ugryzł gada w szyję i zabił go na śmierć!

I Max spojrzał na nas, jakby ta historia zupełnie rozwierała wszelkie wątpliwości jego cioci.

Minęła dobra chwila, nim pani Jean wybąkała:

- Ale, złotko, ja zupełnie nie rozumiem tej opowieści. Co ona oznacza?

- Oznacza, że trzeba się trzymać tego psa, którego się już zna, ciociu - powiedział jej Max. - Trzymaj się tego psa, którego znasz.

Niko chciał, żebyśmy wypili mnóstwo wody. Chodziło mu o to, że dzieciaki, które będą musiały mieć cały czas maski na twarzy, nie będą miały jak pić. Ciągle jakoś o tym zapominam, ale on ma rację - jeśli uniosą maski, wystawią się na działanie chemikaliów i mogą umrzeć.

A Josie może się zmienić w potwora 0 i pozabijać nas wszystkich

Pani Jean wymyśliła, że mamy wziąć ze sobą trochę papierosów. Wtedy będziemy mogli wsiąść do pierwszego

lepszego samochodu, a kiedy Sahalia i ja wypełnimy samochód dymem, reszta będzie mogła zdjąć maski, żeby się napić.

Wydawałoby się, że to trochę dużo zamieszania z powodu kilku łyków wody, ale tak będziemy musieli robić. W świetle innych zagrożeń raczej nie mamy się co za bardzo przejmować wpływem dymu tytoniowego na nasze zdrowie.

Pani Jean dała Nikowi trzy paczki. Dość cenny prezent.

Cały czas płakała i kazała Nikowi obiecać, że jeśli dotrzemy na miejsce, to wyślemy po nią kogoś.

Zostawiliśmy za sobą pole kempingowe i ruszyliśmy.

Niko ustawił nas w następującej kolejności: najpierw on, potem Max i Ulysses, trzymający się za ręce, potem Sahalia, ja i Batiste, też za ręce. a na końcu Josie.

Trochę mi było dziwnie trzymać Batiste'a za rękę, ale jakoś się przyzwyczailem. Poza tym on był naprawdę przerażony, więc to był dobry pomysł.

Tylko Niko miał latarkę. Tak było lepiej, bo kiedy maluchy je trzymały, to wymachiwały nimi na wszystkie strony i to było jeszcze gorsze, bo co chwilę trafiały na jakieś ciało i piszczały w panice, i płakały.

Niko puszczał snop światła tylko na ziemię przed sobą. Kilka metrów przed nami. Spokojnie, równo. Trudno się idzie w ciemności, ale nie było tak źle. Zupełnie jakbyśmy mieli klapki na oczach. Nie widzieliśmy nic ani na prawo, ani na lewo. Tylko ten snop światła z przodu.

Nie szliśmy drogą. Niko się bał, że ktoś nas może zaatakować.

Maszerowaliśmy wzdłuż drogi, pięć metrów obok.

Na drodze było mnóstwo samochodów i mnóstwo ciał. Wszystko gniło. Biała piana obrastała i samochody, i ciała.

Przypomniało mi się, jak pan Culleton na nauce o Ziemi mówił nam o kompoście. Opowiadał, że gdy składniki kompostu

gniją, to wracają do swojej najwilgotniejszej, najbardziej odżywczej postaci.

Jeśli kiedykolwiek wróci słońce, może to będzie najlepsza ziemia rolna świata.

No, wiem, że to może trochę naciągane, ale naprawdę nie przychodziło mi do głowy nic miłego, co jeszcze mógłbym powiedzieć o tej całej oślizgłej zgniliznie.

W każdym razie szliśmy.

A Batiste obtarł sobie nogi, o czym mi zaraz powiedział, a potem chciało mu się pić, o czym też mi powiedział, i zrobił się głodny, o czym też mi powiedział.

A ja mu mówiłem:

- Tak mi przykro, Batiste - za każdym razem, gdy się na coś skarżył,

I wyglądało na to, że to mu jakoś pomaga. A potem ścisnąłem delikatnie jego dłoń, co chyba też mu pomagało.

Bardzo, bardzo ciężko było tak iść.

W końcu Niko wyprowadził nas na drogę. Zaczął oświetlać samochody.

Trąciłem Batiste'a.

- Zakład, że teraz się zatrzymamy na wodę?

Uśmiechnął się i ścisnął moją dłoń.

Niko oświetlił już kilka samochodów, ale we wszystkich były ciała. Kazał nam stanąć z boku i nie pozwolił zaglądać do środka.

To mi nie przeszkadzało. Naprawdę nie miałem ochoty oglądać więcej ciał. Maluchy z pewnością też.

Niko próbował otworzyć parę wozów, ale nie dał rady.

Potem nagle przykucnął i dał nam znak, żebyśmy też przykucnęli. Zgasił latarkę.

Nadjeżdżał motocykl.

Lawirował, żeby wymijać samochody. Światło wydało mi się bardzo jasne i zorientowałem się, że moje oczy już bardzo przywykły do ciemności

Był coraz bliżej.

Na motorze siedział facet w goglach - miał długą brodę, skórzaną kurtkę i w ogóle wyglądał tak, jak powinien się prezentować motocyklista. A za nim siedział mały staruszek. Miał na głowie czapkę uszankę i kurtkę, która wydawała się dla niego za duża.

Przejechali tuż obok, zupełnie nas nie zauważając.

- Może to jego ojciec - powiedział Batiste.

- Pewnie tak - zgodziłem się. - Albo ktoś, kogo ten facet znalazł i po stanowił uratować.

Musiał przechowywać motor gdzieś z dala od powietrza, tak jak my nasz autobus.

Zacząłem się zastanawiać, jak długo wytrzymał autobus. Miałem wielką nadzieję, że niemal natychmiast zupełnie zgnił.

Niko znalazł w końcu samochód. Był to srebrny nissan murano.

Machnął na nas, więc podbiegliśmy i wsiedliśmy. Max i Ulysses wskoczyli do bagażnika. Sahalia i ja siedliśmy na tylnym siedzeniu, a Batiste, Niko i Josie z przodu. Jak rodzinna wycieczka. Tylko że to zupełnie nie tak.

Wyciągnęliśmy papierosy i zaczęliśmy dmuchać.

Wiecie, jakie okropne są papierosy? Dym wlatuje ci do żołądka i od tego się kaszle. W głowie za to jest miło. Takie uczucie otwartości. Ale to by było na tyle.

Ja dmuchałem do tyłu, a Sahalia do przodu.

- Czy palenie to grzech? - spytał Batiste Nika.

- Nie - powiedział Niko. - Jest niezdrowe, ale nie jest grzechem.

- To może ja też zapalę.

- Dobra. - Niko wzruszył ramionami.

- To nie fair! - obrazili się Max i Ulysses.

Sahalia zapaliła Batiste'owi papierosa i mu go podała.

- Tylko się nie zaciągaj - ostrzegła. - Żebyś nie zwymiotował. Trzymałem papierosa między palcem wskazującym a kciukiem,

a Batiste między wskazującym i środkowym. Wyglądał jak mały Francuz. Sahalia patrzyła na niego przez chwilę, a potem prychnęła ubawiona.

Batiste uniósł brew i spytał:

- Co takiego?

To było prześmieszne.

Był taki brudny i miał na sobie wszystkie te warstwy ubrań, i tylko jego okrągła twarzączka była czysta, a do tego czapka na czubku głowy i papieros.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Dostaliśmy głupawki. Aż nam popłynęły łzy i z trudem łapaliśmy powietrze.

Kiedy wreszcie się uspokoiliśmy, zobaczyłem, że Max zdjął maskę. Wyglądało na to, że nic mu nie jest. Chichotał.

Niko też zdjął swoją maskę, potem Josie.

- To chyba działa - powiedział Niko. - Dym.

- Wszyscy dostaniemy raka płuc - mruknęła ponuro Josie.

To też wydało nam się strasznie zabawne i znów wybuchnęliśmy śmiechem.

Josie zaśmiała się i wypila parę łyków wody.

Niko rozdał batoniki proteinowe.

- Dzięki Ci, Boże, za ten pokarm, amen - powiedział szybciutko Batiste, po czym wrębał batonik.

- Niko, myślisz, że tamten kadet miał rację? - spytał Max.

- Z czym?

- No, wiesz, że zabijają ludzi na lotnisku - wymamrotał chłopiec.

- Na pewno nie - uspokoił go Niko. - Albo kłamał, albo miał paranoję.

- O co chodzi? - spytała zdezorientowana Josie.

Niko wyjaśnił jej, co powiedział nam Payton.

- Gdybym tak dorwała tego typa! - warknęła.

Chrupnęło jej w szyi. Ulysses wbił w nią wzrok i zaczął chlipać. Miał rozszerzone źrenice. Nie było dobrze.

- O nie! - jęknęła Josie. - Zaczynam to czuć. Dym nie działa!
Włożyła maskę.

Max zakaszał i krzyknął.

Rękawiczka, którą zakrył usta, była pełna krwi.

- Zakładać maski! - ryknął Niko.

Ulysses darł się i chował przed Maksem.

- Ty też, Ulysses! Pomóżcie mu! - rozkazał Niko mnie i Sahalii. Próbowaliśmy pomóc Ulyssesowi nałożyć maskę, ale chłopiec zaczął okładać pięściami Sahalię i coś wykrzykiwać po hiszpańsku.

W końcu udało mi się go chwycić za kołnierz, a Sahalia wcisnęła mu maskę. Max przytulił przyjaciela, unieruchamiając mu ręce.

- Już dobrze, Ulyssesie. To tylko my. To tylko my.

Po kilku minutach Ulysses się uspokoił.

To by było na tyle, jeśli chodzi o ten pomysł z zadymionym samochodem.

Ale przynajmniej zdążyliśmy wypić wodę i coś zjeść.

- Chodźmy - powiedział Niko.

ROZDZIAŁ 13

DEAN

DZIEŃ 14

PÓŁ NOCY ŚNIŁA MI SIĘ ASTRID.

Po tym, jak Jake poszedł spać, właściwie już nie gadaliśmy. Za każdym razem, gdy na nią spojrzałem, robiło mi się tak gorąco, że uznałem, że lepiej za często na nią nie patrzeć. A ona też mi się specjalnie nie narzucała.

Ale kiedy wreszcie dzieci poszły spać, coś mi przyszło do głowy.

- Wiesz co, martwię się tym pistoletem - powiedziałem.

- Jakim pistoletem? - spytała.

- Jake przecież ma pistolet. Ten od pana Appletona i Robbiego. Boję się, czy nie wpadnie w jakąś depresję i nie zechce... go użyć.

- O Boże - jęknęła Astrid, zrozumiałwszy, co mam na myśli. - Sądysz, że będzie próbował się zabić?

- Nie znam go tak dobrze jak ty. Ale te prochy są naprawdę mocne.

- Hm. On już nie ma tego pistoletu — odparła, wbijając wzrok w podłogę.

- Skąd wiesz?

- Powiedział mi.

- Aha... — Odetchnąłem, ale też trochę się wkurzyłem. Co z nim zrobił?

Astrid zaśmiała się krótko, z goryczą.

- Oddał jakiejś dziewczynie.

I odsunęła się ode mnie. Nadal nie patrzyła mi w oczy.

Zacząłem mieć prawdziwe wyrzuty sumienia. Naprawdę paniczne wyrzuty sumienia w związku z tym, co między nami zaszło.

Bo czy ja przypadkiem jej nie zmusiłem? Zdawało mi się, że chce tego tak samo jak ja, ale byłem przecież w stanie 0, więc kto wie... Zabiłem w tym stanie, więc na pewno mógłbym też zrobić coś okropnego dziewczynie.

Zrobiłem?

Czułem się podle.

I mimo że byłem strasznie zmęczony, nie mogłem zasnąć.

Zawsze myślałem, że mój pierwszy raz to będzie moment przełomowy. Albo przynajmniej że będę odczuwał wielką ulgę.

Ale zamiast ulgi czułem wyrzuty sumienia i strach.

A na dodatek ta myśl - czy myśmy nie zrobili krzywdy dziecku? No bo... Miałem mętlik w głowie.

Potem śniła mi się Astrid, na mnie, naga i zbyt złota i wspaniała, by była prawdziwa. Jej brzuch lśnił jak gwiazda i rósł w oczach, aż był olbrzymi i jej okrzyki przyjemności przeszły w okrzyki bólu. Bólów porodowych?

A w następnym śnie zobaczyłem tego faceta od wózka. Widziałem wszystkie szczegóły, których nie rejestrowałem, gdy byłem w szale. Widziałem strach w jego oczach. Słyszałem błagania o litość.

I obie te sceny jakoś się zlały, i nagle to Astrid kroilem, a facet od wózka był w jej brzuchu.

A potem Astrid szeptała mi coś do ucha.

- Obudź się - mówiła.

Była w mojej sypialni.

Potrząsałem głową, żeby się dobudzić.

Nic śniła mi się. Naprawdę tu była.

- Co się dzieje? - spytałem. Serce waliło mi jak oszalałe. Czy to ściana? Boże, mieliśmy przecież pilnować ściany!

- Nic. Tylko chciałam pogadać - powiedziała.

Miała małą latarkę, którą świeciła w podłogę. Widziałem w tym świetle jej różową pidżamę i białe stopy. Drżała i wyglądała tak pięknie, że serce mi się ścisnęło.

Poszliśmy do kuchni pogadać.

Chwyciłem jeszcze polar dla siebie, a dla niej sweter, który nosiłem dotąd tylko kilka razy.

Usiedliśmy przy stoliku w pizzerii.

Zobaczyłem misę na ognisko, którą ustawiła tu przedtem Astrid. Była zupełnie nowa, lśniąca. W środku leżało kilka kawałków drewna. Zrobiło mi się jakoś smutno. Misa wyglądała tak pięknie i radośnie.

- Astrid, czuję się podle, że stało się to, co się stało - wyznałem. - To się nie powinno zdarzyć. Gdybym tylko miał silniejszą wolę, nigdy by do tego nie doszło.

- No właśnie - powiedziała trochę kpiącym tonem. - Wiedziałaś, że będziesz miał wyrzuty sumienia. Słuchaj, nie planowaliśmy tego, ale to nie było złe. To nawet nie jest nasza wina. Zresztą Jake i ja mamy dość otwarty związek. Żadnych zobowiązań. Możemy robić, co chcemy.

- Aha — wybąkałem. I usiadłem spokojniejszy.

- Jedyne, co mnie w tym wszystkim martwi, to że Jake chyba nas widział. Martwię się o niego. A ty mi jeszcze mówisz, że on może próbować się zabić... Nie wiem, może powinniśmy mieć na niego oko.

Przygryzła wargę. Chwilę milczała.

Potem spojrzała na mnie i się uśmiechnęła. Odwróciła wzrok. Chyba nawet jakby się spłoniła.

- A jeśli chodzi o to... to było... niesamowite.

Byłem bliski zawału.

- Ale... ja do niczego cię nie zmusiłem? — spytałem.

Teraz to ona miała zdumioną minę.

- No coś ty?! — wykrzyknęła. — A czy ja cię do czegoś zmusiłam?

- Nie, nie, to znaczy chciałem tego. Bardzo. Bardzo, bardzo. Tylko...

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Dean, mogę cię o coś zapytać?

Zrobiłem długi wydech. Wiedziałem, o co spyta.

- To był twój pierwszy raz?

Zrobiło mi się tak gorąco, że o mało nie stopiłem się na miejscu. Zacząłem coś bełkotać.

Astrid wyciągnęła rękę i chwyciła moją dłoń.

- Już dobrze! – Uśmiechnęła się. – Każdy ma swój pierwszy raz.

Próbowałem się roześmiać, ale nadal umierałem ze wstydu.

- Choć nie każdy go przeżywa pod wpływem zabójczej broni chemicznej – dodała ponuro.

- No – mruknałem. – To raczej trudno przebić.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

Podrapałem się po głowie. Chyba nawet tam skórę miałem już w odcieniu buraka.

Nagle Astrid pochyliła się i pocałowała mnie.

Delikatnie. Jej usta rozchyliły się tylko odrobinę, gdy przycisnęła je do moich warg.

Przyłgnałem do niej mocno. Jej usta mi odpowiadały i było to ciche, słodkie „tak”.

A potem delikatnie się odsunęła.

- To powinien być nasz pierwszy pocałunek – szepnęła.

Siedziałem chwilę, próbując to wszystko ogarnąć.

- To może być nasz pierwszy pocałunek. Czemu nie? – odpowiedziałem. – To może być oficjalny, no, wiesz, początek.

- Dean... – zaprotestowała.

- Astrid, przecież wiesz, co do ciebie czuję. Uwielbiam Cię...

- Dean, nie. Nie teraz.

- Dlaczego? Jestem odpowiednim facetem dla ciebie. Sama to powiedziałaś. Jestem dobrym facetem. Nigdy bym cię nie zostawił tak jak Jake...

- Dean, posłuchaj! Jeśli Jake spyta, powiem mu, że to był błąd. Że to tylko przez chemikalia.

- Ale dlaczego?

- Słuchaj, może i trochę mi teraz odbiło na twoim punkcie. Ale Jake jest ojcem mojego dziecka. I jest w naprawdę złym stanie. Potrzebuje mnie. Sam powiedziałaś, że ma depresję. Co, jeśli ma myśli samobójcze?! Pewnie potrzebuje z mojej strony zapewnienia, że... że będę z nim. Bo inaczej, jak on przeżyje to wszystko?

- To nie ma sensu.

- Dla mnie ma - powiedziała.

- To nie fair! - zdenerwowałam się. Pewnie miałem minę jak mały dzieciak.

Zaśmiała się z goryczą.

- A co w tym wszystkim jest fair, Dean?

Uścisnęła moją dłoń.

- Przykro mi.

I wstała, żeby odejść.

Opadłem na krzesło.

- To koniec? Koniec dyskusji?

- Póki co – szepnęła.

To było niewyobrażalnie nie fair. Jake był z Astrid, gdy był królem szkoły – najpopularniejszym, najprzystojniejszym chłopakiem. A teraz ona z nim zostanie, bo stał się żalonym niedorajdą?

Przecież to mnie lubiła.

Mnie.

Wsiałem i ruszyłem do sypialni.

Mowy nie ma, żebym ustąpił mu miejsca. Nie wiedziałem jeszcze, jak to rozegrać, ale na pewno nie oddam Astrid bez walki. I dobrze było mieć o co walczyć - to znaczy poza przetrwaniem.

Nie mogłem zasnąć, więc zrobiłem wszystkim wielkie śniadanie.

Trochę jej odbiło na moim punkcie.

Astrid trochę odbiło na moim punkcie.

Czy to coś złego czuć w sercu tyle szczęścia, choć wokół szaleje istna apokalipsa?

Zaniosłem jedzenie do kuchni i rozpałem ogień w misie.

Dzieciaki strasznie się podekscytowały, gdy to zobaczyły. To było coś nowego.

Zauważyłem, że przestały pytać, kiedy ktoś nas uratuje. Sam przestałem o tym myśleć. Żyliśmy chwilą.

Przyszedł Jake. Wyglądał, jakby miał kaca.

Wziął sobie wielką misę owsianki i wielki kubek kawy z zabielačem.

Astrid przyszła w moim niebieskim swetrze i w džinsach. Czy chciała mi coś przez to powiedzieć? Przez ten sweter? Czy to mnie miało udobruchać?

Dzieciaki dostały owsiankę.

- Z cynamonem? — gderała Chloe. — A co? Już się skończyła brzoskwiniowa?

- Jeśli jeszcze znajdziesz na półkach, to możesz sobie sama zrobić - powiedziałem.

- E, nie, zjem tę - zgodziła się łaskawie.

- Hm. Nie ma za co - mruknąłem.

- Jake, muszę ci coś powiedzieć - oświadczyła Astrid.

Usiadła naprzeciw niego przy stole.

Jake wziął pogrzebacz i zaczął nim gmerać w misie z połanami.

- Oszczędź sobie. Już wiem - warknął. - Widziałem.

- Co widziałeś? — zainteresowała się Caroline.

- Nie o tym mówię - syknęła Astrid. - To był przypadek.

Jesteśmy 0. To się po prostu stało.

- Co się stało? - dopytywała się Caroline.

- Mam wiadomość dla ciebie - brnęła Astrid. - Dobrą wiadomość.

Jake odłożył plastikową łyżkę i spojrzał na nią.

- Ktoś nas w końcu uratuje? - spytał bez większej nadziei.

- Jestem w ciąży - powiedziała Astrid.

Jake po prostu się na nią gapił.

- Co? - spytał.

- Będziemy mieć dziecko, Jake.

Podniosła sweter - mój sweter - i pokazała mu brzuszek.

Teraz już go widział.

Gdy się go raz zobaczyło, to raczej nie dało się go me widzieć.

- Który miesiąc? - wyjąkał.

- Czwarty - powiedziała.

- Będiesz miała dzidziusia?! - wykrzyknęła Caroline.

Astrid pokiwała głową. Na jej ustach błąkał się uśmiech.

Dzieci zaczęły pisać. I skakać z radości. Były zachwycone. Uściskały ją i tańczyły dookoła.

Astrid śmiała się i pozwoliła im się cieszyć, ale wzrokiem wracała wciąż do Jake'a.

A on ryknął radośnie i zerwał się na równe nogi. Chwytał Astrid i pocałował.

Miałem tego dość.

Poszedłem sobie.

- Co się stało Deanowi? - usłyszałem jeszcze głos Henry.

- Nic mu nie będzie – odpowiedziała Astrid na tyle głośno, żebym usłyszał.

Jasne, jasne, nic mi nie będzie.

Dziewczyna, którą kochałem i która kochała mnie, a przynajmniej lubiła, wróciła właśnie do swojego uzależnionego od prochów chłopaka-manipulanta z depresją.

Poza tym mieliśmy koniec świata, a jakby tego było mało, zabiłem człowieka. To mi nie dawało spokoju.

Poszedłem spojrzeć na dziurę. Chciałem wziąć trochę dykty i jakoś uszczelnić ten otwór.

Wtedy usłyszałem hałas.

Coś stukało w magazynie.

- Hop! Hop? - zawołałem w ciemność.

Zaświeciłem wokół latarką.

Potłuczone okno sterowni z bezużytecznymi już panelami, które kiedyś kontrolowały prąd, powietrze i wodę w sklepie.

Dwa trupy pod ścianą, a każdy w całunie w kwiatki.

Pudła z różnymi towarami niedbale opróżnione w połowie.

Puste palety na stercie pod bramą, tuż przy domofonie.

Wszystko było na miejscu.

Znów usłyszałem stukanie i nie dochodziło wcale od strony bramy.

Tylko od strony klapy.

Popędziłem z powrotem do kuchni. Wszyscy jeszcze tam siedzieli. Zajadali śniadanie, które im przyrządziłem.

- Jake! – ryknąłem. – Zostawiłeś drabinę przy ścianie?

- Co? – spytał zdumiony.

- Zostawiłeś drabinę przy ścianie, gdy od nas wychodziłeś trzy dni temu?

- Nie – oburzył się. – Alex ją zwinął. Nie jestem głupi i twój brat też nie.

- Ale ktoś jest na dachu i chce się dostać do środka.

- Kto tam?! - krzyknął Jake przez klapę. Uparł się, że Astrid ma zabrać dzieciaki do Pociągu.

Ku mojemu zdumieniu zgodziła się bez słowa.

Bogu dzięki, klapa była zamknięta na kłódkę. Sprawdziłem to poprzedniego dnia.

- Grupa dzieci - odpowiedział głos.

Rzeczywiście wydawał się dziecięcy.

- Wpuśćcie nas. Tu jest strasznie – dodał.

To zabrzmiało trochę zbyt sarkastycznie. Spojrzeliśmy z Jakiem po sobie. Staliśmy ściśnięci we dwóch na metalowych schodkach.

- Jak się dostaliście na dach? – zawołał Jake.

- Co? – powiedział głos. - Nie słyszymy was.

Ktokolwiek to był, brzmiał, jakby się prawie śmiał.

Znów spojrzeliśmy po sobie zaniepokojeni.

- Jak oni tam, u licha, wleźli? - mruknął Jake.

Musimy z wami porozmawiać. Mamy wiadomość od waszych przyjaciół.

- Jakich przyjaciół? - krzyknąłem.

Założyłem już maskę, na wypadek gdybyśmy postanowili jednak otworzyć klapę.

- Jakich przyjaciół? – spytał jak echo Jake.

- Tych z autobusu.

Popatrzyłem na niego.

- Musicie nas wpuścić! – upierał się głos. – Jest z nami Brayden!

Rzuciliśmy się otwierać klapę.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że to może być pułapka.

- Brayden! - darł się Jake. - Jakim cudem jest z wami?

Otworzyliśmy klapę i w świetle latarek zobaczyliśmy trzech ludzi.

Mieli broń.

Byli w ciemnych mundurach. Brudni, obdarci. Z odkrytymi twarzami. Jeden miał beret na głowie i jakieś złote sznurki na ramieniu. To on był przywódcą, co do tego nie było wątpliwości.

- Cześć! - powiedział niezwykle radośnie. – Dzięki, że nas wpuściliście!

A potem kopnął Jake'a w pierś.

ROZDZIAŁ 14

ALEX

35-27 KILOMETRÓW

ZNÓW RUSZYLIŚMY W DROGĘ.

Maksa trzeba było nieść. Miał całe nogi w bąblach, które popękały. Niko dał mu dodatkowe skarpety, ale wyglądało na to, że Max i tak nie był w stanie poruszać się o własnych siłach.

Miałem już serdecznie dość tego ich płakania i narzekania.

Też miałem odciski. Też popękały. Przy każdym kroku zdawało mi się, że wbijają mi się w stopy małe nożyki. Było mi za gorąco w tych wszystkich ciuchach. Pomyślałem sobie, że właściwie mógłbym je zdjąć. Ale wtedy maluchy zaczęłyby zaraz marudzić, że to nie fair, i tak dalej.

Już przecież wiedziałem, co mnie czeka przy mojej grupie krwi. Nigdy nie będę miał dzieci, pewnie też nici z seksu. Czy to nie dość?

Naprawdę miałem doła.

Brnęliśmy naprzód. Robiliśmy może milę na godzinę. Może. Miałem coraz większego doła.

Było jakoś jaśniej niż przedtem i pomyślałem sobie, że może jest południe. Było niemal tak jasno jak w księżycową noc. Albo może oczy mi przywykły do mroku. Ale naprawdę widziałem. Co nieco. Wszystko było zielonkawe, ale całkiem sporo dało się dojrzeć.

I wtedy się zatrzymaliśmy.

Niko przykucnął, położył Maksa.

Machnął na nas, żebyśmy wszyscy przypadli do ziemi, a gdy Sahalia i Ulysses kucnęli, zobaczyłem dlaczego.

Na drodze pod jedną z latarni stał żołnierz.

Miał na sobie mnóstwo sprzętu, w tym karabin maszynowy.

U pasa zwisały mu różne rzeczy - dwie jasnopomarańczowe maski i jakby tuby w kaburze. Może to były flary?

Niko nakazał nam szeptem, żebyśmy na razie siedzieli cicho, ale Sahalia zerwała się na równe nogi i popędziła do żołnierza.

- Pomocy! - wołała. - Proszę pana, musi nam pan pomóc! Nasz przyjaciel jest w autobusie!

- Zaczekajcie! - błagał Niko, ale Ulysses i Max już też gnali do żołnierza. - Czekajcie!

Żołnierz odwrócił się w naszą stronę i w pierwszej chwili myślałem, że się uśmiecha. Zdjął czapkę, odrzucił ją i rozłożył szeroko ramiona.

Potem uniósł karabin, a wtedy już i ja biegłem.

Tylko że on zaczął strzelać do Sahalii!

Karabin robił klik, klik, klik.

A żołnierz ryknął.

Miał grupę 0. Zdecydowanie.

Sahalia zamarła. Chciała się cofnąć, ale wpadł na nią Ulysses. Zaczęli oboje uciekać przed żołnierzem, który zdjął karabin z ramienia i zamachnął się nim na Sahalię jak siekierą.

Coś powiedział, ale zabrzmiało to jak stęknienie.

Znów uniósł broń i się nią zamachnął. Powtórzył to słowo.

Niko chwycił Sahalię i zaczął ciągnąć za sobą. Josie trzymała Maksa i Ulyssesa, a ja biegłem.

Batiste stał sparaliżowany ze strachu, więc chwyciłem go za rękę i krzyknąłem:

- Uciekaj!

Żołnierz był tuż obok.

I wciąż powtarzał to słowo. A do tego śmiał się upiornym chichotem, który brzmiał niemal boleśnie, ale jednak był śmiechem.

A potem dotarło do mnie, co takiego powtarza.

Mówił: „Dzieci”.

Myślałem tylko o tym, żeby jakoś uciec. Wstyd mi, że nie pomagałem bardziej maluchom, tylko biegłem.

I mój mózg na pewno nie funkcjonował wtedy tak, jak powinien, ale z perspektywy czasu wydaje mi się, że osobniki 0, które znajdowały się pod stałym działaniem chemikaliów od momentu samego wycieku, były na swój sposób wykończone. Wykańczała je ta cała wściekłość.

Ten żołnierz był na pewno przerażający, silny i wściekły, ale wyglądał na wychudzonego i odwodnionego. Mam taką teorię, że żądza mordy ich Ogłupiała. Że byli tak wściekli, że nawet nie jedli i nie pili.

Żołnierz potykał się o krzaki, gdy nas gonił.

To nas ratowało, bo dzięki temu udało nam się zwiększyć odległość.

W ciemności wyrosły nagle przed nami jakieś wysokie, smukłe kształty i olśniło mnie, że to brzozowy zagajnik. Wąskie pnie były białe, a między nimi panowała upiorna cisza.

Uciekaliśmy przed nim jak zające - każde w inną stronę. Strasznie go to rozwścieczyło.

Josie chwyciła mnie i wciągnęła w kryjówkę za trzema drzewami.

Maluchy popędziły za Nikiem, który podsadzał teraz Ulyssesa na cienkie gałęzie jednego z drzew.

Świetny pomysł, zdążyłem pomyśleć.

Żołnierz postanowił biec za Makssem, który nagle zamarł w przerażeniu kilka kroków od Nika.

Sahalia, która kryła się za innym drzewem, krzyknęła:

- Tutaj, durny! - I zamachała na niego, a chłopiec rzucił się w jej stronę.

- Max! - syknął Niko. Już pomagał Batiste'owi wejść na inne drzewu

Max chciał się cofnąć do Nika, ale chyba zahaczył butem o korzeń, bo but zsunął się prawie całkiem z nogi. Max wrzasnął i zrozumiałem, że bąble na jego stopach są dużo gorsze niż moje. Na skarpetce widać było krew. Żołnierz popędził w jego stronę. Max nie mógł wyrwać nogi spomiędzy korzeni.

- Tu! - ryknęła na żołnierza Josie, wymachując rękami. -
Chodź, ty kretynie!

Nawet cisnęła w niego patykiem, ale żołnierz się nie obrócił.

- DZIECKO! DZIECKO! DZIECKO! - powtarzał szalonym, szczęśliwym, obrzydliwym tonem.

Już się pochylał nad kulącym się ze strachu Maksem.
Chłopiec wrzasnął.

Wtedy Josie wyskoczyła zza mnie, rzuciła się w stronę
żołnierza, ściągnęła sobie maskę.

Zdjęła ją i odrzuciła, tak po prostu.

Gdy biegła, oddychała głęboko, łapczywie.

Skoczyła wysoko i wylądowała na plecach żołnierza.

Dźwięk, który z siebie wydała w locie, był straszny.

Głośny, urywany, gardłowy. Ale też radosny. Wyzwolony.
Czysta wściekłość.

- WRRRRRRRRRRRRR!

Zupełnie jakby chciała to zrobić już od bardzo dawna.

Wylądowała na jego plecach i chyba wbiła mu zęby w kark.
Próbował ją zrzucić z pleców, ale tylko przewrócił się na bok.

Maksowi w końcu udało się uwolnić stopę i uciekał ile sił w
nogach przez liście i błoto.

Żołnierz zrzucił z siebie Josie. Wpadła w ściółkę. Głową
uderzyła w drzewo.

- Chcesz nas zabić? - ryknęła, zrywając się z ziemi, a jej głos
był nabrzmiały groźbą. - Kilkoro małych dzieci?

Krażyli wokół siebie gotowi do walki. Niko rozpaczliwie
szukał w plecaku pistoletu. Sahalia przeskoczyła do mojej
kryjówki. Chwyła mnie mocno i przytuliła się w panice.

Josie skoczyła. Niemal jakby leciała. I powaliła żołnierza. On
też się zamachnął, ale nie trafił.

- Nie mogę strzelić! Josie, odsuń się! - krzyczał Niko,
próbując celować w żołnierza. Ręce mu się trzęsły.

Ale Josie już siedziała na tamtym, nogi wbijała mu w
ramiona. Pięciami waliła po głowie. Zupełnie go miażdżyła.

- Taki wielki facet?

Jeszcze wierzgał nogami, ale coraz słabiej.

- Chce zabijać dzieci?

Uniosła jego głowę i walnęła nią o ziemię. Chyba trafiła w kamień, bo rozległ się okropny dźwięk.

- Taki z ciebie twardziel?

I znów uderzyła jego głową o kamień. Znów ten paskudny dźwięk. I jeszcze raz.

Chwyciła go za włosy i wykrzyczała w zakrwawioną twarz:

- Zachciało ci się zabijać dzieci, co?

Tylko że on już nie żył. Jego nogi się nie poruszały, a twarz była zalana ciemną ciecżą. Głowa miała bardzo dziwny kształt.

- Zabijesz nas, co? - spytała znów Josie.

I kolejne uderzenie.

- On już nie żyje - powiedział Niko.

Znów walnęła głową tamtego.

- Josie, on nie żyje! - krzyknął Niko.

Rzucił pistolet i skoczył do niej.

- Nie! - pisnęła, wycofując się. - Odsuń się!

- Już dobrze, Jojo. Wszystko będzie dobrze. - Próbował ją uspokoić. Ręce uniósł tak, jakby chciał ją zapewnić, że nie robi jej krzywdy.

Podbiegł do trupa. Przetoczył go, żeby wyrwać mu jedną z wypasionych masek, które były przyczepione do paska.

- Włóż maskę! - błagał ją. - Proszę, daj sobie założyć maskę. Lepiej się poczujesz.

Po chwili Sahalia też podbiegła. Chciała pomóc Nikowi założyć Josie maskę.

- Nie - załkała Josie, cofając się.

Podbiegł do nich też Batiste.

- Josie, uratowałaś nas. Już po wszystkim.

- Wrrr! - zawyła. Otarła sobie twarz zakrwawionymi rękami.

Potem odwróciła się i pobiegła.

- Josie! - ryknął Niko. - Nie odchodź!

- Josie! - darliśmy się wszyscy.

Ale ona pobiegła.

Może gdyby została, wszystkich by nas zabiła.

Niko szlochał. Nie umiem inaczej tego określić.

Po prostu skulił się przy martwym żołnierzu i szlochał.

Nie wiedziałem, co robić. Usiadłem.

Sahalia podeszła i tak jakby pogłaskała Nika po plecach.

Batiste wciąż nawoływał Josie.

Max pojękiwał cicho. Musiało go boleć.

Ulysses zszedł z drzewa i poszedł po but Maksa, który wciąż tkwił między korzeniami. I przez dłuższą chwilę tylko on się poruszał.

Tylko gruby Ulysses próbujący pomóc przyjacielowi włożyć but.

Potem Niko wstał.

Bardzo metodycznie odczepił pas od trupa. Wziął tę wypasioną pomarańczową maskę, zdjął swoją i szybko założył tę lepszą.

Teraz słyszeliśmy jego oddech. Wciąż jakby się rwał od szlochu. Wszystko było słychać, bo ta maska była taka dobra, że miała nawet wbudowany jakiś rodzaj mikrofonu.

Niko wziął drugą maskę i podszedł do Maksa.

Poruszał się powoli, z namysłem. Jak ktoś w głębokiej depresji albo bardzo, bardzo zmęczony.

- Wstrzymaj oddech - powiedział.

W głowie się nie mieściło, jak dobrze było go teraz słychać. Nawet lepiej, niż gdyby nie miał maski.

Zerwał Maksowi starą maskę i szybko założył zamiast niej tę wypasioną pomarańczową.

Słyszeliśmy, jak Max bierze głęboki wdech. Dziwnie mokry wdech.

Zakaszłał, a potem powiedział:

- Tak mi przykro, Niko.

Pomyślałem sobie, że tak jak nam wszystkim.

A Niko odparł:

- Wiem.

Zupełnie rozebrał żołnierza. Zostawił mu tylko gacie, ale zabrał nawet skarpetki.

Skarpetki włożył Maksowi, i buty, a nawet płaszcz.

Powinienem może zaznaczyć, że ani Batiste, ani Ulysses słowem mu pisnęli, że to nie fair albo coś.

Spodnie żołnierza Niko włożył na wszystkie swoje warstwy. Chyba uznał, że na Maksa będą za długie.

Te tubki w kaburze rzeczywiście okazały się flarami i mnie przypadło niesienie pasa.

- Jestem głodny - powiedział Max, a jego głos wydał mi się bardzo cieniutki. - Mamy jakieś jedzenie?

- Musimy najpierw gdzieś się schować - odpowiedział Niko.
- Wtedy zjemy i się napijemy.

- Niby gdzie się schowamy? - jęknęła Sahalia.

- W samochodzie? - mruknął Niko.

Jego głos był tak beznamiętny, że nawet Sahalia nie odważyła się nic powiedzieć.

Ruszył, a my podreptaliśmy za nim.

Josie szła za nami. Byłem tego pewien.

Słysząc było za nami różne dźwięki. Trzask pękającej gałązki. Szelest w krzakach.

Byłem prawie pewien, że to Josie.

Potem zauważyłem, że Niko też nasłuchuje.

- Niko, zauważyłeś, że Josie, nawet jak była w trybie potwora 0, to potrafiła wymówić całe zdanie? - spytałem cicho.

- Nie zauważyłem. Ale tak, masz rację.

- Dean nie był w stanie powiedzieć słowa, kiedy mnie atakował. Może Josie jest...

Ale Niko uniósł rękę, żeby mnie uciszyć. I tylko szepnął:

- Nie rozmawiajmy. Żeby jej nie odstraszyć.

Potem przyśpieszył trochę.

A potem zrobił coś, co zupełnie mnie zaskoczyło.

Opowiedział nam historię.

- Wiecie, pewnie już nie będziemy musieli długo iść.

- Dlaczego? - spytał niepewnym głosem Max.

- Pani Wooly.

- Co pani Wooly? - zapytała Sahalia.

- Na pewno nas szuka.

Sahalia prychnęła.

- Serio? - spytał Batiste.

- Oczywiście - potwierdził Niko. - Głowę daję, że ma już nowy autobus... Albo minivana. I nas szuka.

- A co jest w autobusie? Ulysses chciałby wiedzieć - powiedział Max.

- To taki naprawdę fajny autobus. Więc oczywiście jest w nim też kuchnia z jedzeniem i napojami.

- Jakim jedzeniem? - dopytywał Batiste.

- Yyy... - Niko się zająknął.

Miałem wrażenie, że jego wyobraźnia nie nadąza za tą opowieścią.

- Są całe tace z kanapkami - dołączyłem się. - W folii. Takimi, jak się kupuje w sklepie albo w stołówce. I do tego sałatka z ziemniaków, i taka z makaronem, i jeszcze pikle. A do picia jest cola, ale też świeży sok z pomarańczy, jeśli ktoś woli.

- Wiecie, co jest najlepsze w tym autobusie? - wtrąciła się Sahalia.

Bałem się, że powie: „nic”, ale zamiast tego dodała:

- Są w nim łóżka. Serio. Białe łóżka z czystymi prześcieradłami i mięciutkimi kołdrami.

- Co to są kołdry? - spytał Max.

- Takie jakby polary, tylko wypchane puchem i bardzo mięciutkie i ciepłe. Śpi się pod nimi jak pod chmurką.

- I gdzie nas zabierze ten autobus? - spytał Max.

- Powiem wam... - rzekł Niko. Szliśmy chwilę w milczeniu. Niko myślał. - Na Alaskę - powiedział wreszcie. - Po prostu od razu nas tam zawiezie.

Dobrze było tak rozmawiać o czymś prawdziwym.

Wiem, że to się wydaje głupie, bo oczywiście to były tylko nasze marzenia.

Ale jeszcze miesiąc temu, co by było bardziej niewiarygodne - podróż autobusem pełnym kanapek i łóżek czy seria katastrof, przez które wylądowalibyśmy w mrocznym świecie pełnym trupów i potworów?

Jeszcze długo tak rozmawialiśmy o pani Wooly.

Nikt nas nie zaczepił ani nie zaatakował.

A co jakiś czas słyszałem, że ktoś za nami idzie.

I byłem szczęśliwy, bo wiedziałem, że to Josie.

I Niko też to wiedział.

ROZDZIAŁ 15

DEAN

DZIEŃ 14

KADECI SKOCZYLI NA NAS I ZMUSILI DO WYCOFANIA SIĘ PO SCHODACH.

Wydawali jakieś okrzyki bojowe i zanosili się śmiechem, tak radośni, jak potrafią być tylko naprawdę podli ludzie.

Obijając nas pięściami, kopiąc i poganiając, zepchnęli nas na sam dół.

Spadłem na cementową podłogę, uderzając w nią głową i ramieniem. Coś mi się stało w ramię. Wrzasnąłem i nie miałem sił się pozbierać. Ból był paralizujący.

Po prostu leżałem na podłodze.

- Zarembler, idź po Annę i resztę – rozkazał przywódca. – Powiedz im, że te sieroty od razu nam otworzyły.

Jeden z tamtych natychmiast zaczął wchodzić po schodach.

Zobaczyłem, że Jake wstaje, potrząsając głową, żeby dojść do siebie.

- Mickey? – wybąkał. – Mickey Zarembler?

Postać na schodach zatrzymała się i odwróciła.

- Kim jesteś? - spytał chłopak.

Miał krótkie, brązowe włosy i wielkiego siniaka na twarzy.

- Jake Simonsen. Pamiętasz mnie? Przechodziłem szkolenie w Akademii... Mieszkałem z Jamiem...

- Ja cię pie..., Payton – zawołał Mickey Zarembler, zbiegając ze schodów. - Znam tego dzieciaka. To Jake. Mieszkał u Jamiego Delgado. Facet ma naprawdę mocną głowę!

Mickey chciał podejść do Jake'a, ale wyraźnie czekał im zgodę Paytona. A ten tej zgody mu nie udzielił.

Sam pomaszerował do Jake'a.

- Czyli że niby cię znamy, co? Masz szczęście. Masz kupę szczęścia.

Podał Jake owi rękę i podciągnął go do pionu. Stali naprawdę blisko siebie, twarzą w twarz.

- Podpułkownik Bradley Payton, dowódca szwadronu Walczącej Czwórki - ryknął. - A kim ty jesteś?

- Jake Simonsen... sir – odpowiedział Jake, z trudem trzymając pion.

- Miło mi cię poznać, Jake - powiedział Payton, a jego twarz nadal była tylko kilka centymetrów od twarzy Jake'a. Potem go puścił, a Jake natychmiast się wycofał i wbił wzrok w podłogę.

- Mam nadzieję, że macie mnóstwo zarcia, młody. Bo zdychamy z głodu.

- Jasne, pewnie, wszystko, co mamy, należy do was. - Jake wyszczerzył zęby w uśmiechu, ideał wesołka. - I tak mamy za dużo!

Posłałem mu ostrzegawcze spojrzenie.

Opowiedział uśmiechem, ale w jego oczach zobaczyłem panikę.

Było ich pięciu, licząc z Paytonem, a do tego dziewczynka. Dziewczynka miała biały płaszcz, który w ogóle nie był brudny. Wyglądała dziwnie. Miała zupełnie nieobecny wyraz twarzy.

- To jest Anna. Jest moją krewną i naszą małą przynętą. Naszym małym talizmanem. - Payton potargał jej włosy. - Jak łapka królika. Tylko wara mi od niej! Nikt nie ma prawa jej nawet dotknąć. Taka jest zasada. Bo należy do mojej rodziny.

Dziewczyna patrzyła gdzieś w dal. Poprawiła sobie włosy i zupełnie obojętną miną.

Żadne z nich nic miało maski ani ochronnych warstw odzieży, więc musieli mieć albo grupę AB (paranoja), albo B (zaburzenia seksualne). Mieli broń. Strzelby i pistolety. Chyba każde z nich coś przy sobie miało.

Gdy zbiegali po schodach, w głowie kłębiło mi się milion myśli.

Czy mogę jakoś ostrzec Astrid?

Jak sprawić, żeby się domyśliła, że ma z dziećmi zostać w ukryciu, a nie wybiec tu do nas, żeby zobaczyć, co się stało?

A przede wszystkim - jak wyrzucić intruzów ze sklepu?

Zaczynało być dla mnie jasne, że Payton ma paranoję. Był bardzo agresywny i zupełnie szalony.

Gdy już pomógł Jake'owi wstać, zauważył leżące pod ścianą ciała. Podszedł prosto do nich. Że też nie zdążyłem ich ukryć.

Trącił je lufą pistoletu.

- Niegrzeczne dzieci! – powiedział, grożąc Jake'owi palcem.

- Ładnie to tak zabijać dorosłych? Będziemy musieli mieć cię na oku. I twojego przyjaciela też. Jak ci na imię, słonko? – Podszedł do mnie i zajrzał mi w maskę.

- Dean.

- Dean. Rozumiem! Czyli dziekan!

Payton musiał mieć co najmniej dwadzieścia lat, może nawet dwadzieścia jeden czy dwa. Był szeroki w barach. Brązowe włosy miał ścięte na jeża. Na jego twarzy widać było kropli zaschniętej krwi. Raczej nie jego.

Oczy miał koloru żółtawego błota.

- Hej, Deano. – Postukał mi w maskę pistoletem. – Jaką masz grupę? O, A, AB czy jak? To twoja sprawka? – Skinął głową w stronę ciała.

- Mam A – skłamałem.

- No to lepiej zabierzmy cię stąd, nim się zaczniesz sypać. - Puścił do mnie oko.

Odwrócił się do Jake'a. Ostatni członkowie jego grupy już, schodzili po schodach.

- No? Czas coś przekąsić! – zarządził. – Deanie, Jake'ku Simonsen, prowadźcie nas do jedzenia!

Jeden z jego ludzi podciągnął mnie do pionu. Zawyłem z bólu.

- No, no, tylko bez płaczu. Nie cierpię beks! - zbeształ mnie Payton.

- Zaczekajcie – wycharczałem, gdy jeden z kadetów pchnął mnie w stronę głównych drzwi.

- Co? – ryknął Payton. – Co mówiłeś?

- Wyluzuj, Dean - syknął Jake, a jego niby lekki ton był aż nabrzmiały paniką.

- Właz – powiedziałem, starając się mówić tak głośno, żeby mnie słyszeli mimo maski. - Musimy zamknąć klapę.

Payton spojrział na mnie tak, jakby mnie dopiero teraz zauważył.

- Genialne! Tak! Oczywiście, że musimy zamknąć klapę, podoba mi się ten dzieciak. W ogóle lubię te dzieciaki, Zarembler! Dobra robota!

I zarzucił mi rękę na ramię.

Ból był straszny, ale zmilczałem.

Poprowadziliśmy ich w stronę działu spożywczego (szerokim łukiem omijając Dom).

Każdy przepełniony nieznośnym bólem krok był jak modlitwa: Astrid, zabierz dzieciaki i schowajcie się, schowajcie się, schowajcie się.

Kadeci ryknęli z radości i zaczęli rozrywać torby z ciastkami, chipsami i krakersami.

Przez chwilę zdawało nam się, że o nas zapomnieli. Zdjąłem maskę i potarłem twarz. Całe ciało miałem zlane zimnym potem.

To głupie, ale prawie się cieszyłem, że moje okulary się zgubiły i pewnie zostały gdzieś na zewnątrz przy wózku. Może bez nich wyglądałem na większego twardziela.

Czułem podskórnie, że bycie twardzielem stało się nagle kluczowe, jeśli chcemy przetrwać.

Podszedł do nas jeden z kadetów. Żeby nas pilnować.

- Chłopie - zagadał do niego Jake. – Nie jesteś głodny?

Tamten wyraźnie marzył o jedzeniu, ale Payton wydał mu rozkaz, więc nie jadł.

- Zamknij się! – warknął.

- Nigdzie się nie wybieramy - zapewnił go Jake tak serdecznie, jak tylko się dało.

- Zamknij się, powiedziałem. Żebym nie musiał ci zatkać gęby lufą smith-and-wesson! – ryknął na niego chłopak. Był niższy od nas. Całą twarz i włosy miał w jakimś smarze kamuflującym. Do tego postrzępione, żałosne wąsiki.

Ochrzcilem go mianem Oślizgły.

Patrzyliśmy, jak się obżerają, chleją, co popadnie, i oblewają się nawzajem gazowanymi napojami z puszek.

Skoro nadal nie widzieliśmy dzieciaków, to jest duża szansa, że Astrid je ukryła, prawda?

Od czasu do czasu patrzyliśmy z Jakiem po sobie i chyba to właśnie próbował mi powiedzieć. W każdym razie ja na pewno próbowałem mu to powiedzieć.

I jakim cudem Astrid zdołała zamknąć pysk Lunie? Przypomniało mi się, jak czytałem kiedyś o matkach w czasie drugiej wojny światowej, które musiały dusić niemowlaki, żeby ich płacz nie zdradził gestapowcom kryjówki całej rodziny, Zrobiło mi się słabo. Jak Astrid uciszyła Lunę?

- Wyglądacie jak bandyci! - powiedział Payton, stając przy nas. Wyciągnął w naszą stronę otwarte pudełko krakersów. - Chcecie trochę?

- Nie, dziękuję – powiedziałem.

- Nie, dziękuję...?

- Nie, dziękuję, sir.

- No właśnie. Słuchajcie, nic o nas nie wiecie, więc was oświecę. Ja jestem kadetem drugiej klasy. A ci frajerzy to koty. Po czterech latach nauki. Nic nie znaczą. Jestem wyższy ligą. A to oznacza, że mają robić, co mówię, a nikomu nie stanie się krzywda!

Zarzucił mi rękę na ramię i zobaczyłem gwiazdy. Jęknąłem cicho, a Jake spiorunował mnie spojrzeniem.

- Właśnie sobie uświadomiłem, sir - powiedział szybko – że nie powiedzieliście nam nawet, jak spotkaliście Braydena.

Payton popatrzył na niego, jakby nie rozumiał. Po chwili wybuchnął śmiechem.

- A! Braydena! O Boże. On chce wiedzieć, jak spotkaliśmy Braydena! – wykrzyknął do obżerających się kadetów. – W autobusie oczywiście.

Zmroziło mnie.

- W jakim autobusie? - spytał Jake, blefując.

- Nie udawaj Greka, Jake. Wasz autobus wpadł w naszą zasadzkę. I w ten sposób dowiedzieliśmy się o waszym sklepie. Jeden z bachorów powiedział nam grzecznie, dokąd mamy jechać.

O Boże. Czy on mi zaraz powie, że zabił mojego brata? Co wtedy zrobię? Co ja zrobię, jeśli on to powie?

- Mówiliśmy im, żeby nie jechali - skłamał Jake.

Pocił się. Trząsał się i pocił.

- Idioci! Po co opuszczać takie wspaniałe miejsce? – zgodził się z nim Payton. Wepchnął sobie do ust kolejną garść krakersów.

- A, racja. Chcieli uratować Braydena. Ale facet i tak wykitował.

- Tak? - spytał Jake.

- Prawdę powiedziawszy, to go zabiliśmy. Wciąż tylko jęczał i jęczał. O Boże, do szalu mnie to doprowadzało. Więc kazałem jednemu z ludzi go udusić. Nie mogłem znieść tych jęków. Jak ja nie znoszę takich marud.

Spojrzał z ukosa na Jake'a, sprawdzając jego reakcję.

Jake pokiwał głową.

- Ja też – zapewnił. Ale był siny na twarzy.

- I tak by nie dali rady dojechać do szpitala - ciągnął Payton.

- Więc, no, wykopaliśmy tych frajerów z autobusu. Chyba postanowili dojść do Denver na piechotę. Idioci.

Mój brat, Niko, Josie i reszta szli teraz piechotą. Albo przynajmniej szli jakiś czas temu, zaraz po zasadzce kadetów. Zrobiło mi się słabo.

- Ale wiecie co, to był błąd, że ich wypuściłem - powiedział Payton. Obejrzał się za siebie i upewnił, gdzie jest Anna. Podchodziła właśnie do półki z mieszanką studencką, a zatem była poza zasięgiem słuchu. — Powinienem być zostawić sobie tę ślicznotkę!

Trącił Jake'a łokciem.

- Pewnie za nią tęsknisz, co? — rzucił. — Urządziłeś sobie z nią chociaż miłą imprezkę pożegnalną, nim ją stąd wypuściłeś?

Mówił o Josie albo o Sahalii.

Więc ich nie zabił. Ani nic im nie zrobił.

Dobrze.

Spokojnie, spokojnie, Astrid na pewno już ukryła dzieciaki. Przecież jest świetna w chowaniu się. Musi ukryć wszystkich przed tym psycholem. Zaczynałem podejrzewać, że wcale nie oszalał od chemikaliów. Że po prostu zawsze był wariatem.

- Panie Payton, sir — wybąkałem.

- Podpułkownikowi Payton - poprawił mnie. - Czego?

- Chciałem tylko zapytać, jak się dostaliście na dach.

- Stare dobre haki, Dean. Ten nasz Zarembler to wlezie po wszystkim. A potem znalazł drabinę i ją nam zrzucił. Bardzo to miło z waszej strony, że ją tam zostawiliście - dodał, poklepując mnie po ramieniu.

Pożałowałem, że w ogóle się odezwałem. Mało nie zemdląłem z bólu.

- Dobra, koty - Payton zwrócił się do swoich ludzi. — Rozejść się i zdać mi raport z inspekcji budynku. Pełna ocena tego całego Greenwaya. Wyjścia, wejścia, zasoby, broń...

Puścił do nas oko.

Robił to w wyjątkowo okropny, podły sposób.

- Ze szczególnym uwzględnieniem alkoholu! Wujek Payton chętnie by sobie coś golnął!

Kadeci odpowiedzieli entuzjastycznym okrzykiem.

- Hej! – wykrzyknął Jake, jakby nagle coś sobie przypomniał. – Gdzie moje maniery?! Zapomniałem poczęstować was prochami!

ROZDZIAŁ 16

ALEX

27 KILOMETRÓW

W KOŃCU DOTARLIŚMY DO ZABUDOWAŃ. W WIĘKSZOŚCI DOMÓW BYŁO ciemno, ale w kilku widać było światła.

- Możemy do któregoś zapukać? - spytała Sahalia. - Może mają jedzenie.

Niko nie odpowiedział. Zaczął omijać osiedle.

- Niko, proszę, możemy odpocząć? - błagał, pochlipując Max. - Proszę!

- Dobrze, dobrze, spróbujmy zapukać tu - szepnął Niko, wskazując nam dom na obrzeżach osiedla.

Na parterze paliło się światło w dwóch oknach. Było rozproszone, jak by padało przez warstwy plastikowych zabezpieczeń.

- Trzymajcie się blisko mnie - polecił Niko.

Wszyscy staraliśmy się więc być jak najbliżej niego. I to był błąd. Bo to naprawdę wyglądało jak zwykły trawnik. Zadbany trawnik z odrobiną liści i gruzu. Ale to były tylko pozory.

Szedłem tuż za Nikiem, który nagle poleciał do przodu. Ziemia pod moimi stopami zniknęła. Przewróciłem się do tyłu. Walnąłem w Sahalię, która szła za mną. i razem rąbnęliśmy o dno.

Byliśmy w jakiejś dziurze. Nade mną Ulysses kurczowo trzymał się jakichś korzeni, skał czy czegoś.

Długo jednak nie dał tak rady. Spadł i wylądował obok nas. Na dnie pułapki.

Dean, naprawdę wpadliśmy w pułapkę.

Położyli po prostu brezent na dziurę, która była fundamentem nowego domu.

Było tak ciemno, że nie zauważyliśmy tej zasadzki i wpadliśmy prosto do dziury.

Ziemię wybrano koparką. Ściany miały charakterystyczną powierzchnię z wystającymi kamieniami i korzeniami. Na dnie było głębokie, kleiste błoto. Na glinie zebrało się trochę wody i mnóstwo śmierdzących zgnilizną liści. Na ścianach widniała też biała pleśń.

Dziura miała kształt litery L, a my znajdowaliśmy się w jej rogu.

Gdyby tylko Niko szedł pół metra dalej, w ogóle byśmy w nią nie wpadli.

Darliśmy się w panice, co chyba jest typowe dla przerażonych osób, które właśnie wpadły do ciemnego dołu.

- Spokój! - rozkazał Niko. - Spokój, wszyscy!

Próbowaliśmy więc się uciszyć. W każdym razie ja próbowałem.

- Wydostaniemy się stąd - powiedział Niko. - Wydostaniemy się, jeśli tylko zachowamy spokój i będziemy współpracować.

A potem zobaczyliśmy nagle błysk latarki na skraju dziury.

Tak, to z pewnością była latarka i się zbliżała.

- Hop! Hop? - zawołał Niko.

Wszyscy mu zawtórowaliśmy, wołając: hop, hop, pomocy i tym podobne.

- O Boże, tato! Udało nam się! - usłyszeliśmy dziecięcy głos. - Wiedziałem, że kogoś złapiemy! Wiedziałem!

- Poczekaj, Eddie, nie wiemy jeszcze, kto to.

- Pomocy! - wrzasnął Batiste.

Latarka błysnęła prosto na nas.

- Jezu! - jęknął mężczyzna. - To banda dzieciaków.

- Próbujemy dotrzeć do Denver. Nikogo nie okradamy ani nic takiego - powiedział szybko Niko.

- Ach, tak? My na pewno nie wybieramy się do Denver. Przeczekamy to, nie, tato? - zawołał dzieciak imieniem Eddie.

Znienawidziłem go. Nigdy wcześniej go nie widziałem, ale już wiedziałem, że jest najpodlejszą osobą, jaką w życiu spotkałem, bo:

- Zastawił na nas pułapkę.
- Wpadliśmy w nią.
- Wciąż miał tatę.

- No, tak - odezwał się ojciec. - Hm...

- Oddajcie nam swoje jedzenie i wodę, a was wypuścimy! - krzyknął chłopiec.

- Nie możemy! - odkrzyknęła Sahalia. - Umrzemy bez zapasów!

- Oddawajcie albo nigdy się stąd nie wydostaniecie - upierał się dzieciak.

- Wiesz, Eddie, naprawdę nie wiem... - mamrotał tata.

Zupełnie ich nie widzieliśmy, bo świecili nam latarkami po oczach.

Max zaczął chlipać.

- Mam wodę w butach - poskarżył się.

- Może to dla was świetna zabawa - odezwał się Niko, a jego głos był dźwięczny, cyfrowy. - Może dobrze się bawicie, zastawiając pułapki na ludzi i odbierając im jedzenie. Ale jeśli zabierzecie nasze zapasy, zginiemy. Chcecie mieć na sumieniu śmierć sześciorga dzieciaków? Max i Ulysses mają zaledwie siedem lat, na miłość boską!

Muszą nas przecież wypuścić.

Światło się odsunęło i usłyszeliśmy, jak się kłóca.

- Tato, potrzebujemy wody!

- Ale nie przypuszczałem, że to będą dzieci...

- A co z mamą? Potrzebuje wody! Tato! Tak strasznie chce mi się pić!

Nie ulegało wątpliwości, kto rządzi w tej rodzinie - Eddie. Najpodlejszy dzieciak świata.

Potem już nie słyszeliśmy ich sprzeczki, bo Max zaczął głośno płakać.

Od wody piekły go stopy i kostki.

Potem znów zaświecili latarkami w dziurę i mężczyzna powiedział:

- Rozumiemy was. Problem w tym, że jeśli my nie dostaniemy waszego jedzenia i wody, to umrzemy.

Płacz Maksa przeszedł w ryk, a zaraz potem zagłuszył go upiorny wrzask. Zrobiło mi się od niego słabo, ale jednocześnie poczułem promyczek nadziei.

Okrzyk wojenny Josie.

Światła zgasły i usłyszeliśmy odgłosy walki.

Najpierw zaatakowała ojca. Chyba pchnęła go na ziemię i okładała pięściami. Wydaje mi się, że potem chłopiec ją czymś uderzył, bo usłyszeliśmy jakiś głuchy odgłos, a zaraz potem płacz dziecka.

- Nie, proszę, nie! - krzyczał.

Na co Josie ryknęła:

- Uciekaj! - To był głos potwora, ale jednak go puszczała. -

UCIEKAJ!

Choć naprawdę nie cierpiałem tego dzieciaka, nie życzyłem mu śmierci. A przede wszystkim nie chciałem, żeby to Josie go zabiła.

A jego tata? Czy on już...?

Potem usłyszeliśmy łkanie. Głos Josie. Urywany, pełen rozpacz.

I usłyszeliśmy, że wstaje w błocie.

- Josie! Josie, to nie twoja wina! - krzyknął Niko. - Możesz zostać, Jojo. Możesz zostać z nami!

- Nie mogę - wyszeptała Josie, ponura i umęczona, gdzieś nad nami

- Josie! - wołał Niko. - Kocham cię! Nie odchodź!

A potem już nic.

Zniknęła.

Po kilku minutach wrócił chłopiec.

- Tato? - wyszeptał. - Tatusiu... Tatusiu?

A potem światło znów padło prosto na nas.

- Dawajcie tę maskę! - darł się. - Rzućcie mi ją w tej chwili!

Zaczął nas obrzucać kamieniami i grudami ziemi.

- Oddawajcie ją natychmiast!

Rzecz w tym, że mieliśmy zapasowe. Trzy zapasowe.

Niko milczał, nie ruszał się, nic.

- Zaczekaj! - krzyknąłem. - Zaczekaj chwilę!

- Nie będę czekał! Macie natychmiast rzucić mi maskę, żebyśmy mogli się stąd wydostać z moją mamą, albo pogrzebieć was żywcem!

To mi się wydawało mało prawdopodobne. Pewnie miał nie więcej jak jedenaście lat i w ogóle skąd by wziął tyle ziemi? Ale trudno mi go było obwiniać za brak logiki. Jego ojciec nie żył.

- Rzucimy ci jedną, jeśli nas wypuścisz! - zawołałem.

- Co?

Próbowałem myśleć jak Niko.

- Rzucimy ci maskę, jeśli podasz nam linę.

- Dobra - warknął. - Rzućcie mi dwie.

- Okej - targowałem się. - Ale najpierw zrzuć linę.

- Mowy nie ma. Najpierw maski.

- Może rzucę ci jedną, ty nam podasz linę, a wtedy rzucę ci drugą maskę?

Chłopiec się zawahał.

- Okej - zgodził się niechętnie.

- Nie rzuci tej liny - syknęła Sahalia.

- Mamy dużo masek - powiedziałem, wzruszając ramionami.

- Zdechniemy tu - odparła.

Niko tylko stał.

Wziąłem starą maskę Nika, tę, którą miał na sobie, nim zdobył wojskową, i rzuciłem ją do góry.

- Teraz lina - zawołałem.

Chłopiec imieniem Eddie pochylił się nad krawędzią i podświetlił sobie twarz latarką, żebyśmy ją dobrze widzieli.

- Obyście wszyscy zgnili w piekle! - wycedził z twarzą mokrą od łez i smarków. - Wasza kumpela zabiła moją tatę!
I poszedł sobie, łkając.

Niko wyjął z plecaka pistolet.

- Niko? - spytałem.

Spojrzał na mnie nieobecny wzrokiem.

- Niko? - powtórzyłem. Zachowywał się przerażająco.

Wycelował w powietrze.

- POMOCY! - zawołał. I strzelił BUM.

- Przestań! - wydarłem się. Przerażał mnie. Przerażał nas wszystkich.

- POMOCY! - BUM.

Dzieciaki wrzeszczały.

- POMOCY! - BUM. BUM. BUM.

- Niko! Nie! - krzyczałem.

Ale nie słuchał nas. Wystrzelił ostatni nabój i cisnął pistolet w górę na śliską trawę nad nami.

W tym czasie Sahalia leżała po prostu w błocie i łkała.

- Wstawaj - powiedział do niej Niko.

- Po co? I tak zginiemy.

- Nie, nie zginiemy. Wstawaj - syknął przez zaciśnięte zęby. - Podsadzę cię, a ty wyjdiesz i poszukasz drabiny.

- Nie dam rady - jęczała.

Ale i tak to zrobił.

Najpierw po prostu stanęła na jego splecionych rękach. Ale brakowało jej dobrego metra do krawędzi.

Potem próbowali tak, że ona stanęła mu na plecach. Nadal nie do sięgała.

Potem wymyślili, że ja mam wejść na Sahalię stojącą na Niku, ale nic z tego nie wyszło. Nie udawało mi się po nim

wspiąć. Chwytałem się ubrań, ale za mocno ciągnąłem go do tyłu, aż Sahalia spadła mu z pleców.

- To na nic! - krzyczała. - Wszyscy umrzemy!

- A flary?! - zawołałem. - Możemy wystrzelić flary, może ktoś przyjdzie i nas uratuje.

- Albo nas zabije! - warknęła Sahalia.

- Warto spróbować - powiedział po chwili Niko.

Wyciągnąłem jedną z flar z pasa. Zawinięta była w plastik i zwisał z niej biały sznurek. Pociągnąłem za niego i wyłuskałem ją z plastiku.

Była kartonowa i miała jedną chropowatą końcówkę.

Przyjrzałem się jej. Właściwie była to taka wielka, gruba zapalka z papierem ściernym przyczepionym do główki.

Nim jednak zdążyłem ją zapalić, Sahalia dała mi znak, żebym jej ją podlił.

- Ja to zrobię - mruknęła. - Wiem jak. A jeśli kilka razy źle zapalisz, to będzie do niczego.

Podąłem jej flarę. Wolałbym sam ją zapalić, ale skoro Sahalia zaczęła przejawiać jakieś zainteresowanie przetrwaniem, to chyba należało ją w tym wspierać.

Potarła koniec flary o papier.

Pojawiła się czerwona iskra i na jednym końcu zapalił się płomień. Sahalia trzymała flarę jak najdalej od siebie.

Jasny pomarańczowy blask oświetlił ją całą. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Stała ze zsuniętą z twarzy kominiarką. Widać było trochę włosów. W żółtym płaszczu przeciwdeszczowym naciągniętym na pięć warstw ciuchów. Za nią kryli się Ulysses i Max, tuląc się do siebie w panice, z twarzami zasłoniętymi maskami. A tuż za nimi sylwetka Batiste'a - skulonego, łkającego. Wszyscy byli pokryci błotem, brudni, a ona stała na tle ściany pełnej wystających kamieni i korzeni.

- Mam ją teraz rzucić czy jak? - spytała.

Niko wziął od niej flarę i cisnął ponad krawędzią na trawę obok dziury.

Potem owinął Maksa brezentem, żeby nie dostawało mu się więcej wody do butów. Od tej wilgoci Maksa piekły stopy. Co chwilę pojękiwał jakimś dziwnie niskim, jakby zwierzęcym głosem.

Ulysses zaczął się modlić po hiszpańsku, a Batiste po angielsku.

A później zaczęło padać.

I wtedy Sahalia poprosiła mnie o mój dziennik.

Oto, co napisała:

Nazywam się Sahalia Wenner.

Wygląda na to, że tu umrzemy, więc chciałam to napisać na wypadek, gdyby ktoś to znalazł. Jeśli to znalazłeś, proszę, wyślij mój list pod adres: Patrick Wenner, 106 McShane Place, Monument, Kolorado.

Tatusiu, przepraszam, że nie byłam lepszą córką. Gdybym mogła cofnąć czas, wstawałabym co rano, żeby pomóc Ci przy śniadaniu i zmywaniu. Nie doceniałam tego, że mam tak dobre życie. Taka jest prawda.

Nie wiem, czemu ciągle się kłóciliśmy. Zupełnie nie wiem, o co tak naprawdę się na Ciebie wściekałam. Nawet już nie pamiętam.

Chcę, żebyś wiedział, że po gradobiciu byłam w Greenwayu. Cały czas byłam w mieście. Nie wiem, gdzie Ty byłeś ani czy w ogóle jeszcze żyjesz. Ale ja siedziałam w Greenwayu z innymi dziećmiakami i kocham je wszystkie jak braci i siostry.

Zakochałam się tam w jednym chłopcu, a teraz on pewnie nie żyje. Myślę, że byś go polubił, ale nie wiem. Nazywał się Brayden Cutlass i miał najpiękniejsze brązowe oczy na świecie.

Szkoda, że nie mogłam zostać projektantką mody albo piosenkarką, tak jak zawsze chciałam. Szkoda, że nie mogłam przeprowadzić się do Los

Angeles i spełnić swoich marzeń. Ale tego wszystkiego już nie ma. Moje marzenia umarły. Najbardziej ze wszystkiego pragnę teraz, żebyś to znalazł, Tatusiu, żebyś wiedział, jak bardzo Cię kocham.

Tak bardzo bym chciała, żebyś o tym wiedział. Może już nie żyjesz i po prostu sam to wszystko wiesz.

A może zawsze wiedziałeś. Tak by było najlepiej. Choć na to nie zasłużyłam. Wspaniale by było, gdybyś jakimś cudem zawsze wiedział, jak bardzo Cię kocham.

Uściski,

***Twoja córka
Sahalia***

A oto, co chcieli powiedzieć inni:

Batiste: „Matko, ojczy, jeśli umrę, obudzę się w niebie i może już Was tam zobaczę. Kocham Was, Batiste”.

Max: „Mamo i tato, przykro mi, że Was nie znalazłem. Bądźcie grzeczni i nie kłóćcie się”.

Ulysses: „Jestem Ulysses Dominguez”.

Niko nie chciał nic zapisywać.

- Przestańcie bazgrać w tym notesie! - wydarł się na nas. - Wydostaniemy się stąd. Zapalmy więcej flar. Ktoś przecież musi tam być.

Zapalił i rzucił dwie czerwone flary, a potem białą.

Czekaliśmy, a deszcz zaczął przemiękać przez nasze warstwy ciuchów.

Po chwili Max zwymiotował.

W maskę. Widać było mnóstwo krwi.

- Pomocy! - zaczęła wołać Sahalia. - Niech ktoś nam pomoże!

Nadal mieliśmy jego starą maskę i teraz musieliśmy mu ją wymienić.

Niko nawet nie musiał mnie prosić. Przyklęknąłem przy Maksie, gotów do pomocy.

Sahalia darła się wniebogłosy, aż zupełnie ochrypła.

- Wstrzymaj oddech, mały - polecił Niko Maksowi, ale chłopiec krztusił się i sapał.

Niko zdjął mu maskę. Twarz Maksa wyglądała koszmarnie. Czerwona, cała w bąblach wokół ust, nosa i oczu. Krew ciekła mu po brodzie.

Przycisnąłem nową maskę do jego twarzy. Jęknął.

Dźwięk spod maski był zduszony.

Był to okropny dźwięk.

Max umierał.

Niko wydał z siebie ryk bezsilnej wściekłości. Potem skoczył na równo nogi, znów gotowy do działania.

Odwrócił się do mnie.

- Zrobimy tak. Podrzucę cię, a ty chwycisz się krawędzi i wydostaniesz na górę.

- Dobra - zgodziłem się. Płakałem.

Max umierał.

Niko złączył dłonie, ja włożyłem w nie stopę, a wtedy próbował mnie wypchnąć. Kilku prób wymagało opracowanie odpowiedniego kąta.

Za piątym czy szóstym razem poleciałem całkiem wysoko.

Chwyciłem się trawy, ale była zbyt śliska.

Chciałem dalej próbować, chociaż zadrapałem się jakimś korzeniem w twarz i krwawiłem.

Niko zaczął się modlić.

Tego wołałem nie widzieć.

- O Boże! - mówił. - Boże, błagam, ześlij nam kogoś na pomoc, sam nie dam rady!

Sahalia się pochyliła i przytuliła Nika. Przycisnęła go mocno. Przyłgnałem do nich i tak mieliśmy dwie grupki: Sahalia, Niko i ja w jednej, Batiste, Ulysses i Max w drugiej.

I wtedy... wtedy usłyszeliśmy ciche:

- Hej, wy!

Głos starszej osoby. Wściekły.

- Kto zapala te wszystkie rakiety? Hop! Hop?

Zaczęliśmy wrzeszczeć jedno przez drugiego.

Podsłoczyłem. Krzyczeliśmy straszliwie, ale Niko wydarł się na nas:

- Cisza! CISZA! JEŚLI CHCECIE PRZEŻYĆ, ZAMKNIJCIE SIĘ NATYCHMIAST!

A potem zawołał do tego kogoś:

- Wpadliśmy do tej dziury. Proszę nie podchodzić bliżej, bo łatwo się zsunąć!

- Nie wpadnę! Przecież nie jestem głupi! - padła odpowiedź. Potem oślepiający błysk latarki zaczął przesuwać się od jednego dziecka do drugiego.

- Jezu Chryste - zaklął głos. - Tak po prostu tu powpadaliście?!

- To ta podła rodzinka zastawiła pułapkę! - wrzasnęła Sahalia. - Zakryli dziurę jakąś szmatą, żeby ktoś wpadł do środka!

Niko ją uciszył.

- Proszę, niech nam pan pomoże się wydostać. Jesteśmy tylko grupą dzieciaków, a jeden chłopiec jest ranny.

- Mandry'owie. To oni zastawili pułapkę. Wygląda na to, że jeden z nich dostał nieźle w kość.

- Tak, zrobiła to dziewczyna imieniem Josie - wyjaśnił Niko.

- Ma grupę 0 - krzyknąłem.

- Tak, wychodzi na to, że Tad Mandry nie żyje.

- Czy może nam pan pomóc? - poprosił Niko.

- No przecież nie jestem bydlę! - odkrzyknął mężczyzna. - Oczywiście, że wam pomogę, na miłość boską. Przecież drabina leży tuż obok.

Cały ten czas drabina tam leżała? Tuż obok dziury?

- Pomogę wam wyjść. Ale na tym koniec. A teraz uciszcie się wreszcie i dajcie mi chwilę - powiedział mężczyzna. - Nie chcemy zwracać niczyjej uwagi. Ostatnimi czasy kręci się tu mnóstwo świrów.

Skuliliśmy się, przejęci, z wielką ulgą, ale i przerażeni. Słyszeć było tylko płacz i pojękiwanie Maksa. I jeszcze pociąganie nosem przez Ulyssesa i Batiste'a.

Potem usłyszeliśmy jakiś mokry dźwięk. Coś sunęło po ziemi.

- Drabina! - wyszeptał Niko.

- Przecież wiem - odburknął mężczyzna.

Centymetr po centymetrze widzieliśmy coraz więcej drabiny nad sobą.

- Idzie mi tak powoli, bo stary już jestem - stęknął mężczyzna. - Za stary na takie rzeczy.

Drabina zaczęła się przechylać.

- Teraz spadnie. Uwaga!

- Odsunęliśmy się! - zawołał Niko.

Drabina zabujała się chwilę na krawędzi, a potem runęła w dół.

Staruszek był malutki. Mniej więcej wzrostu Ulyssesa.

Nie widziałem jego twarzy, bo miał na niej szalik w czerwono-czarną kratkę. Ale po ruchach widać było, że jest bardzo stary.

Najpierw pomógł wyjść Sahalii, a potem ona się odwróciła i pomogła każdemu z nas po kolei.

Ostatni wydostał się Niko. Niósł Maksa.

Rzucił go na błotnistą ziemię.

Obok leżało ciało taty Eddiego. Na kamieniu. Pewnie upadł na ten kamień podczas bójki z Josie i złamał kark, bo miał dziwnie odchyloną głowę i otwarte usta, jakby oglądał gwiazdy.

Ale nie patrzył w niebo. Nie żył.

Ziemia była miejscami zryta, pełna śladów stóp i jakichś ciemnobrązowych plam, pewnie krwi.

- No dobrze - rzucił staruszek. - Życzę szczęścia i do widzenia.

I chciał sobie pójść.

- Proszę pana - odezwał się Niko. - Naprawdę potrzebujemy jakiegoś bezpiecznego miejsca, żeby móc się zająć naszym rannym przyjacielem. I odpocząć.

- Ja nie mogę wam pomóc! - odburknął staruszek.

- Ale nam się tak strasznie chce pić - łkał Batiste.

- A Max jest w złym stanie - dodała Sahalia. - Prosimy pana!

I wszyscy zaczęliśmy go błagać.

- Prosimy, prosimy, prosimy.

- Wiedziałem, że lepiej w ogóle tu nie przychodzić! - warknął. - Wyszedłem tylko wyrzucić śmieci, rozumiecie? I zobaczyłem te rakiety, i pomyślałem sobie: „Zignoruj je, Mario. Zaraz dasz się wrobić w niesienie komuś pomocy i drogo cię to będzie kosztować”. Ale i tak tu przylazłem.

Musieliśmy się prezentować naprawdę załóżnie. Brudni, w warstwach zniszczonych łachów. Sahalia, Batiste i ja z odsłoniętymi twarzami tak umazanymi błotem, że jedyne czyste miejsca stanowiły ślady łez. Niko stał ze zwieszoną głową. Max leżał na ziemi, jęcząc w zakrwawionej masce. Ulysses przycupnął przy nim w błocie.

- Dam wam jeden dzień i jedną noc. I ani odrobiny więcej! - warknął nieznajomy. - Trochę podstawowych leków, żeby jakoś was podleczyć. Trzy posiłki i jeden nocleg. Ale na więcej nie macie co liczyć. Musicie obiecać, że potem sobie pójdziecie!

Niko wyciągnął do niego rękę i powiedział:

- Obiecujemy.

Uścisnęli sobie dłonie.

Wszyscy zaczęli mu dziękować, a Sahalia po prostu go uściskała.

- Chodźcie za mną i cicho mi tam - rozkazał gderliwym głosem staruszek.

Przeprowadził nas przez ulicę w stronę mniejszego osiedla, które już minęliśmy.

- A temu co jest? Poparzenie? - spytał Nika, który niósł Maksa.

Maks pojękiwał z każdym nierównym krokiem Nika.

- Bąble - odpowiedział Niko.

Staruszek szedł najszybciej, jak potrafił. Ale starsi ludzie wolno chodzą. W końcu doszliśmy do jego domu. Był w takim pseudoangielskim stylu, z belkami. Jakby chciał udawać, że mieszkał w nim Szekspir.

Myślałem, że wejdziemy do środka, ale poszliśmy dalej.

Przeszliśmy trawnik na tyłach i dotarliśmy do małego budyneczku. Wyglądał jak szopa na narzędzia. Może nieco za duża na ten cel, ale jednak coś w tym stylu.

Weszliśmy do środka. Na ścianach wisiały różne sprzęty ogrodowe.

- Wchodźcie - burknął na nas. - I zamknijcie za sobą drzwi, na litość boską. To ma być kryjówka.

Przez maskę nie widziałem miny Nika, ale sam zacząłem się naprawdę niepokoić. Czy temu staruszkowi się zdawało, że będziemy bezpieczni w szopie?

A potem pan Mario schylił się po gumową wycieraczkę leżącą na podłodze. Wyglądała jak zwykła trochę podniszczona wycieraczka.

Podniósł ją, a pod spodem zobaczyłem metalową rączkę w podłodze.

Pociągnął za nią, ale nie miał już siły.

Rzuciliśmy się z Sahalią, żeby mu pomóc.

- Poczekajcie, poczekajcie chwilę - sapnął. - Kiedy już otworzymy właz, schodźcie od razu. Schody są strome, więc uważajcie, żeby nie spaść. Nie zatrzymujcie się, żeby nie blokować następnej osoby. Dobra. Już - powiedział do mnie i do Sahalii.

Pociągnęliśmy za rączkę.

Naprawdę było ciężko w pierwszej chwili, ale potem zaskoczyły siłowniki hydrauliczne i kłapa sama się otworzyła. Tu na górze wszystko było ponure, brudne i ciemne, ale z dołu zalał nas snop czystej bieli.

Był oślepiający, więc zamarliśmy odruchowo, żeby oczy się nam przyzwyczyły.

- Schodźcie! - ponaglał Mario. - Schodźcie szybko!

Ani przez chwilę nie baliśmy się, że to pułapka. Nie mieliśmy wątpliwości, że staruszek tak naprawdę wcale nie chce nam pomagać. Po co miałby nas oszukiwać?

I nie oszukał.

Zaufałem temu zrzedliwemu staruszkowi od samego początku. Wszyscy chyba od razu mu zaufaliśmy.

I słusznie zrobiliśmy.

Uratował nam życie. Nazywał się Mario Scietto.

ROZDZIAŁ 17

DEAN

DZIEŃ 14

- MAMY TU APTEKĘ PEŁNĄ ROBITUSSINU - POCHWALIŁ SIĘ JAKE PAYTONOWI. -
Mieliśmy trochę whisky, ale już ją wypiliśmy.

- Coraz bardziej mi się podobasz, Jake. Cieszę się, że
zastanawiasz się nad wstąpieniem do Akademii. Zdecydowanie
powinieneś do nas dołączyć - powiedział Payton. —
Załatwiłbym, żeby cię dali do mojego szwadronu. Pasowałoby ci
to?

- Tak, sir! — ucieszył się Jake.

Payton odwrócił się do kadetów, którzy wciąż czekali na
jego rozkazy.

- Chyba słyszeliście, co mówiłem?! Rozejść się i przeszukać
teren.

Czy szanowałem Jake'a? Przedtem... hmm. Nie za bardzo.
Lubiłem go. Nie dało się go nie lubić. Był po prostu taki miły i
uroczy. Wszyscy go lubili. Nawet kiedy go nienawidziłem i
miałem ochotę go wypatroszyć, to i tak go lubiłem.
Ale kiedy zaczął brać te wszystkie tabletki, wpadł w depresję, a
potem nas opuścił? Prawdę powiedziawszy, bardzo stracił w
moich oczach.

Teraz, gdy widziałem, jak pogrywa z Paytonem, jak
ostrożnie blefuje i prowadzi nas przez ten koszmar - stał się dla
mnie prawdziwym bohaterem.

Ramię chyba miałem zwichnięte. Każdy krok wywoływał
ból nie do zniesienia. Nie miałem sił, by walczyć z tymi gostkami.
Jeśli mamy to przeżyć, to tylko dzięki Jake'owi.

- Szkoda, że nie macie światła — stwierdził Payton. - Jakoś
tak tu ponuro po ciemku.

- No – zgodził się Jake. – Ale mamy mnóstwo latarek. A właśnie! Nie widzieliście jeszcze naszego ogniska!

Zaprowadził Paytona do kuchni.

Rozumiałem tę strategię. Z tym ogniem w misie wszystko wyglądało całkiem sensownie. Przytulnie i radośnie. Nietrudno będzie im uwierzyć, że tu mamy obozowisko. Aż zaczną szukać posłań.

Zaczęli wracać kadeci. Meldowali skrupulatnie, co widzieli. Oślizgły znalazł piły i zalepioną dziurę w ścianie. Chudy nerwus, którego przezywali Jimmy Śliczna Rączka, opisał, ile jest wody i innych napojów w dziale spożywczym (i tak, rzeczywiście miał strasznie małe dłonie). Zrobili dość porządny rekonesans. ZareMBER znalazł nawet plamę po paliwie na linoleum i ślady opon w miejscu, gdzie stał autobus.

Ale jakimś cudem nie zauważyli Domu.

Przyszedł ostatni kadet z raportem. Silny, tęgi czarny chłopak, którego nazywali Kildow. Wyglądał na najpodlejszego i nosił półautomat. A przynajmniej myślę, że to był półautomat, bo dotąd widywałem taką broń tylko na filmach.

Czy zaraz powie, że znalazł Dom? Jeśli tak, to Jake powinien to jakoś ograć – wcisnąć im, że zamierzał opowiedzieć o tym Paytonowi, ale zapomniał.

Czy Astrid i dzieci właśnie tam się ukryły?

Miałem nadzieję, że są już na górze, nad sufitem...

- Coś ciekawego? - spytał Payton Kildowa.

- Nie. Poza mnóstwem gówna w plastikowych pojemnikach tam w kącie. Mam na myśli prawdziwe kupy.

- Oj, przepraszamy za ten syf - powiedział Jake. - To Śmietnisko.

- Na pewno nie macie tu żadnych dziewczyn? - upewnił się Payton.

- Widzieliście nasze dziewczyny – przypomniał mu smutnym głosem Jake. – Zabrały się i nas zostawiły.

- No trudno. – Payton westchnął i rzucił się na kanapę. Tak czy siak, czas na imprezkę.

Jak się urządza przyjęcie dla pięciu szalonych kadetów sił powietrznych i ich dziewczyny w sklepie bez elektryczności?

1. Przechrzcić misę z ogniem na ognisko.
2. Nad płomieniami zrobić trochę popcornu w gotowych torebkach do prażenia.
3. Otworzyć kilkadziesiąt butelek robitussinu.

W każdym razie my tak zrobiliśmy.

- Masz zupełnie zjechaane to ramię – zauważył Payton, gdy już siedział przy ognisku.

- Coś sobie w nie zrobiłem, jak upadłem - przyznałem.

- Daj, niech spojrzę – odparł. Wstał i podszedł do mnie.

Siedziałem na kanapie pod ścianą.

- Nastawię ci je.

- Nie, nie, dziękuję. Nic mi nie jest – zapewniłem.

Próbowałem pochwycić spojrzenie Jake'a. Właśnie opowiadał Oślizgłemu i Zaremberowi, jak przebiegało trzęsienie ziemi w sklepie.

- Nie bądź cykor – zganił mnie Payton. – To zajmie sekundę.

- Nawet nie boli – skłamałem.

Boże jedyny, modliłem się, trzymaj tego łotra z dala ode mnie.

Bałem się, że całkiem mi rozwali ramię, a przecież i tak już bolało jak nic dotąd.

- No już. Jedno „cyk” i po robocie. Zarember, Kildow, do mnie!

- Proszę, nie, proszę! – wrzasnąłem.

Payton chwycił mnie za włosy i przyciągnął moje czoło do swojego.

- Słuchaj, Dean. Rozumiem, że się boisz. Dotarło do mnie. I myślisz, że ci zrobię krzywdę. Ale nie zrobię. Zamierzam ci

pomóc. A kiedy twoje ramię będzie z powrotem w stawie, będziesz mi bardzo wdzięczny. I w ten sposób przeciągnę cię na moją stronę – wyszeptał. – Rozumiesz? To nawet nie chodzi o ciebie, wiesz? To chodzi o naszą drużynę. Moją małą drużynę kadetów. Będziemy teraz rekrutować! – I rozłożył ręce triumfalnie, jakby ogłaszał dzień wolny od pracy.

Kadeci wiwatowali.

- Rekrutacja przez nastawienie ramienia, Deano. Widzisz? Zaopiekuję się tobą i Jakiem. Jesteście teraz moimi kotami! Podnieście go - rozkazał Kildowowi i Zaremberowi. - Podciągnęli mnie do pionu.

- Proszę, nie! – błagałem. – Naprawdę nie musicie mi nastawiać ramienia! Już jestem zwerbowany! Proszę! Pociągnął moją rękę, tak że łokieć znajdował się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do ramienia. Pchnął całą rękę w stronę drugiego ramienia, na ukos przez ciało, potem pociągnął i znów pchnął w stronę ciała, a ja się darłem, bo zobaczyłem mroczki przed oczami, aż nagle zapadła ciemność - dokładnie w chwili, gdy usłyszałem „cyk”.

ROZDZIAŁ 18

ALEX

27 KILOMETRÓW

SCHODY BYŁY BIAŁE Z CZARNYMI OSŁONAMI NA KAŻDYM STOPNIU, żeby się nie poślizgnąć. Sahalia szła pierwsza, za nią ja. U stóp schodów na dole zwisały z sufitu dwie plastikowe zasłony. Każda złożona z długich pasków. Przeszliśmy przez nie. Gdy tylko znaleźliśmy się w środku, automatycznie zapaliło się światło.

Byliśmy w podziemnym schronie.

Pomieszczenie było podłużne, wąskie, trochę jak wagon w pociągu. Staliśmy na jednym jego końcu, w swego rodzaju salonie z dwiema kanapami po obu stronach i stolikiem między nimi. Obok stał stary fotel. Jedna ściana była zupełnie zabudowana półkami z powieściami, podręcznikami i gramy planszowymi.

Za salonem znajdowała się kuchnia. Był w niej zlew, jeden elektryczny palnik i drewniane szafki.

Co było za tym, nie widziałem, ale założyłem, że łóżka do spania.

Położyłem rękę na ścianie - zimno metalu. Cały schron zrobiony był ze stali, choć niektóre meble były z drewna.

Za mną weszli Batiste i Ulysses.

- Bogu niech będą dzięki - wyszeptał Batiste i trudno się było z nim nie zgodzić.

Nagle rozległ się warkot jakiejś maszyny i poczuliśmy silne zasysanie powietrza pod stopami. Wszyscy podskoczyli.

- Co to? - spanikował Batiste.

Pociągnąłem nosem. Powietrze miało dziwny zapach. Jakby ozon.

Schyliłem się i wyczułem długi, wąski wywietrznik tuż przy podłodze. Wciągał powietrze.

- Filtracja powietrza - domyśliłem się. - Pewnie włącza się automatycznie, kiedy wykryje zanieczyszczenia.

Batiste i Ulysses położyli się na kanapach. Niko z trudem zszedł po schodach, niosąc Maksa.

- Złazić mi z kanap - zarządził pan Mario.

Batiste i Ulysses zsunęli się na podłogę.

- Połóż rannego tutaj - nakazał Nikowi.

Pan Mario zdjął swój kombinezon, zwinął i wcisnął do gumowej torby. Zrobił to dość szybko jak na starego człowieka.

- Trzeba myśleć. Myśleć, co najpierw, co potem - mruknął.

Przeszedł przez kuchnię do szafy wbudowanej w ścianę.

- Co mogę zrobić? - zaoferował się Niko. Stał zgarbiony przy kanapach i wyglądał, jakby miał milion lat.

- Zdejmij mu buty, jeśli dasz radę.

Niko zaczął ciągnąć za buty Maksa, a ten zawył z bólu.

- Dobrze, dobrze, niech sobie chwilę odpocznie - powiedział pan Mario, drepcząc z powrotem z dwoma plastikowymi pojemnikami, jakich się używa do noszenia rzeczy do sprzątania. Wiecie, co mam na myśli.

Tylko że te były pełne leków. Pan Mario położył rękę na kanapie i usiadł powoli przy Maksie.

- Dobrze, już dobrze. A wy, dzieciaki, zdejmujcie wreszcie te ciuchy. Cali jesteście przesiąknięci chemikaliami. Ty. - Wskazał palcem Sahalię. Pod blatem są torby na śmieci. Weź jedną i zbierz od nich ubrania.

Sahalia jęknęła, ale przykucnęła i weszła pod blat kuchenny.

Chyba po prostu dla niego za wolno się poruszaliśmy.

- No już! Zdejmujcie ubrania! Nie możecie być przecież aż tacy zmęczeni!

Mylił się. Byliśmy zmęczeni jak nigdy. Wykończeni.

Wszyscy.

Zaczęliśmy się rozbierać ruchami powolnymi jak u zombi.

- Musicie się pośpieszyć, dzieciaki! Ten filtr jest automatyczny. Będzie zasysał powietrze, aż będziecie całkiem czysti. A to nigdy nie nastąpi w tych brudnych ubraniach.

Podszedł do Ulyssesa i zaczął ciągnąć go za bluzę.

- Wy chyba naprawdę nie rozumiecie. Mówię przecież, że to automatyczny filtr. Będzie chodził, aż skończy się energia. Wtedy włączy się generator gazowy. A gazu mam tylko na jakieś dwa dni. Więc wyskakujcie z ciuchów i jak najszybciej zamknijcie torbę.

Ulysses się rozplakał. Pan Mario chyba go przestraszył.

Na twarzy miał czerwony odcisk po masce. Teraz po brudnych policzkach ciekły mu łzy.

- O Boże, nie płacz - jęknął pan Mario, a jego głos stał się łagodniejszy. Puścił rękaw Ulyssesa. - Zaraz cię umyję, mały, tylko zdejmij ubranie.

Gdy zniknęły wszystkie warstwy, odzyskaliśmy kształty małych dzieci.

Pojawił się Batiste, z prostymi, czarnymi włosami przygniecionymi do głowy.

Ulysses z brzuszkiem wystającym spod T-shirta z monster truckiem. Na przedzie koszulki był jakiś zaciek. Chyba po wymiocinach.

Niko zdejmował warstwy ubrań i robił się coraz chudszy. Czy przedtem był aż tak chudy? Wyglądał jak szkielet. Wydawał się mały. Zawsze myślałem o nim jako o dużym i dorosłym. Teraz wyglądał jak chory nastolatek.

Dziwnie było tak zdjąć wszystkie ubrania. Zupełnie jakby były części, i mnie. Bez nich czułem się nagi.

Ale w końcu miałem na sobie już tylko granatowe kalesony.

Przypomniałem sobie, jak je wybierałem w Greenwayu. Jaki byłem wtedy pełen nadziei.

Dean, jeśli to czytasz, to wiedz, że miałeś rację. Gdybym wiedział, jak wszystko się potoczy - jak będzie nam ciężko i źle,

że Brayden i tak umrze, a Josie zwariuje i ucieknie - to nigdy bym nie poparł decyzji Nika, żeby jechać.

Czy naprawdę byłem tak głupi i łudziłem się, że uda się nam dotrzeć do Denver? Chyba tak.

Ale co my w ogóle wiemy? Jesteśmy tylko durnymi dzieciakami.

Sahalia zdejmowała ostatnią bluzę i zadarła jej się przy tym koszulka pod spodem. Zobaczyłem jej cycki w koronkowym staniku. Ale radość.

Rzuciliśmy ciuchy na podłogę, a Sahalia je zebrała i wsadziła do torby. Potem wyciągnęła jeszcze jedną na nasze buty i maski.

Pan Mario już zdjął Maksowi maskę i otwierał małe opakowanie jakichś tabletek.

Nie wyglądało to dobrze. Twarz Maksa. Cała w bąblach. Najgorzej wokół ust. Wyglądał, jakby przeżył jakiś koszmarny wypadek rowerowy. Jakby przejechał twarzą po chodniku. Powieki miał zaciśnięte i próbował stłumić płacz.

Pan Mario ostrożnie otworzył mu usta, rozwarł zęby i włożył tabletkę.

Niemal natychmiast Max się uspokoił, a jego ciało stało się zupełnie bezwładne.

- Dałem mu coś mocniejszego. Powinno wystarczyć, żebyśmy dali radę go umyć.

- Ma pan coś antyhistaminowego? - spytał Niko. - Jak dotąd benadryl całkiem nieźle działał.

Nagle zatoczył się do tyłu i w ostatniej chwili oparł o ścianę. Z trudem trzymał się na nogach. Stał, ale naprawdę ledwo.

- Siadaj - warknął pan Mario. - Jak na mnie upadniesz, to mnie zmiążdżysz.

Niko osunął się na fotel.

- To mój fotel! - zdenerwował się pan Mario. Ale gdy znów spojrzał na Nika, jego głos złagodniał. - Możesz sobie chwilę w nim posiedzieć.

Poszperał w pojemniku i rzucił Nikowi na kolana paczkę pigułek.

- Benadryl. Weź cztery. - Rozejrzył się i jego wzrok zatrzymał się na mnie. - Ty tam. Możesz podać koledze szklankę wody?

- Oczywiście.

- Szklanki są w pierwszej szafce, a woda w rogu. Nie pijcie zbyt łapczywie, dzieci. Dwa łyki, potem odczekajcie. Potem znów dwa i tak dalej. Żebyście mi tu nie wymiotowali.

Otworzyłem szafkę. Minęły chyba całe lata, odkąd ostatni raz otwierałem kuchenną szafkę i patrzyłem na naczynia i szklanki ustawione w równych rzędkach.

Wyjąłem szklankę po dzemie, taką z obrazkami wisienek i żółtym paskiem na brzegu.

Pod ścianą stała wielka butla ze źródlaną wodą.

- Mogę też trochę wody? - spytała Sahalia. - Proszę.

Głos miała dziwny. Zobaczyłem, że płacze.

- Oczywiście. Wszyscy musicie się natychmiast napić. I najeść. Zaraz się tym zajmujemy. Ale najpierw muszę pomóc temu tu. A wy musicie się umyć.

Ręka mi się trzęsła, kiedy napełniałem szklankę. Wziąłem dwa łyki.

Była taka czysta. Woda. Zdawało mi się, że od razu zalewa całe moje wyschnięte ciało. Tak to czułem.

Podeszła do mnie Sahalia i podałem jej szklankę. Wzięła solidny łyk.

- Mogę też trochę? - poprosił Batiste.

Podszedłem do niego i dałem mu się napić. Potem Ulysses też wypił trochę i już nic nie zostało dla Nika.

- Mamy dość szklanek dla wszystkich, dzieci - gderał pan Mario.

Ale my byliśmy już tak przyzwyczajeni do dzielenia się wszystkim, że nic nas to nie obchodziło.

Znów napełniłem szklanę i wziąłem jeszcze dwa łyki. Potem podszedłem do Nika i dałem mu się napić. Całe jego ręce były zakrwawione od bąbli.

- Dzięki - powiedział. Głos miał chropowaty jak żużel.

- Jak się nazywasz, chłopcze? - spytał pan Mario.

- Alex Grieder - przedstawiłem się.

- Ja jestem Mario Scietto. Wyglądasz mi na rozsądnego.

Pomożesz mi z tym tu? - Wskazał głową Maksa.

- To Max - poinformowałem. - Oczywiście, że pomogę.

- Paniusiu! - zawołał pan Mario na Sahalię. - Tam z tyłu jest prysznic.

- O Boże, naprawdę? - spytała z nagłym ożywieniem.

- Ma wbudowany minutnik. Każde z was może się myć przez dwie minuty. Jest ciepła woda. Ale dwie minuty i koniec, słyszycie? To woda ze studni. Dobrej, głębokiej studni, ale na ogrzanie jej schodzi za dużo prądu.

- Dobrze, proszę pana.

- I przyłóżcie się do tego mycia. Użyjcie szamponu i mydła. Porządnie się wyszorujcie. Nie marnujcie wody. Dostajecie ode mnie tylko jeden prysznic, rozumiano?

- Tak, proszę pana.

- I tę bieliznę też włóżcie do torby. Cuchniecie że aż wstyd. Najpierw wyślij pod prysznic chłopców i ich przypilnuj. Jak już wyjdą, w szafie znajdziesz dla nich świeże ubrania. Niech włożą jakieś moje pidżamy, słyszysz? Są też kobiece ubrania dla ciebie.

- Chodźcie, chłopcy - powiedziała Sahalia.

Batiste i Ulysses wstali posłusznie.

Żaden się nie kłócił. Poszli pod prysznic, potykając się ze zmęczenia, ale jednak szczęśliwi, że się umyją.

Spojrzałem na Nika. Już spał.

- Teraz zdejmujemy z twojego kolegi wszystkie te warstwy, a potem go umyjemy i opatrzymy mu rany - zarządził pan Mario. - Dasz radę mi pomóc?

Skinąłem głową.

- Grzeczny chłopiec.

Kilka razy mało nie usnąłem, ale pomogłem panu Mariowi umyć i obandażować stopy Maksa.

W jednym z pojemników zobaczyłem troxoidal. Przypomniałem sobie, że to demisteryd, który Jake dawał ci, Dean, na przyśpieszenie gojenia.

- To mu pomoże - powiedziałem, pokazując panu Mariowi tabletki.

Powiedziałem to, jakbym stwierdzał fakt, ale tak naprawdę to miało być pytanie.

- Dobry pomysł - przyznał pan Mario, patrząc na opakowanie. - Dawka dla dorosłego to dwie tabletki co sześć godzin. Dajmy mu połowę.

Wycisnąłem jedną tabletkę i włożyłem Maksowi pod język. Niemal od razu się rozpuściła. W ślinie wciąż miał jeszcze trochę krwi.

Sahalia, Batiste i Ulysses zdążyli się wymyć, nim obandażowaliśmy Maksowi stopy.

- Gdybym tak miał wannę... - mruknął pan Mario, gdy skończył.

- Po co? - spytałem.

- Cóż, musimy przecież jakoś umyć waszego Maksa. Inaczej zaraz uruchomi nam filtr powietrza.

Podniósł drugą kanapę. Pod siedzeniem było dużo miejsca do przechowywania różnych rzeczy.

Nieźle. W sumie w schronie liczy się przecież każdy centymetr przestrzeni.

W schowku było pełno koców. Pan Mario wyciągnął taki termiczny. Taki sam, jaki Niko ci przyniósł w Greenwayu po gradobiciu. Pamiętasz, Dean?

Otulił nim Maksa.

- Może tak będzie lepiej - powiedział do siebie.

Potem drugim otulił śpiącego Nika.

Miałem wrażenie, że bardziej mu zależy na tym, żeby nie uruchomić znowu filtrowania powietrza, niż na ogrzaniu chłopców, ale nie miałem mu tego za złe.

- Mogę rzucić okiem na system filtrowania - zaproponowałem. Znam się trochę na tym.

- Nie. Nie chcę, żebyś tam grzebał. - Rzucił okiem na metalowe drzwi na końcu bunkra. Pewnie prowadziły do maszynowni.

Wtedy zaburczało mi w brzuchu. Naprawdę głośno.

- Co mówiłeś? - spytał pan Mario.

- Nic nie mówiłem.

- Jak to? Przecież słyszałem.

- Nie, to tylko...

Mój żołądek znów się odezwał.

- Warczysz na mnie? Ładnie to tak po wszystkim, co dla was zrobiłem? Spojrzałem na niego. Mówił poważnie? Naprawdę tak się na mnie wściekał?

Nie. Tylko żartował. Parzył na mnie rozbawiony. Poklepał mnie po Kolanie.

Naprawdę lepiej się znam na maszynach niż na ludziach.

- A teraz leć pod prysznic. Ty się będziesz mył, a ja w tym czasie ugotuję coś do jedzenia.

To była uczta. W każdym razie dla nas.

Zupa z soczewicy, brązowy ryż, krakersy graham i sos jabłkowy. Sahalia miała na sobie jakąś hawajską suknię, którą znalazła w sypialni. Ale jakoś na Sahalii ta suknia wyglądała super.

Ja miałem biały T-shirt i szare spodnie od dresu.

Siedzieliśmy przy stole (stół stał za kuchnią, ale przed sypialnią) I uśmiechaliśmy się do siebie nawzajem.

Pan Mario krzątał się w kuchni. Jednocześnie psioczył na nas, żebyśmy zbyt łapczywie nie jedli, i namawiał, żebyśmy jedli więcej.

Prosiliśmy go, żeby też zjadł trochę zupy, ale machnął ręką.

- Nie znoszę zupy z soczewicy - burknął. - Cieszę się, że mogłem wam ją oddać. Przynajmniej nie będę musiał jej jeść.

- Poproszę dokładać - powiedział Ulysses, wyciągając miskę.

Pan Mario potargał mu włosy.

Potrafił być naprawdę miły, gdy nie rzucał rozkazów i nie darł się na nas o ciepłą wodę.

Niko obudził się akurat, kiedy skończyliśmy jeść.

Pan Mario od razu posłał go pod prysznic.

Gdy Niko się mył, pan Mario zdecydował, że czas umyć też Maksa. Pomogłem mu go rozebrać do samych majtek, co było dość dziwaczne, bo Max nadal był zupełnie nieprzytomny. Ale naprawdę trzeba go było umyć. Miał tyle bąbli i ran, że musieliśmy to zrobić, żeby nie doszło do zakażenia.

Sahalia pomogła mi zanieść Maksa pod prysznic, gdzie przekazaliśmy go Nikowi, który właśnie się płukał.

Niko trzymał Maksa, a ja go myłem.

Pan Mario zabezpieczył mu stopy folią, ale i tak było mnóstwo krwi, która spływała mu z twarzy i bąbli razem z brudem. Też miałem tego mnóstwo, gdy się myłem.

W końcu woda zrobiła się czysta, ale zajęło nam to o wiele dłużej niż dwie minuty. Pan Mario jednak nic na to nie powiedział.

- Połóżcie go na ostatnim łóżku - polecił, gdy skończyliśmy.

Zdażył już schować do torby ubrania Maksa i Nika.

Niko wyszedł spod prysznicza mokry i zupełnie nagi, żeby położyć Maksa na łóżku.

Podziwiam go. Czasami naprawdę nie wiem, jak on to robi. Zupełnie jakby go nie obchodziło, że Sahalia go widzi na golasa. Ja bym się chyba zapadł pod ziemię.

W końcu wyłączył się filtr powietrza.

- Wreszcie - mruknął pan Mario.

Łóżka były długie i wąskie. Mieściło się na nich po dwoje dzieci - jedno za drugim wzdłuż. Sahalia zajęła pierwsze, a u jej stóp zmieścił się Ulysses. Ja wpakowałem się na łóżko nad nimi.

Było jak w niebie. Bezpiecznie i ciepło. Najwspanialsze uczucie na świecie.

Przyszedł pan Scietto i mnie opatulił. To było przyjemne. Naprawdę miłe.

- Proszę pana? - spytałem cicho.

- Tak?

- Czy naprawdę musimy jutro sobie pójść? Chcę tylko wiedzieć na pewno.

- Zobaczymy, Aleksie. Nie wiem. To zależy od zasobów prądu.

- Gdybyśmy mogli zostać choć kilka dni dłużej, Maksowi na pewno by się polepszyło...

Pan Scietto zrobił tę starą sztuczkę, że niby łapie mnie za nos.

- Dobry z ciebie chłopiec. Wykonujesz polecenia i jesteś grzeczny - powiedział. - Może powinieneś pomyśleć o tym, żeby ze mną zostać. Mam dość zapasów dla dwóch. Starczyłoby nam na prawie siedem tygodni, gdybyśmy oszczędzali. Przecież ten bałagan na górze musi się już do tej pory skończyć.

To miłe z jego strony, że mi to zaproponował. Powiedziałem, że się zastanowię.

Ale tak naprawdę wiedziałem, że nie ma się nad czym zastanawiać. To znaczy z chęcią zająłbym się jego systemem filtrowania powietrza. I ani trochę nie miałem ochoty wychodzić z powrotem na ten okropny, okrutny świat na górze.

Ale nie zastanawiałem się nad jego propozycją. W każdym razie nie na poważnie.

ROZDZIAŁ 19

ALEX

27-16 KILOMETRÓW

ZAWALIŁEM SPRAWĘ. ZUPEŁNIE ZAWALIŁEM.

Włączyło się to filtrowanie powietrza. To dlatego.

Był środek nocy i wszyscy spali, wiedziałem, że pan Scietto nie będzie szczęśliwy, gdy się zorientuje, że filtr się znów włączył, więc pomyślałem sobie, że rzucę okiem na tę maszynę. Zakładałem, że musi być jakiś sposób, żeby ją ręcznie wyłączyć.

Na paluszkach podszedłem do drzwi maszynowni, otworzyły się od razu.

A potem usłyszałem głos pana Maria:

- Stój! Nie!

Ale było już za późno.

Zobaczyłem, co jest w środku.

Teraz nas pakuje. Słyszę, jak krząta się w ciemności, klnąc pod nosem. Otwiera szuflady, coś mruczy. Przed chwilą wszedł też do sypialni. Wyciągał ubrania z szafy.

A przecież pozwoliliby nam zostać jeszcze kilka dni. Jestem pewien.

Pozwoliliby nam zostać, aż Max mógłby znów chodzić.

Ale musiało mi przyjść do głowy, by zajrzeć do maszynowni. I zobaczyłem jej ciało.

Całe owinięte jak mumia.

Jego żona. Z pewnością.

Ludzka sylwetka jest charakterystyczna. Nie da się udawać, że się mu widziało ciała albo że się nie zorientowało, co to jest. Nawet gdyby się bardzo, bardzo chciało.

Pan Mario rzucił się do drzwi i je zamknął.

- Wścibski! Wścibski! - szeptał. - Musiałeś tu zaglądać?!

- Co się dzieje? - usłyszeliśmy głos Nika. Natychmiast czujny.

- Co jest? - spytała Sahalia.

- Nic - odpowiedziałem cicho. - Po prostu otworzyłem nie te drzwi. Możecie spać spokojnie.

Już po chwili znów było cicho.

Pan Mario dał mi ręką znak, żebym poszedł za nim do kuchni. Patrzył na mnie długo i ze złością. Zauważyłem, że się trzęsie.

Potem wyszeptał:

- Zbudowałem to miejsce dla nas, dla mnie i dla Judy. Nie miało mnie tu być bez niej. Nie miała prawa żądać ode mnie tej obietnicy. Nie zrobię tego!

Próbowałem z nim porozmawiać. Wyjaśnić mu. Zapewnić, że nikomu nie powiem o... Judy.

Ale ręką wskazał mi łóżko.

Rano zobaczyłem, że przygotował nam już najróżniejsze rzeczy do zabrania. Zestaw ubrań dla każdego. Trzy nowe plecaki pełne butelek wody i tych koktajli proteinowych, które pije się przez wbudowaną słomkę, więc nawet Max i Niko będą mogli pić w drodze.

I wyczyścił nam buty i maski.

Zależało mu na nas. Mimo to chciał, żebyśmy sobie poszli.

Niko bardzo dobrze przyjął te wieści.

Po prostu pokiwał głową i powiedział:

- Dał nam pan więcej, niż obiecał. Bardzo dziękujemy.

Gdy pan Mario pokazał mu wszystko, co dla nas przygotował, Niko znów mu podziękował.

- Czy ma pan jakąś linę? - spytał potem.

- Po co ci lina? - zdziwił się pan Mario.

- Muszę wykombinować jakiś rodzaj nosidła dla Maksa.

Mógłbym go sobie przywiązać do pleców.

Wtedy pan Mario zamilkł.

- Tak sobie myślałem... - powiedział po chwili. - Może Max mógłby zostać ze mną.

Nie od razu dotarło do nas, co powiedział, a potem wszyscy się wzdrygnęliśmy, jakby zwymiotował czy coś.

Potem Ulysses zaczął płakać, Batiste piszczeć, a Sahalia drzeć się jak głupia.

- Wiem, że nie chcecie go zostawiać! - próbował przekrzyczeć ich pan Mario. - USPOKÓJCIE SIĘ! - ryknął. - Wiem, że nie podoba wam się ten pomysł, ale może Max chciałby zostać. Może byśmy go jednak zapytali, co?!

Na co z sypialni rozległ się krzyk osłabionego Maksa:

- Ani mi się śni!

I w ten sposób pan Mario Scietto zrozumiał, że nas nie da się rozdzielić.

Szliśmy.

Było lepiej niż przedtem. Droga była płaska i prosta. Poza tym byliśmy wypoczęci, najedzeni i mieliśmy nowe ciuchy. Stare buty, ale jednak nowe ubrania.

Pan Mario powiedział jeszcze Nikowi, w którym domu mamy szukać wózka. To był całkiem niezły wózek. Taki do uprawiania joggingu z dzieckiem. Może i Maksowi było głupio, że go wieziemy jak dzidziusia, ale nie protestował. Był cały owinięty w niebiesko-pomarańczową pelerynę przeciwdeszczową z logiem Denver Broncos. Dostał ją od pana Maria.

Szliśmy drogą, która nazywała się Gun Club Road. Nazwa niby złowieszcza, ale droga była dobra i równa. Kilometr za kilometrem nicości, żadnych domów, budynków, miejsc na odpoczynek.

Oczywiście wszędzie wałały się samochody. Były przerażające. W każdym mógł się ktoś czaić, więc

przyglądaliśmy się im uważnie. Ale w większości były zupełnie obrosnięte pleśnią i opuszczone. Panowała idealna cisza.

Gun Club Road biegnie blisko autostrady 470, więc kiedy zbliżaliśmy się do niej, widzieliśmy naprawdę mnóstwo samochodów na poboczu, ale to nam nie przeszkadzało.

Szliśmy i szliśmy, i szliśmy. Z początku miałem w głowie jakieś myśli, ale potem krok za krokiem wyparowały mi z mózgu i mój umysł zupełnie się wyłączył.

Była tylko jedna stopa. A potem druga.

Może przeżyjemy. Może umrzemy. Ale zdawało mi się, że na pewno będziemy iść bez końca.

Po wielu godzinach Ulysses poprosił Nika, żeby opowiedział nam o pani Wooly.

- Nie mogę - powiedział Niko.

- Dlaczego? - spytał Max.

- Bo mi się serce kraje.

- Wiem dlaczego - odezwał się Batiste lekko zasapany od naszego szybkiego tempa. - Myślisz, że ona nie żyje.

- Nie! - zaprotestował Ulysses. - Pani Wooly?

- Proszę, Niko, proszę! Taki jestem zmęczony - jęczał Max.

- Niby od czego? - syknąłem. - Przecież wieziemy cię w wózku!

- Ech, dobra, cisza! - ryknął na nas Niko. Jego głos z głośnika maski wydawał się taki chłodny. - Pani Wooly przyjedzie tą drogą, którą idziemy - dodał.

- Jakim autem? - spytał Max.

- Minivanem.

- Jakim?

- O Boże... To będzie... kia sportvan.

- Czerwony? - chciał wiedzieć Max. - Z szyberdachem?

- Tak, czerwony z szyberdachem. I pani Wooly powie:
„Miałam was odebrać od pana Scietta. Wiem, że dobrze się wami zajął, gdy organizowałam ten wóz”.

- A tak w ogóle to skąd ona go weźmie? - dopytywał się Max.

- Hm, no właśnie dlatego tak jej schodzi.

- Znaczy dlaczego? - drążył Batiste.

- Musiała zarobić pieniądze, żeby go kupić.

- Jak je zarobiła? - spytał Max.

- Nie wiem - powiedział Niko.

Musiał wepchnąć wózek pod małą górkę, co nie było łatwe w tym błocie.

- Może komuś ukradła - zasugerował Max.

- Albo wykopała dół i łapie w niego ludzi - dodał Batiste.

- Ech, wszystko mi jedno - warknął Niko.

Na chwilę zapadła cisza.

Myślałem sobie tylko: Krok, krok, krok.

- Daleko jeszcze? - pytali co jakiś czas Batiste, Max lub Ulysses.

- Jeszcze trochę - odpowiadał Niko.

I tak jakieś dwadzieścia razy.

Krok, krok, krok.

Ulysses zaczął cicho płakać.

Nie płakał, żeby zwrócić na siebie uwagę. Była to czysta rozpacz.

I nagle usłyszeliśmy głos Sahalii.

Ona ma naprawdę dobry głos, wysoki i chropowaty, taki trochę punkowy. To chyba była rockowa piosenka, ale w sumie trudno powiedzieć, bo słyhać było tylko głos Sahalii i wiatr.

Słowa były takie:

Cóż, siedziałem teraz na podłodze w pubie.

Na tej brudnej podłodze siedziałem sobie właśnie.

*I podszedł do mnie mój stary przyjaciel.
I przyklęknął tam, gdzie siedziałem.*

*Odeszła, już jej nie ma, krzyknąłem głośno.
Chyba nie ma już żadnej nadziei.*

*A mój przyjaciel przeklął jej imię.
A potem strzelił mnie w głowę.*

*Powiedział: Wstawaj, wstawaj, chłopie. Wstawaj, już wstań!
Odeszła na dobre, sam to powiedziałeś. Ale ty jeszcze nie umierasz,
nie dziś. Nie, ty jeszcze nie umierasz.*

*Wyprowadził mnie na dwór, na ulicę.
Lodowate powietrze paliło mi gardło.*

*Powiedziałem: Daj mi ją optakać.
Wybuchnął na to śmiechem. Potem chwycił mnie za poły płaszcza.*

*I powiedział:
Ból jest dobry, ból cię wypali, ból cię wzmocni.*

*Lecz niepotrzebne cierpienie jest dla słabych.
A potem kazał mi śpiewać tę pieśń.*

*Powiedziałem: Wstanę, wstanę, wstanę! Wstanę teraz, już wstaję!
Odeszła na dobre, ze smutkiem to mówię. Ale nie, nie umrę dziś,
jeszcze nie dziś. Nie, nie umrę dziś.*

Sahalia powtórzyła refren, a ja śpiewałem razem z nią. I inni też. Śpiewaliśmy dość cicho i myślę, że nasze głosy nie niosły się daleko w tym czarnym powietrzu.

Ta piosenka jakoś sama wpadała w ucho. I podnosiła nas na duchu, mimo że była taka smutna.

Sahalia w ogóle ma talent do wybierania odpowiednich piosenek na każdą okazję. Ja bym tak nie potrafił.

Myślałem o tym przez chwilę, gdy szliśmy. Myślałem o Sahalii. Bardzo się zmieniła od chwili, gdy ją poznałem. Ogromnie w tak krótkim czasie. Zresztą może i ja się zmieniłem. To też niewykluczone. W każdym razie tę odmienioną Sahalię lubiłem o wiele bardziej niż tamtą dawną.

- Daleko jeszcze? - wciąż pytali co jakiś czas Max, Batiste i Ulysses.

- Jeszcze trochę - odpowiadał Niko.

Po może pięćdziesięciu takich pytaniach Sahalia syknęła nagle:

- Niko!

- Co? - spytał.

- Za nami - szepnęła.

Obejrzelismy się i zobaczyliśmy małą plamkę światła. Może pół kilometra za nami.

Ktoś był na drodze.

- Miej ich na oku, dobrze? - polecił Niko.

Ale zaledwie dziesięć minut później zobaczyliśmy kolejną grupkę podróżnych. Tym razem przed nami. Schodzili z autostrady na naszą drogę.

Mieli trzy latarki i świecili nimi na wszystkie strony. Niezbyt ostrożnie. Raczej durne zachowanie.

Ale przemieszczali się szybko i wkrótce byli już daleko przed nami

- Kto to? - szepnął Max.

- Wędrowcy - odpowiedział Niko. - Tak jak my.

Spojrzelismy po sobie z Sahalią i uśmiechnęliśmy się.

- Próbują dotrzeć na lotnisko. Tak jak my - powtórzył Niko.

Trudno mi powiedzieć, ile przeszliśmy na tym ostatnim etapie. Gdy byśmy szli bliżej autostrady, mógłbym to wyliczyć na podstawie słupków Szacuję, że w trzydzieści-czterdzieści minut pokonywaliśmy około półtora kilometra.

Kiedy wychodziliśmy od pana Maria, była 8.32. O 11.15 zatrzymaliśmy się na koktajle proteinowe i wodę. Potem znów szliśmy do 13.30.

Czyli może osiem kilometrów?

W każdym razie mniej więcej osiem kilometrów (+/- trzy kilometry) od pana Maria zobaczyliśmy w oddali światło. O wiele jaśniejsze niż awaryjne latarnie stojące przy autostradzie. Świeciło wkoło niczym latarnia morska Latarnia nadająca sygnał.

- Co to? - spytał Max. - Jesteśmy na miejscu? Czy to lotnisko? Czy to tu?

- Nie wiem - odparł Niko.

Przyśpieszyliśmy.

Sahalia uśmiechnęła się do mnie. Wielkim, szczerym uśmiechem.

Batiste ścisnął mi dłoń.

Już słyszeliśmy głos z głośnika. Jeszcze nie dało się rozróżnić słów, ale już wiedzieliśmy, że to jakiś komunikat, bo powtarzali go w kółko.

Gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy, że wokół światła gromadzą się ludzie. Stali w małych grupkach, każda grupka zachowywała bezpieczną odległość od pozostałych. Czasami na grupkę składały się tylko dwie osoby, czasami aż osiem czy dziesięć. Większość ludzi miała na sobie warstwy ubrań i maski. Kilka osób bredziło i zachowywało się dziwnie - to musieli być ci o grupie krwi AB.

Zbliżaliśmy się powoli do tego tłumu. Ostrożnie. Niko przekazał Sahalii wózek z Makssem. Pewnie chciał mieć wolne ręce na wypadek, gdyby trzeba było się bić. Pewnie żałował, że nie ma pistoletu, ale nie powiedziałem tego głośno.

Nikt do nas nie podszedł ani nic.

Ludzie byli obdarci i brudni, tak jak my, nim trafiliśmy do pana Maria. Zdecydowanie prezentowaliśmy się tu najlepiej. Byliśmy dość czyści i mieliśmy dwie wypasione pomarańczowe maski wojskowe (takich nie miał tu nikt).

Czułem, że gdyby pan Mario mógł nas teraz zobaczyć, byłby dumny.

Znów usłyszeliśmy komunikat:

„Dotarli państwo do punktu zbiórki ewakuacyjnej regionu Four Corners. Prosimy pozostać na miejscu do przyjazdu następnego autobusu. Autobusy przyjeżdżają o każdej pełnej godzinie”.

Zakręciło mi się w głowie.

Udało nam się!

Sahalia wydała szalony okrzyk radości. Uściskała mnie i pocałowała prosto w usta!

Ulysses przytulił Maksa i zapłakali razem, a Batiste przywarł do moich pleców, gdy Sahalia, wciąż mnie nie puszczając, znów zawyła z radości.

Inni ludzie też zaczęli krzyczeć. Może to ten jej wybuch szczęścia obudził, bo nagle wszyscy się śmiali, płakali, tulili do siebie nawzajem, choć nim Sahalia zaczęła wrzeszczeć, stali ostrożni i czujni.

I wtedy zobaczyłem Nika. Klęczał na ziemi, twarz ukrył w dłoniach. Łkał.

Podszedłem do niego.

- Udało ci się - powiedziałem. - Uratowałeś nas.

- Tak - jęknął. - Ale straciłem ją.

Autobus pojawił się dokładnie tak, jak zapowiadali - o pełnej godzinie. No, dobra, może był około dwunastu minut spóźniony, ale kogo to obchodziło!

Był to zwykły szkolny autobus. Pomalowany na wojskową zieleń. Drzwi się otworzyły i za kierownicą zobaczyliśmy nie panią Wooly (oczywiście, że nie), tylko żołnierza w wojskowej masce.

- Witamy na pokładzie - powiedział tym elektronicznym głosem z głośnika maski. - Już za chwilę będziecie bezpieczni w środku.

Zapakowaliśmy się do autobusu. Sahalia naprawdę jakoś przełamała lody i ludzie z różnych grup zaczęli ze sobą rozmawiać.

Mężczyzna z brodą spytał mnie, skąd jesteśmy. Kiedy mu powiedziałem, że z Monumentu, nie mógł w to uwierzyć.

- Przecież to ponad sto kilometrów stąd! - zawołał. - My ledwo tu dotarliśmy, a jesteśmy z Castle Rock.

Wzruszyłem ramionami. Byłem szczęśliwy.

- Jak tego dokonaliście? - spytał.

- Dzięki Nikowi - powiedziałem i pokazałem mu Nika, który siedział po przekątnej z Maksem na kolanach.

- Nie - wtrącił się Batiste, który siedział ze mną. - Dzięki Bogu.

Dean! Jak ten autobus szybko jechał! Droga była zupełnie pusta. Byliśmy już w strefie wojskowej i wszystko tu było inaczej. Mijaliśmy sklepy i biurowce - wszystko wyglądało jak po wojnie. Ślady po kulach w ścianach, spalone jeepy, niektóre budynki nadal płonęły.

Widziałem wielkie, długie hałdy ciał. Mam nadzieję, że przygotowanych do pochowania, nie do spalenia. Choć w tamtej chwili wszystkim chyba było to obojętne.

Im bardziej zbliżaliśmy się do lotniska, tym więcej było samochodów. Cały obszar wokół pełen był aut. Zaparkowanych na najdziwniejsze sposoby, pod szalonymi kątami. Nie jak na porządnym parkingu, tylko jak w jakiejś komicznej układance.

Wielkie fale białej piany zakrywały je miejscami. Piana obrastała pojazdy, zalewała je jak morze. Wszystko to wyglądało jak jakaś instalacja. Ocean samochodów i pleśni.

A nad tym górowało lotnisko. Białe wieże podświetlone od środka. Niczym zamczysko pośród pola wraków.

Wszyscy w autobusie wiwatowali. No, może nie wszyscy. Było kilka takich osób jak Niko - w rozpaczy albo w szoku. Ale Sahalia i dzieciaki wiwatowały. A ja razem z nimi.

Podjechaliśmy pod wielkie szklane drzwi. Udało nam się,
Dean. Udało nam się dotrzeć na lotnisko.

ROZDZIAŁ 20

DEAN

DZIEŃ 15

OBUDZIŁEM SIĘ NA SATYNOWEJ NARZUCIE NA ŁÓŻKO. NA PODŁODZE.

Wokół mnie słychać było chrapanie kadetów.

Próbowałem usiąść i moje ciało zaprotestowało, ale jednaś zniknął ten przerażający, otępiający ból w ramieniu, który czułem jeszcze wczoraj.

Nie miałem pojęcia, która godzina. Czy był ranek? Czy noc?

Kawałek dalej paliło się światło. Zmrużyłem oczy. To Kildow, pomyślałem. Chyba coś czytał.

Przymknąłem powieki, żeby jeszcze sekundkę odpocząć.

A potem obudził mnie kopniak.

Z góry patrzył na mnie Payton. W ręku miał kubek z wodą i mył zęby.

- Jak tam ramię, Deano?

- Lepiej – odpowiedziałem.

- Lepiej, sir!

- Lepiej, sir! – powtórzyłem. Jęknąłem, siadając. Ale z ramieniem naprawdę było lepiej.

Kadeci jedli na śniadanie odgrzewane tosty i pili mrożoną herbatę.

- Pokaż nam, gdzie są baterie i lampy. Potrzebujemy więcej światła. Nie mają tu żadnych generatorów? No wiesz, takich przenośnych?

- Żadnych nie znaleźliśmy – powiedziałem.

Mogłem ich zaprowadzić do regału z oświetleniem, ale wtedy zobaczą, że brakuje lampek na choinkę i latarenek.

Uch.

- Chyba rzeczywiście widziałem generator - odezwał się

Jake.

- Nie – zaprzeczyłem. – Nie mamy żadnych.

- No, ale coś chyba widziałem przy dmuchawach do liści i Takich tam.

- O czym ty mówisz?

- Panienki, dogadajcie się jakoś – zakpił Payton. – Za trzydzieści minut zaczynamy poranną rozgrzewkę i chcę tu mieć tyle światła, ile się da. A potem robimy porządną inwentaryzację. Chcę mieć listę wszystkich śmieci w tym budynku.

- Tak, sir! - krzyknął Jake.

- Tak, sir! – powtórzyłem, ale wypadło to jakoś niemrawo i z lekkim opóźnieniem.

- Do dzieła, koty - mruknął Payton i zaśmiał się pogodnie.

Jake poprowadził mnie w stronę działu remontowego.

- Po co im wmawiałeś, że mamy generator? – syknąłem, gdy tylko wyszliśmy z zasięgu słuchu. - Przecież teraz będą rozczarowani!

- Próbowałem tylko jakoś cię na chwilę odciągnąć na bok wyjaśnić. – Słuchaj, musimy ich wszystkich zabić. To jedyny sposób, żeby zapewnić bezpieczeństwo Astrid i dzieciakom.

- Nie możemy tak po prostu zabić pięciu ludzi, Jake - za protestowałem.

- Musimy tylko wyciągnąć jakoś ten półautomat od tego czarnego chłopaka

- Ale ja nie chcę zabijać pięciu ludzi, Jake! Nie masz pojęcia, jak to jest!

Jake spojrzał na mnie wściekle.

- Zabili Braydena. Mojego najlepszego przyjaciela. Zabili go! Mamy im to tak po prostu zapomnieć? – warknął.

- Jake, ty nie rozumiesz – oponowałem.

- Zabili go i muszą za to zapłacić.

- Ale od tego wcale nie poczujesz się lepiej – powiedziałem.

- Wiem o tym. Już nigdy nie poczuję się lepiej – szepnął wzruszając ramionami. – Ale musimy zapewnić bezpieczeństwo Astrid. Więc trzeba zabić kadetów.

- Nie, Jake. Musimy dorwać Annę. Kiedy będzie naszą zakładniczką, może uda nam się ich wykurzyć.

Jake popatrzył na mnie, przygryzając wargę.

- Dobra. Cholera. Tak. To lepszy plan – przyznał.

- Hej! – ryknął na nas w biegu Zarembek. – Nie kaźcie Paytonowi czekać! To jedna z najważniejszych zasad!

W miejscu po autobusie Payton kazał kadetom urządzić mulą siłownię.

Przynieśli sztangi z działu sportowego i rozłożyli kilka mat - takich, które da się łączyć ze sobą.

Jake zabrał kilka latarenek na baterie z Domu.

Od początku powinniśmy byli im powiedzieć o Domu. Teraz był jak bomba zegarowa. Gdy tylko Payton go odkryje wpadnie w szal, to pewne.

Jake ustawił latarenki i przyniósł kilka akumulatorów oraz lampki biurowe jeszcze w pudełkach. Powiedziałem Paytonowi, że wydaje mi się, że dałoby się podłączyć lampki do akumulatorów.

- Główka pracuje – pochwalił mnie Payton. – Tylko spójrzcie!

- Dziękuję, sir! – ryknąłem.

Za każdym razem, gdy tak się do niego zwracałem, czułem się jak zdrajca.

Z powodu ramienia – „kontuzjowanego ramienia”, jak to ujął Payton – byłem zwolniony z rozgrzewki.

Pracowałem nad systemem oświetlenia, gdy tymczasem Payton męczył Jake'a i pozostałych morderczymi ćwiczeniami ze sztangami.

- Tak trzymać, Simonsen! - wydzierał się. - Dawaj, dawaj, Zarembler, ciśnij, ciśnij!

Jake chyba się nawet przy tym dobrze bawił.

Zauważyłem, że Anna sunie w stronę działu z damskimi ubraniami.

Odłożyłem lampkę.

Pójdę za nią i ją złapię.

Zrobiło mi się słabo na samą myśl.

Ale żeby uratować Astrid?

Mogę to zrobić.

- A ty dokąd? – ryknął Payton.

- Do... nikąd – wybąkałem.

Payton przyskoczył do mnie i chwycił za koszulę.

- Anna jest nietykalna, słyszysz? Nikt nie ma prawa nawet o niej pomyśleć. Dotarło?

Przysunął się tak blisko, że czułem na twarzy krople jego śliny. Jego zęby były żółte, a oddech miętowy.

- Tak – potwierdziłem. – Tak, sir!

- Wyraźnie ci się nudzi. Skoro masz za dużo wolnego czasu, to zrób nam obiad!

Czy ja mam na czole napisane „kucharz”?

Ruszyłem więc do działu spożywczego, czyli w kierunku przeciwnym niż Anna.

Co mam zaserwować tym idiotom, co by się dało przy gotować na ognisku? Co można ugotować nad płomieniami w miedzianej misie?

Zupę. Tak, porządną gęstą zupę z kawałkami mięsa.

Paytonowi się to spodoba.

Mamy też jeszcze trochę krakersów.

Nawet nie usłyszałem jej kroków.

Dotknęła mojego ramienia. Obróciłem się i już się do mnie tuliła, całowała mnie mocno. Astrid.

- Gdzie się ukrywacie? – szepnąłem, gdy skończyliśmy się całować. – Nie jest bezpiecznie.

Astrid wskazała palcem sufit.

- Ja tylko... Muszę ci coś dać.

Wcisnęła mi w dłoń trzy listki tabletek. Nasennych. Rozpuszczalnych. Tych samych, po których biedna Chloe spała półtora dnia.

- Daliśmy jedną Lunie i wtedy przyszło mi do głowy...

- Jasne. Tabletki nasenne.

- Genialne – szepnąłem. -A teraz uciekaj.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła do regału obok. Zobaczyłem w suficie odsunięty panel.

Z dziury wyglądali ciekawie Caroline, Henry i Chloe.

Wydali mi się zmęczeni, przerażeni i brudni.

Caroline pomachała lekko.

Astrid przysunęła twarz blisko mojego ucha i szepnęła.

- Chcę, żebyś wiedział, że jesteś... że jesteś dla mnie tym jedynym. Na wypadek gdybyśmy zginęli. Chcę, żebyś to wiedział.

I zwinnie jak kotka wspięła się po półkach do swojej kryjówki w suficie.

Popędziłem z powrotem do regału z jedzeniem.

Muszę wrzucić do czegoś te pigułki. I to szybko. Ale nie do zupy. Będzie gorąca. A poza tym mogą nie zjeść wszystkiego.

Sok.

Tak.

Taki z marchewki i innych warzyw. Tak, tak, tak. Jest słodki, bardzo słodki, a przez te warzywa i tak smakuje trochę dziwnie...

Chwyciłem dwie wielkie butelki i skryłem się w kącie za regałami.

Miałem tylko nadzieję, że jeśli ktoś mnie tu znajdzie, zdążę jakoś schować pigułki.

Odkręciłem butelki i zacząłem wyciskać do nich pigułki z listków. W każdym listku było osiem pigułek. Miałem trzy listki. W jednym listku brakowało dwóch tabletek, ale to i tak było chyba dużo.

Serce waliło mi jak młotem, gdy wciskałem tabletki do soku.
Dwadzieścia dwie tabletki nasenne. Jedenaście na każdą
butelkę.

Dwadzieścia dwie tabletki, żeby zlikwidować pięciu
kadetów i uratować nam życie.

ROZDZIAŁ 21

ALEX

16-0 KILOMETRÓW

TRUDNO MI NAWET OPISAĆ ROZMIARY OPERACJI NA LOTNISKU.

Najpierw weszliśmy do poczekalni dla nowo przybyłych. Kiedy dotarliśmy, musiało być tam już ze dwieście osób, a mniej więcej co dziesięć minut pojawiał się kolejny autobus i dostarczał kolejne grupy liczące od pięciu do dwudziestu osób.

Przeniesiono tu krzesła z lotniskowych poczekalni i wstawiono bez przykręcania do podłogi, więc się chygotały. Ogólnie była to jedna olbrzymia poczekalnia.

Wszędzie były napisy: BEZWZGLĘDNY OBOWIĄZEK NOSZENIA MASKI.

Maski piętrzyły się na stołach. Niektóre nowe, inne używane. Nie było tylko żadnych wojskowych, jak nasze pomarańczowe. Te były jakieś specjalne - takie dla cywilów. Wziąłem jedną dla siebie, a potem jeszcze dla Sahalii i Batiste'a. Kiedy założyłem maskę, cuchnęło w środku jakimś owocem. Był to okropny zapach, ale zupełnie nie mogłem sobie przypomnieć, co to za owoc.

- Fuu - jęknęła Sahalia. - I w ogóle po co nam one? Już i tak przecież się nawdychaliśmy powietrza, na litość boską.

Ale je nosiliśmy. Wszyscy je nosili. Bo jeśli się ich nie miało, natychmiast podchodził do ciebie żołnierz z bronią i wciskał ci maskę w dłoń.

Wydaje mi się, że ze względu na tych z grupą krwi AB chcieli, żeby wszyscy mieli maski. Bo ci, którzy mieli 0 i A, oczywiście sami wiedzieli, że lepiej ich nie zdejmować.

Widziałem w autobusie parę osób z grupą AB. Mieli panikę w rozbieganych oczach. Część takich ludzi była chyba na tyle przytomna, żeby jakoś doczłapać do bezpiecznej strefy, ale nie aż tak, żeby z własnej woli zakładać maskę. W maskach ci szaleńcy

wyglądali na spokojniejszych. Wykończonych i wyniszczonych, ale jednak spokojnych.

Było to oczywiście zupełnie nierozsądne, ale chyba w głębi duszy się łudziłem, że gdy tylko dotrzemy do lotniska, odnajdziemy rodziców. Że będą czekać na nas w progu czy coś.

W poczekalni przyglądałem się każdej twarzy za maską. Każde z nas to robiło. Poza Maksem, który zasnął w wózku.

- Nie ma ich tu - stwierdził Batiste, wypowiadając na głos to, co właśnie sobie myślałem.

- Wiem - odparłem. - Ale może w środku. Może w środku...

Nasza mała grupka siedziała razem na krzesłach.

Podeszło do nas kilku żołnierzy w kombinezonach odpornych na chemikalia i w papierowych notatnikach zwykłymi długopisami (!) zapisali nasze imiona, nazwiska, adresy i numery ubezpieczenia społecznego, jeśli je znaleźliśmy.

- Jest jakaś lista? - spytałem człowieka, który spisywał moje dane. - Tych, co przeżyli? Tych, którzy są na lotnisku?

- Pracujemy nad tym, mały - odparł.

Nie widziałem za dobrze jego twarzy, ale w głosie słysząc było zmęczenie.

Nałożył mi bransoletkę na rękę. Z numerem. Zapisał ten numer w swoim notatniku przy moim nazwisku. Miał też starodawny ręczny skaner którym zeskanował kod paskowy z bransoletki.

To mnie pocieszyło. Byłem teraz w systemie. Wszyscy byliśmy to pomoże naszym rodzicom nas odnaleźć.

- Sieć nadal nie działa? - spytałem jeszcze.

Uniósł żółty notatnik.

- A jak myślisz?

Już chciał iść dalej, ale położyłem mu dłoń na ramieniu. Odsunął się.

- Mój brat i czworo innych dzieci utknęło w Greenwayu w Monumencie - powiedziałem. - Musimy zorganizować akcję ratowniczą.

Tylko prychnął.

- Możesz złożyć podanie - dodał po chwili. - Ale czarno to widzę.

- Dlaczego? - spytałem.

- Mamy zbyt mało ludzi do pracy, jakbyś nie zauważył.

- Ale oni nie mogą sami tu dotrzeć, bo mają grupę krwi 0. To dzieci. Potrzebują pomocy.

Pochylił się i przysunął swoją maskę tuż do mojej. Miał brązową skórę i ciemne oczy. Miłą twarz. Ale bardzo zmęczoną.

- Czy ty masz pojęcie, ilu uchodźców już się przewinęło przez to lotnisko? - spytał. - Bo ja nie. I nikt tego nie wie. Dawno straciliśmy rachubę. Ale pewnie ponad osiemset tysięcy. Osiemset tysięcy ludzi, mały. Z trudem dajemy radę zająć się tymi, którzy już tu są. Nie potrzeba nam więcej.

Kiedy mi to powiedział, rozplakałem się. Wiedziałem, że ma rację. I wiedziałem, że nie uda nam się nikogo namówić, żeby po was pojechał

Płakałem i płakałem. Sahalia tuliła mnie jak dziecko, ale było mi już wszystko jedno.

Nie damy rady was uratować, Dean.

Co czterdzieści pięć minut przychodził żołnierz i wykrzykiwał kilka numerów.

Ludzie patrzyli wtedy na swoje bransoletki, żeby sprawdzić, czy to ich numer wywołano.

Potem ci, których wskazano, wstawali, brali swoje rzeczy i szli do dużych, podwójnych drzwi.

Było to zawsze trzydzieści kobiet i trzydziestu mężczyzn. Powiedziano nam, że dekontaminacja odbywa się w dużych grupowych prysznicach. Że potem dostaje się nowe ubrania i maski.

Czekaliśmy chwilę, aż przyszła nasza kolej.

Wstaliśmy i podeszliśmy do drzwi razem z innymi wywołanymi ludźmi

Sahalia chwyciła mnie za rękę i ścisnęła mocno.

Niko pchał Maksa w wózku. Wyglądał, jakby się bał. Dwóch żołnierzy (też w kombinezonach) sprawdzało nasze nazwiska na jednej (papierowej) liście.

Kiedy doszli do nas, zatrzymali Nika.

- Tego dzieciaka musi zobaczyć lekarz - powiedział jeden, wskazując Maksa.

Ale widzieliśmy już przedtem, jak ludzie byli zabierani do lekarzy. Rozdzielano ich z rodzinami. Zostawali zupełnie sami. Max z miejsca odmówił

- Nic mu nie jest - powiedział Niko. - Sam mogę się nim zająć.

- Jak sobie chcecie - mruknął żołnierz.

Niko wziął Maksa na ręce i dalej już po prostu go niósł, zostawiwszy przy wejściu brudny, zakrwawiony wózek.

Znaleźliśmy się w dziwnym, elastycznym korytarzu. Był wysoki i owalny - jakbyśmy byli we wnętrzu rury od odkurzacza. I hermetyczny oczywiście. A poza tym zadziwiająco szeroki - troje ludzi mogło tu iść obok siebie.

Po jakimś czasie korytarz się rozdzielał - osobny dla mężczyzn/chłopców i osobny dla kobiet/dziewczynek.

Sahalia wpadła w panikę.

- Nie martw się - powiedziałem. - Znajdziemy cię po drugiej stronie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Na pewno? - spytała jeszcze, zaciskając palce na mojej kurtce.

- Znajdziemy cię, Sahalio - przyrzekłem.

Pokiwała głową, ale oczy miała pełne łez, gdy odchodziła z innymi kobietami i dziewczynkami.

Zapędzono nas do ogromnej bańki. Wyglądała jak wielka pomarańcza. Ściany dzielące ją na segmenty były z elastycznych, białych, plastikowych rur. Wiły się one wokół pokoju i każda prowadziła na środek bańki, gdzie zwisała, kończąc się prysznicem.

W kącie stało pięć wielkich śmietników, a obok sterta plastikowych stołeczków.

Czekało tu na nas kolejnych czterech żołnierzy w kombinezonach.

Jeden postawił taki plastikowy stółek przed Nikiem, żeby Max miał gdzie usiąść. To było miłe. To samo zrobił dla jeszcze kilku osób, które były w gorszym stanie.

- Proszę nie zdejmować masek - rozkazał nam inny.

Czy już nigdy się ich nie pozbędziemy?

Żołnierz podał każdemu z nas plastikowy worek na zacisk. Proszę włożyć do środka wszystkie kosztowności i dowód tożsamości, a następnie podpisać torbę. Torby zostaną zwrócone po drugiej stronie.

Zapakowałem więc tam notes, zegarek cyfrowy, który wzięłem z Greenwaya, i długopis. Nie miałem poza tym nic, co by warto zachować. Podszedł żołnierz i podpisał moją torbę, a potem włożył ją do metalowego pojemnika, gdzie leżały już inne.

- Proszę zdjąć z siebie wszystko z wyjątkiem masek. Ubrania proszę włożyć do pojemników. Wszystkie tkaniny muszą się znaleźć w pojemniku, żeby mogły zostać zniszczone. Taki jest regulamin - ciągnął żołnierz.

Niektórzy zaczęli protestować, ale żołnierz mówił głośniej:

- Po drugiej stronie tego pomieszczenia znajduje się pokój z ubraniami. Będziecie panowie mogli wybrać sobie nową, czystą odzież. Zapewniamy wszystkie potrzebne ubrania. Teraz prosimy zdjąć stare rzeczy

Ulysses się rozplakał. To wszystko było trochę przerażające. Było tak jasno i biało. I jeszcze ten żołnierz kazał nam się nagle rozebrać.

- Wszystko w porządku, Ulyssesie - powiedział Niko spokojnie przez głoścniczek maski. - Tylko się umyjemy. To dobrze.

Idąc za przykładem Nika, zdjęliśmy ubrania i wrzuciliśmy do najbliższego kosza. Mężczyźni wokół nas zrobili to samo.

Było to dość makabryczne zbiorowisko ciał.

Staliśmy tak nago, drżąc w maskach, a dowodzący żołnierz dał znak pozostałym trzem. Każdy podniósł z podłogi wąż od prysznicza. Były to szlauchy, które wychodziły z dołu ściany. Wcześniej ich nawet nie zauważyłem.

- To nie będzie zbyt miłe - ostrzegł dowódca. - Z góry przepraszam. Zaczynać!

Włączyli węże i strzeliła z nich pomarańczowa piana. Żołnierze zalali nas nią od stóp do głów.

Rozległy się okrzyki protestów i strachu.

Po chwili piana zniknęła.

- Można już bezpiecznie zdjąć maski - obwieścił żołnierz.

Wskazał nam pojemnik i wszyscy wrzucili tam maski.

Większość z nas miała po nich okropne wgniecenia na twarzy. Wszyscy wyglądali na mocno zdezorientowanych. Wtedy dowódca znów dał znak pozostałym żołnierzom i ponownie zalali nas detergentem.

- To okropne! - krzyknął jeden z mężczyzn.

- Nie cierpię tego mydła! - darł się Ulysses.

Dowódca się roześmiał.

- Wiem, mały. Ale taka jest cena wstępu.

Wcisnął wielki czerwony guzik na metalowej skrzynce wiszącej na ścianie.

Z pryszniców nad naszymi głowami i z rur wzdłuż ścian trysnęła ciepła woda.

To było boskie.

Dali nam cienkie, szorstkie ręczniki, żebyśmy się wytarli, i niebieskie, papierowe, szpitalne pidżamy. Wyglądały jak ubrania chirurgów, tylko były z takiego woskowanego papieru. Mnie się wydały naprawdę fajne, ale dorośli trochę na nie narzekali.

Żołnierze kazali nam wyjść spod pryszniców i poprowadzili nas znów tunelem.

Niko musiał nieść Maksa. Jego stopy krwawiły, był blady i wyglądał słabo.

- Zaprowadź tego dzieciaka do lekarza, na litość boską - powiedział dowódca do Nika.

- Tak, sir-odparł Niko.

Weszliśmy w korytarz i znaleźliśmy się w dużej sali.

Powitał nas żołnierz w mundurze (bez kombinezonu i maski).

- Odetchnijcie głęboko, panowie. Jesteście wreszcie w bezpiecznej strefie. Witamy.

Po obu stronach sali stały stoły. Przy każdym widniały informacje, na przykład: „mężczyźni - M”, „chłopcy do 5 lat”. W kącie były przebieralnie za zasłonami.

Przy każdym stole stało po dwóch cywilów, a raczej cywilek. Były to kobiety w różnym wieku, bardzo różnie ubrane, ale jednak jakoś dziwnie podobne. Trudno to opisać - w pierwszej chwili myślałem, że chodzi o oszczędność w ruchach. Potem że o nerwowość - zupełnie jakby zgłosiły się do tej pracy, żeby nie zwariować. Stres, zmęczenie, ale przy tym jakby i nadzieja.

I wtedy do mnie dotarło. To matki.

Normalnie taki wielki sklep z ciuchami prowadzony przez same matki.

O Boże, jak one się rozpromieniły na nasz widok. Dzieci.

Czterdziestoparoletnia kobieta w dresie rzuciła się od razu w naszą stronę.

- Moje biedactwa - zawołała.

Wyciągnęła ramiona i przytuliła Batiste'a i Ulyssesa. Wypadło to dziwnie i zupełnie naturalnie zarazem.

Mnie dopadła inna mama. Tuliła mnie i modliła się w jakimś słowiańskim języku, ale nie wiem w jakim.

Zza stołu „Chłopcy 10-12 lat” wyskoczyła czarna pani z włosami ufarbowanymi na rudo i siwiejącymi na skroniach. Zabrała Nikowi Maksa, zepchnęła wszystkie ubrania z blatu i ostrożnie posadziła chłopca. Zaczęła wydawać innym polecenia:

- Potrzebujemy bielizny, skarpetek i dresów. Nic obcisłego, wszystko jak najwygodniejsze. I kalesony. Kto ma kapcie? Nanette, przynieś kapcie!

Matki otaczały nas ze wszystkich stron. Przyniosły nam dzinsy, swetry, trampki. Wszystko zupełnie nowe. Przyniosły miękkie bawełniane majtki i skarpetki bez szwów. Wszystko, co miały najlepszego.

Dorośli mężczyźni, którzy weszli z nami, musieli sami o siebie zadbać.

A potem jeden krzyk zagłuszył wszystko.

- *Woo Sung-ah? Oori Woo Sung-ee maja? Woo Sung-ah!*

I z tłumu mam wypadła niska Azjatka.

- *Omma! Omma!* - darł się Batiste, wyciągając do niej rękę. To była jego mama.

Batiste znalazł mamę, Dean!

Wszystko, przez co przeszliśmy, wszystkie te okropne rzeczy, które nam się przydarzyły... To już nic. Wszystko to warte było tego, żeby Batiste znalazł mamę.

Chwyciła jego głowę w dłonie i spojrzała mu prosto w twarz. Łzy płynęły jej po policzkach, ale nawet tego nie zauważyła. Tylko wpatrywała się w twarz syna.

Potem przytuliła go mocno i znów odsunęła na odległość ramion, żeby na niego spojrzeć. Zupełnie, jakby nie mogła się nacieszyć jego widokiem.

- *Woo Sung-ah! Woo Sung-ah!*

Dotarło do mnie, że to jego imię. Jego koreańskie imię. Nasz Batiste ma na imię Woo Sung-ah.

Zacząli mówić po koreańsku. Oboje naraz.

Batiste jest pół-Koreańczykiem. W sumie pewnie nawet domyślałem się tego po rysach twarzy, włosach i tak dalej, ale przecież nie ma ani odrobiny akcentu. W życiu bym nie przypuszczał, że potrafi tak nawijać po koreańsku.

Wszyscy zaczęli płakać, śmiać się i przytulać. Dosłownie wszystkie mamy rzuciły się, by nas tulić, chlapiąc okropnie. Naprawdę prawie wszyscy płakaliśmy. To była wspaniała chwila.

Potem mama Batiste'a próbowała go nam zabrać. Pewnie chciała go zaprowadzić do reszty rodziny.

Ale Batiste się zaparł i wciąż powtarzał:

- *An dwei-yo! Omoni.*

Mówił tak szybko, tak biegle po koreańsku. Do czegoś ją przekonywał. Pokiwała głową.

Chyba tłumaczył jej, że musi ją nam przedstawić.

W potoku koreańskich słów pojawiły się nasze imiona. Usłyszałem „Alex” i matka spojrzała na mnie i skinęła mi głową. Ukłoniłem się jej, co wypadło dość głupawo, ale chyba nikt tego nie zauważył. Batiste przeszedł do Ulyssesa i mama uśmiechnęła się do chłopca. Potem spojrzała na stopy i twarz Maksa. Odwróciła się do Batiste'a i wygłosiła mu małe kazanie, ale on ją uspokoił, kiwając głową i przekonując, że tak, tak, zaraz go zaprowadzimy do lekarza. Nie rozumiałem oczywiście słów, ale widać było, że to właśnie mówi. Że ją uspokaja, nie przestając się uśmiechać.

A potem przedstawił jej Nika. Słuchała uważnie, co jej o nim opowiada. Patrzyłem na nią, gdy z pewnością się dowiadywała, że ten zmęczony chłopak o poważnych brązowych oczach i wymizerowanej twarzy uratował życie jej syna.

- *Niko-ya...* - wyszeptała i znów miała łzy w oczach. -

Gompata. Nomu nomu gompata, Niko-ya.

Zaczęła szukać czegoś pod swetrem i zdjęła z szyi wisiorek. Był to złoty łańcuszek z krzyżykiem. A na krzyżyku maleńki Jezus.

Wcisnęła go w dłoń Nika i zacisnęła mu na nim palce. Potem uniosła jego dłoń i pocałowała ją kilka razy.

ROZDZIAŁ 22

DEAN

DZIEŃ 15

ZAKRĘCIŁEM BUTELKI I POTRZAŚNAŁEM NIMI MOCNO. Z JEDNEJ TROCHĘ pociekło, więc otarłem ją T-shirtem. Muszą wyglądać idealnie.

Włożyłem je do wózka razem z zupą i krakersami.

Popędziłem do półki z jednorazowymi kubeczkami i chwyciłem takie duże do piwa.

Kiedy wprowadziłem wózek do kuchni, chłopcy właśnie kończyli serię jakichś skomplikowanych podskoków. Zaczynali od przysiadu, potem musieli podskoczyć tak, żeby pięty się dotykały, a potem wylądować i od nowa.

Wyglądało to na piekielnie męczące i wszyscy kadeci, Jake'a nie wykluczając, mieli miny, jakby zaraz mieli zwymiotować z wysiłku.

- Jeszcze trzydzieści sekund! Dacie radę! – ryczał Payton
Postawiłem sok na stole i dorzuciłem polano do miski.

- Piętnaście sekund. Nie poddawać się!

Wyłożyłem puszki z zupą na blat i wziąłem rondel.

- Koniec! Dobra robota, chłopaki!

Rozległy się jęki i przekleństwa kadetów, gdy po prostu padli na podłogę.

- Teraz musicie się napić! - zarządził Payton.

Podszedł do mnie. Wziął butelkę z sokiem i spojrzał na nią krytycznie.

Starłem się nie panikować.

- Pijcie wodę - rzucił przez ramię do chłopców. - Po ćwiczeniach trzeba pić zwykłą wodę.

Odstawił butelkę z sokiem, a ja straciłem nadzieję. Przecież wrzuciłem tam wszystkie pigułki.

Boże jedyny, a jeśli Payton nie lubi soku?

Ruszył w stronę działu spożywczego. Pewnie po wodę. Zakląłem w duchu. Trzeba było zachować choć część tabletek. Czy mamy więcej? Może jeszcze coś zostało w aptece...

Ale wtedy podeszli do mnie Kildow i Oślizgły. Obaj spoceni i wyraźnie spragnieni.

Kildow otworzył butelkę i nalał sobie cały kubek. Nawet nie zauważył, że butelka już była otwarta. Albo nic go to nie obchodziło.

Oślizgły wziął drugą butelkę i zaczął pić prosto z niej.

- To obrzydliwe, stary - zwrócił mu uwagę Kildow.

- Co się czepiasz? - odburknął Oślizgły. - Przecież mamy tu regały pełne picia.

Spojrzał na butelkę.

- Fuu, co to w ogóle jest?

- Sok, tylko warzywny - wybąkałem.

- *Sok, tylko warzywny* - przedrzeźnił mnie Oślizgły.

Wzruszyłem ramionami.

Podszedł Zarembler i wziął drugą butelkę. Nalał sobie soku do kubka i wypił.

- Jak dla mnie bomba - powiedział i puścił do mnie oko.

Zrobiło mi się głupio. Zarembler był najprzyzwoitszym facetem z nich wszystkich. Właśnie się za mną wstawił, a ja go uśpiłem.

Przyszedł też Jake.

- Co to?

Próbowałem ostrzec go wzrokiem, ale mnie nie widział.

Było zbyt ciemno.

- Sok — powiedziałem. — Taki, jaki lubiła Chloe.

Próbowałem mu przez to jakoś dać znać, że sok jest naszprycowany środkami nasennymi. Tymi samymi, które Niko dał Chloe. Poniewczasie przypomniałem sobie jednak, że Jake'a przecież z nami wtedy nie było. Już nas opuścił.

Jake wziął całą butelkę i zaczął pić.

- Jake! - krzyknąłem mimo woli.

I wszyscy kadeci spojrzeli na mnie.

Staralem się jakoś wybrnąć z sytuacji.

- Przecież zwymiotuje, jak będzie tak pił jak świnia...

I o dziwo miałem rację. Jake odstawił butelkę (już na wpół pustą), zrobił dwa kroki do tyłu i zwymiotował na podłogę.

Kadeci się roześmiali i pokleпали nawzajem po plecach.

Mało nie dostałem zawału.

Wrócił Payton z dwiema wielkimi butlami wody.

- Idioci - zganił ich serdecznym tonem. - Przecież wam mówiłem, że po ćwiczeniach pijemy wodę.

Postawił wodę przed Jakiem.

- Witamy w siłach powietrznych, synu! Zaliczyłeś pierwsze haftowanie!

Ze śmiechem wziął butelkę soku z blatu i powąchał.

- Uu, zepsuty - stwierdził.

Nie wypił ani łyka. Tak samo jak wysoki, tyczkowaty chłopak, którego przezywali Jimmy Śliczna Rączka.

I wtedy wróciła Anna.

- Znalazłam pokój – oświadczyła znudzonym głosem.

Z kuchenką turystyczną i posłaniami. Ukryty.

- Co takiego?! – ryknął Payton.

- Ukryli go przed nami - ciągnęła. - Jest w nim pełno ubrań i innych rzeczy.

Payton przemaszerował przez kuchnię do mnie. Mieszałem uparcie zupę.

Chwycił mnie za kontuzjowane ramię.

Przeszył je ból i jęknąłem.

- Tajemnica? Przyjmujemy was, leczymy, rekrutujemy do naszego szwadronu, a wy macie przed nami jakieś tajemnice?

Pchnął mnie z całej siły. Głową uderzyłem w misę. Posypały się iskry.

Ruszył na Jake'a.

W tej samej chwili Kildow usiadł ciężko na jednej z kanap.

Payton chwycił Jake'a za włosy i podciągnął do pionu.

- CO JESZCZE MASZ MI DO POWIEDZENIA, JAKY?! — zaryczał.

- Payton, proszę! - błagał Jake. — Przepraszam!

- Przepraszasz?

- Chcieliśmy ci powiedzieć, ale było już za późno!

- Tak, jest już za późno! - krzyczał Payton. Rąbnął Jake'a w twarz. - Spróbuj mi oddać! - darł się. - Spróbuj mi oddać, ty kłamliwa szmato, a zobaczymy, co się stanie!

Jake'owi leciała krew z nosa. Głowę miał zwieszoną. Wyglądał na pokonanego.

- Nie oddasz mi, bo wiesz, że bym cię zniszczył!

Payton kopnął go w bok i Jake osunął się na podłogę. Zupełnie bezwładnie. Odpadł.

A potem usłyszeliśmy łomot i Oślizgły też już leżał nieprzytomny.

ZareMBER jęknął, runął na kolana i padł twarzą na podłogę.

- Co, do diabła?! - wył Payton. - Co zrobiliście moim ludziom?

Podniósł wzrok na mnie.

- To-to musi być sok - wyjąkał Jimmy. — Tylko my dwaj nie piliśmy!

- Łap go! — warknął Payton.

Próbowałem uciec, ale Jimmy złapał mnie za nogę i przewrócił.

Payton chwycił pistolet leżący na stercie innej broni kadetów.

Potem złapał mnie i cisnął na blat jednego ze stolików w pizzerii.

Był to ten sam stół, pod którym ukrywałem się z Astrid podczas trzęsienia ziemi milion lat temu.

Przysunął mi spluwę do oka.

- Nie powinienem ci ufać, Deano. Wyglądasz jak jakiś cholerny intelektualista, wiesz? Co zrobiłeś moim chłopcom i dlaczego coś przede mną ukrywasz?

Wtedy usłyszałem dwa boskie dźwięki.

Najpierw wrzask:

- Wujku Paytonie!

To była Anna.

A potem ryk piły łańcuchowej.

Między ciałami kadetów stała Astrid. W jednej ręce trzymała piłę, a drugą Annę za włosy. W ciemności za nią widziałem maluchy.

- Odsuń się od Deana - rozkazała. - W tej chwili!

ROZDZIAŁ 23

ALEX

0 KILOMETRÓW

- GDZIE WYŚCIE SIĘ PODZIEWALI?! - WRZESZCZAŁA SAHALIA. - CZEKAM TU na was od godziny! Myślałam, że już się na dobre zgubiliśmy!

Wydała mi się taka mała i przerażona. Dotąd zawsze uważałem ją za bardzo dojrzałą. Ale teraz wyglądała na swój wiek. Czyli też mój wiek. Trzyście lat.

Miała na sobie niebieskie džinsy i duży sweter. Włosy zebrane w kucyk. Była wręcz przeraźliwie czysta.

Wybaczyła nam, dopiero kiedy jej opowiedzieliśmy o Batiście i o tym, jaki był szczęśliwy, gdy odchodził z mamą.

Gdy już dostaliśmy ubrania, dano nam też plecaki.

Białe, bez żadnego loga. W środku każdego była mała kosmetyczka ze szczoteczką do zębów, pastą, maszynką do golenia i mydłem. Do tego kilka podstawowych artykułów pierwszej pomocy - płyn do przemywania ran, plastry, maść antybiotykowa, paczka tabletek przeciwbólowych.

Wszystkie restauracje: Wolfgang's, Burger King, Pizza Shack i tym podobne zostały połączone w jedną stołówkę. Jedzenie było zawsze takie samo (z tego, co mi powiedziano) przy każdym posiłku. Owsianka na śniadanie, do której dostawało się owoce, jeśli się wstało dostatecznie wcześnie. Gulasz z wołowiny na obiad (chyba jakoś nie było tu wegetarian). Potrawka z kurczaka na kolację. Do tego ryż. Na deser pomarańcze. Czasami jabłka.

I niezliczone skrzynki butelek z wodą do picia.

Staliśmy tam, trochę zdezorientowani. Wokół nas ludzie biegali we wszystkie strony.

Przyglądałem się twarzom wszystkich mijających nas osób w nadziei, że odnajdę rodziców. Jeśli tylko uda mi się ich znaleźć, już oni kogoś zmuszą, żeby po was pojechało.

Ale nie miałem szans. Wokół kłębiły się tysiące ludzi.

- Patrzcie! - zawołała Sahalia, wskazując wielką tablicę.

Były na niej numery i godziny odlotu oraz informacja, do której bramki się zgłosić. Na przykład 7989-8425 Wyjście B7 11.45. Nasze numery nie widniały jeszcze na tablicy.

- Chodźmy coś zjeść - powiedział Niko. Niósł Maksa na plecach. - Potem zaprowadzę was do bramki.

- A ty niby co planujesz? - spytała Sahalia, od razu podminowana.

- Znajdę kogoś, kto mi pomoże zorganizować pomoc dla reszty.

Spojrzałem na niego. Z jego twarzy nie dało się wyczytać żadnych emocji.

- Mówisz poważnie? - upewniłem się.

- Oczywiście.

Nim zdążyłem się tym przejąć, Max zwymiotował. Samą żółcią - takiego dziwnego, jaskrawozielonego koloru. Przewrócił oczami i dostał drgawek.

Ludzie wokół zaczęli wrzeszczeć i zrobiło się zamieszanie.

Jakiś duży facet pomógł Nikowi położyć Maksa na podłodze, chłopiec cały czas się trząsał.

- Potrzebujemy lekarza! - krzyknął ktoś. - Potrzebny lekarz! Obskoczyli nas dorośli i w tym zamieszaniu nas rozdzielili.

- Odsunąć się! - ryknęła jakaś kobieta. - Z DROGI!

Była rezerwistką. Na lotnisku było takich wielu. Od zwykłych żołnierzy odróżniały ich nieco inne mundury.

Jedną ręką odsunęła dorosłych, a drugą prowadziła otyłego lekarza.

Miał torbę pełną leków i czerwony krzyż na mundurze.

Wyciągnął strzykawkę i wbił igłę w ramię Maksa. Drgawki ustały.

- Nic mu nie będzie - powiedział.

- Dobrze. Słyszeli państwo. Chłopcu nic nie będzie. Proszę się udać do odpowiednich bramek. Musimy jak najszybciej

państwa stąd przetransportować! To ewakuacja, a nie teatr! -
darła się rezerwistka.

Miała siwe włosy upięte w kok i była o wiele niższa od tego
żołnierza który nam pomógł, ale nie ulegało wątpliwości, że to
ona tu rządzi. Miała mundur w panterkę i trzy paski sierżanta na
ramieniu.

Nagle odezwał się Ulysses. Z tym swoim ciężkim akcentem
Oczy miał wytrzeszczone ze zdumienia i pokazywał na
rezerwistkę Nie mogłem uwierzyć w to, co mówił. Odwróciłem
się, żeby spojrzeć kobiecie w twarz.

- Pani Wooly? - powtórzył Ulysses.

To była ona.

Miała nawet plaketkę na mundurze: WOOLY.

Spojrzała na Ulyssesa, przez chwilę zupełnie go nie
poznając. A potem zbladła i ryknęła:

- Ulysses Dominguez?!

Popatrzyła na niego, na Nika, na mnie, Maksa i Sahalię i
wydała pisk. Głośny, triumfalny pisk!

Uściskała Sahalię z taką siłą, że prawie ją uniosła. Potem
rzuciła się na mnie, Nika i Ulyssesa.

- To moje dzieciaki, Goldsmith! - krzyczała do lekarza. - Te, o
których ci opowiadałam!

- Żartujesz? - zdumiał się lekarz, który już bandażował stopy
Maksa. - Serio? Te z Monumentu?

Ulysses przyklęknął przy Maksie i próbował go obudzić,
żeby mu pokazać, że odnaleźliśmy panią Wooly.

Maks zamrugał.

- Patrz! - krzyczał do niego Ulysses. - To pani Wooly!

Max spojrzał na nią i się rozplakał.

- Dlaczego pani po nas nie przyjechała?

- Och, Max - jęknęła. - Próbowałam.

- Czekaliśmy i czekaliśmy - wył chłopiec.

Pani Wooly przycisnęła mu rękę do czoła.

- Próbowałam, mały. Złożyłam podanie do dowódcy, ale czułam, że nic z tego nie będzie. Więc błagałam każdego pilota helikoptera, jaki mi się nawinął, żeby mnie zabrał ze sobą, ale żaden nie chciał tego zrobić.

Lekarz skończył bandażować stopy Maksa i wstał.

Sahalia wpatrywała się w panią Wooly z miną, której nie umiałem odczytać. Wściekłość? Pogarda?

- Potrzebowaliśmy pani! - krzyknęła oskarżycielsko. - Straciliśmy... straciliśmy Braydena! Nie żyje! Gdyby pani przyjechała... - Nie zdołała dokończyć, ale też nie musiała.

Pani Wooly odgarnęła jej włosy z twarzy. Ujęła jej głowę w dłoń.

- Och, Sahalio. Tak bardzo mi przykro. Tak mi przykro, że stało się to, co się stało. To na pewno było okropne, kochanie - powiedziała tym swoim ochrypłym głosem. - Udało mi się dotrzeć do waszego liceum i próbowałam zdobyć autobus, żeby po was wrócić, ale wybuchły zamieszki i podano ostrzeżenie przez radio. Musiałam się zgłosić do bazy. Taki mamy obowiązek. Służba nie drużba. Ale wierzcie mi, że wciąż kombinowałam, jak was uratować. Ale to już nieważne. Jesteście tu. Udało wam się.

- Niko powiedział, że przyjedzie pani po nas minivanem kia - wyszeptał Max.

- Kia?! Mowy nie ma, słonko. Jeżdżę tylko subaru. I szkolnymi autobusami. - Potargała mu włosy. - Musicie koniecznie zobaczyć te airbusy, dzieciaki. Cała flota samolotów A380. Zabierają ludzi i lecą, zabierają i lecą. A wy będziecie w następnym. Już ja tego dopilnuję!

- Lecimy na Alaskę? - spytał Max.

- Ale proszę pani... - próbowałem się wtrącić.

- Być może - powiedziała. - Rozwożą ludzi w różne miejsca. Jest dużo lotów do Kanady, do Vancouver, Ottawy, Kolumbii Brytyjskiej.

- Ale proszę pani... - próbował też Niko.

- Tam na północy oberwali o wiele mniej niż my i są naprawdę niesamowici. Jutro o tej porze będziecie zupełnie bezpieczni. Może nawet będziecie wylegiwać się na słońcu.

Max i Ulysses popatrzyli po sobie z uśmiechem.

- Ale proszę pani! - wydarłem się. - My musimy wrócić!

- Wrócić? - zdumiała się.

- Dean, Astrid, Chloe, Caroline i Henry wciąż są w sklepie - powiedziałem.

Zbladła i wyszeptała tylko:

- Cholera.

Pani Wooly złapała pierwszego rezerwistę, jaki jej się nawinął. Był młody, żuł gumę i miał bardzo długą szyję. Jego głowa cały czas jakoś tak podskakiwała. Wzięła go na stronę i wydała mu mnóstwo rozkazów. Minę miała bardzo poważną. Ale jego mina była na wpół poirytowana, im wpół rozbawiona.

Potem podeszli do nas.

- Dzieci, to jest Frank. Dopilnuje, żebyście znaleźli się w pierwszym samolocie, który stąd wylatuje.

- Co? - zdenerwowałem się. - Nie!

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby uratować twojego brata i pozostałych. Ale posłuchajcie - dodała znacznie ciszej, pochyliwszy się w naszą stronę. - Musicie natychmiast się stąd wydostać. Tu może się zrobić bardzo niebezpiecznie.

- Jak to? - spytała Sahalia.

- Co się dzieje? - chciał wiedzieć Niko.

- Idźcie z Frankiem! - nakazała pani Wooly. - Zapakuje was do pierwszego samolotu, żebyście stąd zniknęli. Ja muszę biec! I naprawdę zaczęła biec - uciekać od nas.

Frank zdobył wózek inwalidzki i posadził na nim Maksa.

- Za mną, smarkacze - rzucił przez ramię. Popatrzył na tablicę i powiedział: - Bramka A-40 - a potem dodał: - Dobra, miejmy to z głowy.

Niko wyglądał, jakby się wściekł. Sahalia chyba była przerażona. A ja kompletnie zdezorientowany.

Ale szliśmy potulnie za Frankiem, który zaprowadził nas do windy, a potem zjechał w dół do pociągu podwożącego do bramek.

Mój mózg bardzo powoli przetwarzał nadmiar danych.

Co ona miała na myśli, gdy powiedziała, że tu się może zrobić niebezpiecznie?

Czekaliśmy na peronie na pociąg. Byłem zupełnie oszołomiony.

Na tyle, że gdy pojawił się pociąg, odruchowo chciałem do niego wsiąść.

Frank mnie powstrzymał.

- Czytaj, co piszą, baranie! - warknął, wskazując mi znak: CYWILOM WSTĘP WZBRONIONY.

Żołnierze w przedziale rozmawiali z ożywieniem, poprawiali sprzęt, o coś się wypytywali. Wszyscy byli przejęci - może zaniepokojeni, ale czym?

Przyjechał zwykły pociąg i Frank wepchnął się do środka z wózkiem Maksa. Skupiliśmy się wokół nich.

- Co miała na myśli pani Wooly? - spytałem. - Dlaczego robi się niebezpiecznie?

- Nie mogę ci powiedzieć - mruknął. - Sorki, mały.

Niko posłał mi porozumiewawcze spojrzenie.

- Pewnie sam nie wie - powiedział do mnie lekceważącym tonem. - Na pewno nie ma dostępu do tajnych informacji.

- A ty co niby wiesz o armii? - warknął Frank.

- Przecież jest pan rezerwistą - odpyskowałem. - To nawet nie jest jeszcze armia.

- Rezerwiści też należą do armii! - zaprotestował Frank.

- Taaa? To czemu nie powiedzieli panu, co jest grane? - drwił Niko.

- Operacja Feniks - odparł dumnie Frank. - Seria bomb paliwowo-powietrznych. Detonacje na całym terenie NORAD-u i w Colorado Springs.

- Chcą spalić powietrze - jęknął Niko.

- No! Ale będzie jazda! - ekscytował się Frank. - Musimy spróbować wypalić te chemikalia, bo zaczynają się roznosić na większe obszary. To się nazywa oksydacja termalna, smarkacze.

- O czym wy w ogóle mówicie? - wybąkała Sahalia.

- Nie twój interes, panienko - syknął Frank.

Był bardzo dumny, że tak nas zszokował.

Przy bramce stał żołnierz z megafonem.

- Rozpoczyna się wchodzenie na pokład. Prosimy o ustawienie się w pojedynczej kolejce. Miejsca są nienumerowane. Prosimy o nierozdzielanie rodzin. Prosimy się nie przepychać.

Stanęliśmy w kolejce.

Ulysses i Max bawili się wózkami. Ulysses przechylał Maksa do tyłu, a Max za każdym razem wybuchał śmiechem.

- Już pan może nas tu zostawić - odezwał się Niko do Franka. Jakoś udało mu się to tak powiedzieć, jakby uważał Franka za nie wiadomo kogo. - Pewnie ma pan dużo ważnych spraw...

- Żebyś wiedział, że mam - mruknął Frank. Strzeliło mu głośno w karku. - Nie jestem tu po to, żeby niańczyć bachory.

- Już sami dotrzemy do samolotu - zapewniłem.

- No i dobrze - ucieszył się Frank. - Powodzenia, smarkacze.

I poszedł sobie.

- Nie lecę - szepnąłem do Nika, gdy tylko Frank zniknął z zasięgu wzroku. - Znajdę panią Wooly i pomogę jej coś zorganizować.

Niko nic nie powiedział.

- Tylko pomyśl - ciągnąłem. - Jedna kobieta, która próbuje przeprowadzić operację ratunkową jakichś dzieci, kto się nią przejmie? Ale jeśli ja z nią będę... W końcu jestem bratem jednego z nich. I dzieckiem. To, no, wiesz, wzrusza.

Niko obrócił się do Sahalii.

- Nie - syknęła.

- Zapakuj dzieciaki do samolotu - powiedział. - Znajdziemy was.

- Mowy nie ma! - zaparła się. - Przecież nawet nie wiemy, dokąd leci ten samolot!

- Znajdziemy was - obiecałem jej. - Przysięgam! Przysięgam, że was znajdziemy!

Uścisnęła mnie mocno. Potem uściskała też Nika.

- To nie ma być ostatni raz, kiedy cię widzę - powiedziała do mnie.

- Nie jest - zapewniłem.

Znow odwróciła się do Nika i go uściskała.

- Dziękuję - wyszeptała. - Przepraszam, że czasem zachowywałam się jak idiotka. Uratowałeś mi życie. Chyba z dziesięć razy. Taka jest prawda.

Potem odwróciła się do Maksa i Ulyssesa, którzy nadal rozrabiali na wózku.

- Chodźcie, chłopcy, czas wsiadać do samolotu.

Pchnęła wózek z Maksem, torując sobie nim drogę między ludźmi stojącymi w kolejce. Ulysses obejrzał się zdumiony, a Max ryknął:

- Zaczekaj! Co jest?!

- Szybko - szepnął Niko i popędziliśmy, ile sił w nogach.

ROZDZIAŁ 24

DEAN

DZIEŃ 15

PAYTON SPOJRZAŁ NA ASTRID. USTA ROZDZIAWIŁ W ZDUMIENIU. NAPRAWDĘ Był w szoku. Wykorzystałem tę chwilę jego nieuwagi, żeby złapać go za rękę - tę z pistoletem. Odsunąłem ją od siebie. A wtedy on spojrzał na mnie i warknął.

Obydwaj zaciskaliśmy teraz dłonie na pistolecie, ale ja leżałem na plecach na stole. Podniosłem nogę i kopnąłem go najmocniej, jak potrafiłem, nie puszczając pistoletu.

A potem strzeliłem, gdy zatoczył się do tyłu. I trafiłem.

Nie chciałem i chciałem tego zarazem. Strzeliłem mu prosto w pierś.

Runął na podłogę. Usta miał otwarte i wpatrywał się we mnie z okropną miną.

Ze zdumieniem.

- Chryste! - wrzasnął Jimmy. - Zabiłeś go!

Odsunął się ode mnie.

Astrid wyłączyła piłę.

Zeskoczyłem ze stołu. Ręce mi się trzęsły. Właśnie zastrzeliłem Paytona.

Caroline i Henry zaczęli piszczeć w panice. Nie chciałem, żeby widzieli zwłoki. Nie chciałem, żeby widzieli, jak go zabijam. Ale stało się. Wokół ciała zbierała się krew.

- Nie mogłem oderwać od niego wzroku.

- Hej! — zawołała Astrid. Odwróciłem głowę, żeby na nią spojrzeć. — Uratowałeś nas. Pamiętaj o tym.

- Och, Dean! — krzyknęła Caroline.

Oboje z Henrym rzucili się mnie przytulać.

Nawijali jedno przez drugie, pytali, czy nic mi nie jest, opowiadali, jak bardzo się bali, i chcieli wiedzieć, czy Payton na pewno nie żyje.

Jake jęknął cicho na podłodze.

Astrid zrobiła krok w jego stronę, ale Jimmy myślał, że to jego chce dorwać.

- P-p-proszę - błagał. – Nie zabijajcie mnie.

- Mam lepszy pomysł – odezwała się Chloe i wyłoniła się zza Astrid.

Wzięła z blatu sok i wyciągnęła butelkę w stronę Jimmy'ego.

- Pij!

- Nie chcę umierać! – łkał Jimmy.

- Och, na litość boską – warknęła Chloe. – To przecież nie trucizna, tylko tabletki nasenne.

Jimmy Śliczna Rączka przytknął butelkę do ust i zaczął pić.

- Do dna - nakazała Astrid.

I wypił.

- A z tą co mam zrobić? – spytała z pogardą Astrid.

Nadal trzymała Annę za włosy.

- Niech też wypije! – warknęła Chloe.

- Nie – zaprotestowałem. – Ją tylko zwiążemy.

- Powinna wypić, głupia krowa!

- Przecież nawet nie znam dawki, do cholery! – wybuch-
nąłem. – Zwiążemy ją i to wystarczy!

Chloe zrobiła skruszoną minę.

- To nie zabawa! - darłem się. – Tu chodzi o ludzkie życie!

I z mojej piersi wyrwał się rozpaczliwy szloch. Jimmy
Śliczna Rączka osunął się na podłogę.

Anna nic nie powiedziała, gdy wiązaliśmy jej ręce. Nawet:
„Dzięki, że mnie nie uspiliście”. Nic. Miała wręcz znudzoną
minę. Podeszła spokojnie do Paytona i wpatrywała się w ciało.
Żal mi jej było. Wyraźnie cierpiała na jakieś zaburzenia. Gdy
sprawa Anny została już rozwiązana, próbowaliśmy dobudzić
Jake'a.

Nie ulegało wątpliwości, że jednak wchłonął trochę środka
nasennego, nim zwymiotował.

- Już wiem! – wykrzyknął Henry. - Kiedy nasza mama nie chce zasnąć za kierownicą, pije napój energetyzujący!

- Możemy spróbować – przystałem na ten pomysł. Mieliśmy czas. Nawet jeśli było to dziecinne, dość naiwne rozwiązanie.

Kadeci pośpią dobre kilka godzin. Byliśmy bezpieczni. Ale musieliśmy wykombinować, co teraz z nimi zrobić.

Astrid usiadła. Wpatrywała się w twarz Jake'a. Przyglądała mu się w zamyśleniu. Chyba poczuła, że na nią patrzę, bo podniosła wzrok.

- To było bardzo odważne, Dean – powiedziała.

- Nie - mruknąłem. - Byłem przerażony.

- Co nie zmienia faktu, że to było odważne.

Wspomnienie twarzy Paytona po tym, jak go zastrzeliłem, wcale nie sprawiało, że czułem się odważny. Raczej robiło mi się słabo. Czułem się podłe, źle. Jakbym był brudny.

- Co teraz? Co my z nimi zrobimy? – spytałem.

Wrócili Henry i Caroline z napojem.

Otworzyłem Jake'owi usta i próbowałem w nie wlać zawartość butelki.

Zaczął się krztusić i pluć. Wydaje mi się, że wybudził go raczej instynktowny strach przed utonięciem niż składniki napoju, ale co za różnica.

- Może zaciągnijmy ich na dach i tam zamknijmy - zaproponowała Astrid. - Ale zostawmy sobie ich broń.

ROZDZIAŁ 25

ALEX

0 KILOMETRÓW

- CYWILOM WSTĘP WZBROPNIONY, CHŁOPCY - RYKNAŁ NA NAS ŻOŁNIERZ, własnym ciałem zasłaniając nam wejście do wojskowego pociągu.

- Nasza mama jest w siłach powietrznych - skłamał Niko. - Powiedziała, że mamy ją natychmiast znaleźć, gdy rozpocznie się Operacja Feniks!

- Yyy, aa... rozumiem - wymamrotał żołnierz i nas wpuścił.

Wślizgnęliśmy się do środka i zamknęły się za nami drzwi. Żołnierze wokół w ogóle nie zwracali na nas uwagi. Niektórzy byli z sił powietrznych, inni z lądowych. Było też chyba paru z marynarki. Panował kompletny chaos.

Pociąg zatrzymał się przy terminalu C. Tu miały startować samoloty wojskowe.

Przez wielkie oszklone okna, przez które powinno być widać jet blue 757, gotowego do zabrania pasażerów do Nowego Jorku lub Atlanty, zobaczyliśmy wojskowe samoloty, najróżniejsze modele helikopterów i wielkie airbusy przemalowane na wojskowe kolory. Przy kilku bramkach stały małe namioty do dekontaminacji. Pewnie musiał przez nie przechodzić każdy, kto wracał z akcji. Przy nich znajdowały się pojemniki z ubraniami i sprzętem.

Piloci i żołnierze biegali z przejęciem we wszystkie strony. Wielu już było w kombinezonach lotniczych i maskach. My byliśmy jedynymi osobami, które nie bardzo wiedziały, dokąd mają iść.

- Hej! - usłyszeliśmy jakiś głos.

- Spadamy - syknął do mnie Niko i ruszyliśmy jak najszybciej w przeciwną stronę, żeby uciec przed tym kimś, kto nas zauważył.

- Hej, dzieciaki!

Rozglądaliśmy się rozpaczliwie za panią Wooly.

- Przecież wy jesteście dziećmi Wooly!

Wtedy się zatrzymaliśmy.

Goldsmith, lekarz.

- Co wy tu robicie? Myślałem, że Wooly już dawno zapakowała was do samolotu!

- Musimy ją znaleźć - powiedziałem.

- Teraz nie ma czasu na takie rzeczy! - odparł. - Przyspieszyli operację.

- To kwestia życia i śmierci - przekonywał go błagalnym tonem Niko, chwyciwszy go za ramię. - Niech nam pan pomoże! Wie pan, gdzie ona jest?

- Ostatni raz widziałem ją pod bramką 33. - Goldsmith wskazał nam kierunek. - Ale się pośpieszcie!

Wiedzieliśmy więc, gdzie biec, i zaczęliśmy się przedzierać przez tłum pilotów i żołnierzy.

- Tam! - ucieszył się Niko i pokazał palcem.

Byliśmy na tyle blisko, że słyszeliśmy już jej krzyki.

- Christopherze Caldwell, znam cię przecież od dziecka! Dawaj ten helikopter i lećmy tam natychmiast!

- Nie, Wooly. Powiedziałem ci już, że to wykluczone. Mam rozkazy. Rozkazy!

- Ale to tylko dzieci, Caldwell. Spalą się na wiór. Możesz uratować grupę dzieciaków. Tylko pomyśl. Dadzą ci za to medal!

- To misja samobójcza. Nie ma mowy!

- Prosimy pana. - Podbiegłem bliżej i chwyciłem go za ramię.

- Tam jest mój brat, Dean. Mój starszy brat, naprawdę wspaniały, i liczy na nas!

- Alex, Niko! A wy co tu robicie? Na litość boską, powinniście już być w połowie drogi do Vancouver! - Pani Wooly posłała mi wściekłe spojrzenie.

- Bez nich nie polecimy - upierał się Niko. - To nie wchodzi w grę!
- Biegnijcie na ten cholerny samolot. Ja się tym zajmę.
- Powodzenia, Wooly - rzucił Caldwell, po czym odwrócił się na pięcie.

- To małe dzieci! - darłem się za nim. - Dwoje nastolatków, ośmiolatka i pięcioletnie bliźniaki! Pięcioletnie bliźniaki! Dotarliśmy tu aż z Monumentu, żeby ich uratować! Naprawdę nam pan nie pomoże?!

I nagle ten pilot w masce i mundurze pędził już ku mnie. Chwycił mnie mocno - naprawdę mocno - i usłyszałem jego głos przez elektroniczny głośniczek maski:

- Jakie bliźniaki z Monumentu?

Już otwierałem usta, żeby odpowiedzieć, ale zerwał maskę z twarzy i go poznałem.

To był pan McKinley. Nasz sąsiad.

To był pan McKinley, Dean.

Tata Henry'ego i Caroline.

- Gdzie oni są? - ryknął.

- W Greenwayu w Monumencie - powiedział Niko. - Zostawiliśmy ich tam trzy dni temu.

- Jak się tam najszybciej dostać? - pytał dalej.

- Powinniśmy wylądować na dachu - przeszedł do szczegółów Niko. - Jest tam kłapa, którą łatwo otworzyć od środka.

- Żadne „powinniśmy” - syknął pan McKinley, to znaczy kapitan McKinley. - Lecę sam.

- Co takiego? - wrzasnąłem. - Przecież my też musimy!

- Lecimy! - poparł mnie Niko.

- Wy, dzieciaki, zostajecie - wydarła się pani Wooly. - Bez dyskusji!

- Ale pan nas potrzebuje, kapitanie - upierał się Niko. -
Przecież to my wiemy, jak się dostać do środka.

- Najprawdopodobniej wszyscy zginiemy - warknął kapitan.

- Nie - zapewniłem go. - Uda nam się. Uratujemy ich!

Po prostu to wiedziałem.

Kapitan McKinley pokiwał głową, otarł oczy i poklepał mnie po ramieniu.

- Łapcie maski - rozkazał, wskazując nam ruchem głowy płócienne pojemniki przy bramkach. - Wybierzcie jak najlepsze.

- Dobra - rzuciła pani Wooly. - Jezu. Już biorę maskę.

- Pani nie leci - powiedział twardo kapitan. - Proszę tu zostać i pomagać przy ewakuacji.

- Powinnam lecieć - protestowała pani Wooly.

- To rozkaz!

- Ale...

Kapitan McKinley chwycił ją za mundur.

- Chce pani pomóc? To niech pani pędzi na wieżę i załatwi nam wylot, żeby nas nie zestrzelili jako dezertarów!

- Jasne! - obiecała. Głos jej drżał. - Tak zrobię.

Uściskała mnie i Nika i pobiegła.

Rzuciliśmy się szukać w pojemniku lepszych masek. Kapitan wrócił po chwili z kurtkami dla nas.

- Dość szczelne - wyjaśnił. - Wkładajcie. Za dwadzieścia minut zrzucają bomby nad NORAD-em. Do tego możemy doliczyć jakieś pięć, góra siedem minut, nim zrównają z ziemią Monument. Jeśli mamy lecieć, to natychmiast.

- Jak długo potrwa lot w tamtą stronę? - spytałem, gdy Niko jeszcze zapinał kurtkę.

- Wildcatem na pełnym gazie jakieś szesnaście minut.

- Zdamy! - powiedziałem.

Helikopter kapitana McKinleya wyglądał na szybką maszynę. Siadłem z przodu, Niko z tyłu.

Kapitan wcisnął jakiś kabelek w swoją maskę i dał mi znak, żebym zrobił to samo. Podłączyłem się do systemu komunikacyjnego. Słyszałem, jak dyspozytorzy w pośpiechu wydają polecenia pilotom samolotów i helikopterów.

Kapitan McKinley pochylił się i zaczął wciskać mnóstwo przycisków przede mną. Zahuczał silnik i zawirowały łopaty. Dobrze, że miałem wyciszające słuchawki - i tak było głośno.

- Wildcat 185, nie masz pozwolenia na start! Powtarzam, nie masz pozwolenia na start!

Pani Wooly nie dotarła do wieży!

- Wieża, tu kapitan McKinley, ruszam na misję ratowniczą.

- McKinley! - darł się głos w słuchawkach. - Co ty, do cholery, wyprawiasz? Nie masz pozwolenia!

- Wieża, przykro mi, ale muszę lecieć.

- Stój, Wildcat 185, otworzymy ogień...

- Wieża, tu chodzi o moje dzieci. Są w strefie Phoenix. Lecę po nie.

- Jezu, McKinley...

W tle słychać było mnóstwo głosów wykrzykujących rozkazy do pilotów innych samolotów, wydające pozwolenia na start i przypisujące maszyny do pasów.

- Leć po swoje maluchy, Hank - powiedział nagle głos z wieży. - Nich cię Bóg ma w swojej opiece. Wildcat 185, masz pozwolenie na start.

I inny:

- Powodzenia, McKinley!

I jeszcze inny:

- Ratuj swoje dzieciaki!

Start bynajmniej nie był gładki.

- Widoczność ograniczona - mruknął kapitan McKinley. - Ta atramentówka to cholernie skuteczna bomba. Na nasze szczęście wildcaty to cholernie szybkie helikoptery.

Ruszył w kierunku Monumentu, a ja trzymałem się mocno i choć jestem agnostykiem, zacząłem się modlić.

ROZDZIAŁ 26

DEAN

DZIEŃ 15

JAKE MIAŁ INNE ZDANIE NA TEMAT TEGO, CO POWINNIŚMY ZROBIĆ.

- Przecież pod sklepem stoi autobus i wiemy, że jest na chodzie! - upierał się. - Powinniśmy natychmiast jechać do Denver.

- Ale przyjadą po nas tutaj! - zaprotestowałem. - Może już są w drodze.

- Dean - zaczął Jake ponurym tonem. - Payton wykopał ich z autobusu. Mieliby dojść na piechotę do Denver? Byli bez szans.

Nie chciałem, żeby miał rację. Może im się udało.

- Tak czy siak, to przecież nie znaczy, że my nie damy rady dotrzeć do Denver – ciągnął. – Nie zatrzymamy się, choćby nie wiem co. I przecież mamy broń. Mnóstwo broni!

- Uważam, że Jake ma rację – oświadczyła Astrid. - Powinniśmy spróbować.

- Co?! – zdumiałem się. – Dlaczego? Przecież to ty mnie namówiłaś, żebyśmy zostali!

- Wiem, że szanse są niewielkie, ale... ale może udałoby się nam znaleźć resztę. Jeśli idą drogą...

To mi dało do myślenia.

- Przynajmniej rzućmy okiem na autobus - prosił Jake. – Żeby chociaż zobaczyć, czy działa!

Miałem już tak dosyć ukrywania się w tym mrocznym, zimnym sklepie. W głębi duszy chciałem się wyrwać na powietrze – nawet jeśli miało mnie ono zabić. Ale przeważało to, co powiedziała Astrid o moim bracie.

Rzeczywiście, przecież możemy ich znaleźć.

Ubraliśmy się w kilka warstw ciuchów.

- Ale my nie chcemy wychodzić na dwór! - protestował Henry, gdy podawałem mu kolejne ubrania.

- Tam jest tak strasznie – dodała Caroline.

- Tym razem będziecie ze mną – powiedziałem. - A wiecie, że nie pozwolę, by stała się wam krzywda.

Popatrzyli po sobie wyraźnie nieszczęśliwi.

- Odbiło wam czy co? – zaatakowała ich Chloe. - Przecież na to właśnie czekaliśmy! W końcu jedziemy do Denver! Zobaczymy rodziców i polecimy na Alaskę. A Alaska jest super! Ubierajcie się szybciej! No już!

- Okej – poddała się Caroline. - To jedziemy z wami.

Zostawiłem ich z ubraniami i podszedłem do Astrid.

- Jeśli naprawdę liczymy na to, że tam dotrzemy, to potrzebujemy zapasów – powiedziałem.

I nagle przypomniałem sobie o plecakach, które zapakowałem dla pana Appletona i Robbiego.

Pobiegłem do magazynu. Poświeciłem wokół latarką. Leżały za stertą skrzyń.

Rzuciłem je tam po tym, jak Robbie został zastrzelony. Wcisnęliśmy przecież wtedy dzieciom, że Robbie ruszył w drogę, więc logiczne było, żeby zniknął razem z plecakiem.

Po chwili weszli do magazynu Astrid, Jake i maluchy, na wszystkie strony wymachując latarkami. Modliłem się w duchu, żeby dzieci nie zobaczyły ciał. A jeśli nawet zobaczą, to żeby się nie zorientowały, co to jest.

- Te już są spakowane - powiedziałem.

- Dawaj! - ucieszył się Jake.

Założył cięższy plecak. Mnie wciąż dawało się we znaki ramię.

Mieliśmy wodę, jedzenie, apteczkę, dodatkowe ciuchy (rozmiary na dorosłych mężczyzn, ale mniejsza z tym) i latarki. Nie mogłem sobie przypomnieć, co jeszcze zapakowałem.

Ruszyliśmy gęsiego po schodach w kierunku klapy.

Opuszczaliśmy naszego Greenwaya i nawet nie mieliśmy czasu, by się zastanowić, czy powinniśmy pożegnać się z tym miejscem, któremu tyle zawdzięczaliśmy.

- Zaczekajcie! – wrzasnęła Chloe spod maski. – A co z Luną?

- Cholera! – zaklęła Astrid. – Jeszcze śpi! Wróć po nią. Wy już idźcie.

Wyszliśmy na dach.

Było ciemno.

W masce trudno było oddychać.

We wszystkich warstwach ubrań trudno było się poruszać.

Henry chwycił mnie za jedną rękę, Caroline za drugą.

Powoli przeszliśmy przez dach. Dotarliśmy do drabiny.

- Dean, ty pierwszy - zarządził Jake. - Potem dzieciaki, Astrid i ja.

Szczebelki były śliskie. Wyglądało na to, że jakiś grzyb porósł gumowe nakładki antypoślizgowe.

Ale żadne z nas nie spadło.

Nad dole czekaliśmy chwilę na Astrid. Zeszła z nowym plecakiem.

- Gdzie Luna? – spytała Chloe.

- Tu – powiedziała Astrid i obróciła się.

Spod klapy plecaka wystawał łeb śpiącej Luny.

- Tędy – poprowadził nas Jake.

Ruszyliśmy za nim przez parking. Coraz dalej od Greenwaya.

Nawet nie próbowałem mówić. W maskach było to za trudne.

Trzymałem Caroline za rękę po jednej stronie, Henry'ego po drugiej. Astrid trzymała za rękę Chloe. Przed nami szedł Jake.

Nasze światelka śmigwały zygzakami po parkingu, gdy marszerowaliśmy do autobusu.

Ziemia była czasami śliska. Trawa pod latarniami zupełnie zgniła. Zmiażdżone gradem samochody pokryte były rdzą i jakąś białą pianą.

Nic dziwnego, że Jake wrócił i że kadeci tak się cieszyli, kiedy udało im się włamać do sklepu. Ten martwy świat był przerażający.

Koła autobusu też były pokryte białym puchem piany, ale poza tym autobus prezentował się dość dobrze.

Najpierw to usłyszeliśmy. Potężne BUM, od którego zabręczało mi w uszach.

Podniosłem wzrok. Gdzieś nad NORAD-em na niebie widać było olbrzymią kulę ognia.

- Aaaa! — zaczęły się drzeć dzieci.

Kula była tak daleko od nas, że można by ją wziąć za fajerwerki.

Potem w miejscu, gdzie była przed chwilą ognista kula i wokół niej pojawiło się światło. Światło słoneczne.

W pierwszej chwili pomyślałem sobie, że to dobrze... Że może znaleźli sposób, żeby jakoś w końcu oczyścić powietrze.

Potem nastąpiły dwie kolejne eksplozje. Bombardowali niebo.

W naszą stronę już gnał gorący podmuch. Wiedziałem, że zaraz umrzemy.

ALEX

110 KILOEMTRÓW

ZOBACZYŁEM RESTAURACJĘ POD NASZYM MIASTEM! POTEM SKLEP 7-ELEVEN!
Byliśmy w Monumencie! Helikopter wyposażony był w reflektory i oświetlał cały Monument z lotu ptaka.

I już widzieliśmy dach Greenwaya - nasz dach! Tak się ucieszyłem. Oczami wyobraźni widziałem twarz Deana. Jak on się ucieszy na mój widok!

Pierwsze bomby nad NORAD-em wybuchły, gdy dotknęliśmy dachu.

- Mamy jakieś pięć minut! - krzyknął kapitan McKinley.

Wypięliśmy się z pasów i popędziliśmy po zniszczonym gradem dachu do klapy.

Była otwarta, co było dość dziwne, ale w tamtej chwili jakoś mnie nie zastanowiło, tylko jeszcze bardziej ucieszyło, bo przedtem wciąż się zamartwiałem, jak się dostaniemy do środka.

Niko i ja wpadliśmy na schody.

- Dean! Astrid! Jesteśmy! - wrzeszczeliśmy.

I wtedy zobaczyłem tę dziewczynkę.

Niską blondynkę.

Stała nad ciałami pana Appletona i Robbiego. Miała związane ręce.

- Hej, dziewczynko! - zawołał kapitan McKinley, zbiegając po schodach. - Przylecieliśmy cię uratować! Gdzie są pozostali?

Nie wiedział. Nie wiedział, kim ona jest!

- Ty! - ryknął na nią Niko. - Jak się tu dostałaś?

Kapitan McKinley minął nas i wbiegł do sklepu, nawołując Henry'ego i Caroline.

- Gdzie oni są?! - darłem się na dziewczynę. - Mów! Mów w tej chwili!

Płakała. Ja też.

- Poszli sobie! - załkała. - Na dach. Zabili wujka Paytona i sobie poszli!

Dobiegały nas krzyki kapitana McKinleya:

- Henry! Caroline!

- Kapitanie! - wrzasnąłem.

Wrócił pędem.

- Co takiego? Gdzie oni są?

BUM - rozległ się huk kolejnej eksplozji nad NORAD-em.

- Nie ma ich - załkałem. - Wyszli ze sklepu.

Zbladł. Jego twarz poszarzała.

- Rozumiem - powiedział tylko. Twardy jak kamień.

- Tak mi przykro! - ryczałem.

- Znikajmy stąd.

DEAN

DZIEŃ 15

JAKE BYŁ JUŻ W AUTOBUSIE. PRÓBOWAŁ RUSZYĆ, ALE POROŚNIĘTE BIELĄ KOŁA nie chciały się kręcić. Guma się rozkleiła czy coś.

Astrid stała przy mnie. Dzieci tuliły się do nas.

Będziemy tak patrzeć na bomby, aż nas pochłoną. To był cały nasz plan.

Każdy wybuch wstrząsał nami coraz mocniej. Każdy wydierał w niebie dziurę. Były coraz bliżej.

Przez wyszarpane dziury zalewały ziemię jasne, proste promienie światła. Mama nazywała takie promienie palcami Boga.

Myślałem o mamie, o tacie, o Aleksie. Przepęłniała mnie miłość.

Przyciągnąłem do siebie Astrid. Była taka piękna w tej masce i wszystkich warstwach ubrań. I maluchy też. Nawet Jake – teraz stojący już na stopniach autobusu, sapiący ciężko, z głową odrzuconą do tyłu, żeby patrzeć na bomby – nawet Jake był piękny. I myślałem sobie, jacy idealni jesteśmy w tej chwili. Jacy zawsze byliśmy.

Byłem gotowy na śmierć. A potem Chloe pociągnęła mnie za ramię i pokazała na sklep.

Obróciłem się i zobaczyłem. Helikopter na dachu. Odwróciłem się do Astrid.

- Biegiem! - krzyknąłem.

ALEX

110 KILOMETRÓW

NIEBO MIAŁO DZIURY. POWIETRZE BYŁO GORĄCE. SMAGAŁO NAS, GDY SZLIŚMY po dachu.

- Do helikoptera! - darł się kapitan McKinley.

Ratowaliśmy tę głupią blondynkę. Tę, która najmniej sobie na to zasłużyła.

Niko ją podsadził do helikoptera. Wciąż miała związane ręce, więc sama by sobie nie poradziła.

Kapitan McKinley i ja wsiedliśmy do kabiny. Wcisnął różne przyciski, tak jak poprzednio, ale teraz robił to jak robot. Wszystko tak, jak go wyszkolono. Idealny żołnierz. Ale człowieka już nie było.

Włączył coś jeszcze i przez mikrofon powiedział:

- Zapnijcie się tam z tyłu.

Niech ona się nie zapina, pomyślałem. Niech wypadnie i umrze.

DEAN

DZIEŃ 15

HELIKOPTER ZACZAŁ SIĘ WZNOSIĆ!

Odlatywali bez nas!

Wybuchy były coraz bliżej, coraz częstsze. Co kilka sekund zwały nas z nóg. To było jak bieg po dmuchanym zamku do skakania.

Zerwałem maskę. Dzięki energii 0 mogę przecież biec szybciej.

I poczułem to – przyływ mocy – i popędziłem. Gnałem ile sił w nogach.

ALEX

110 KILOMETRÓW

KAPITAN MCKINLEY PCHNAŁ DŹWIGNIĘ I HELIKOPTER SIĘ UNIÓSŁ.

Przez te bomby bujało maszyną na wszystkie strony. Z trudem udało mu się poderwać.

Ale to zrobił.

Ruszyliśmy, a wokół wciąż słyhać było BUM, BUM, BUM.

DEAN

DZIEŃ 15

WSKOCZYŁEM NA DRABINĘ. WSPINAŁEM SIĘ PO CZTERY STOPNIE NARAZ.

Wciągnąłem się na dach, rycząc:

- Alex! – Z całej siły się darłem: – Alex!

ALEX

110 KILOMETRÓW

W ŚWIETLE EKSPLOZJI ZOBACZYŁEM POSTAĆ NA SKRAJU DACHU. BIEGŁA W naszą stronę.

- Tam! - krzyknąłem. - To mój brat. Dean!

Był na dachu!

- Co?!-ryknął kapitan.

Chwyciłem go za ramię i pokazałem mu:

- To mój brat Dean!

- Trzymajcie się! - zawołał kapitan McKinley, zmagając się z dźwignią. Z trudem udało mu się z powrotem wylądować.

Dean pędził do helikoptera. Wskoczyłem na zewnątrz, żeby go wyściskać!

- Dean! Dean! Znalazłem cię.

Wtedy mój brat odchylił głowę i ryknął.

DEAN

DZIEŃ 15

WALCZYŁEM Z CHEMIKALIAMI. PRÓBOWAŁEM SIĘ OPANOWAĆ.

Niko powalił mnie na dach, a Alex zdjął swoją maskę i założył mi ją siłą na głowę.

Tymczasem Astrid, dzieciaki i Jake już wylaniali się z za krawędzi dachu.

ALEX

110 KILOMETRÓW

- DO ŚRODKA - KRZYCZAŁ KAPITAN MCKINLEY. - NATYCHMIAST!

Nie było czasu na powitania.

Dosłownie wrzucił swoje dzieciaki na tył helikoptera.

BUM, BUM, BUM. Eksplozje były coraz bliżej.

DEAN

DZIEŃ 15

ASTRID STARAŁA SIĘ JAK NAJSZYBCIEJ PRZYPIĄĆ DZIECI PASAMI.

Niko wepchnął mnie na fotel i też przypiął pasem.

Próbowałem oddychać. Próbowałem znów być człowiekiem.

- Miło cię znowu zobaczyć, Dean - powiedział Niko. Jego elektryczny głos usłyszałem w masce tuż przy uchu.

Alex przelazł do mnie po innych.

- Mamy cię! – mówił. – Mamy cię!

ALEX

110 KILOMETRÓW

- TRZYMAJCIE SIĘ! - KRZYKNAŁ KAPITAN.

Helikopter znów się poderwał.

Wpiąłem się w fotel obok Deana.

BUM!

Uderzył nas gorący podmuch.

Kapitan zmagał się z dźwignią steru, walcząc z wiatrem o panowanie nad helikopterem.

BUM! Kolejny wybuch na prawo od nas. Gorące podmuchy niemal zepchnęły nas w dół, ale on parł w górę, w górę.

A potem poleciliśmy w mroczne powietrze. Przed bombami, jak najdalej, w czarne niebo, które już rozsypywało się w drobny mak. Trzymałem rękę brata.

EPILOG DEAN

DZIEŃ 31

ZASŁUŻYLIŚMY NA HAPPY END. WSZYSCY. I WIERZĘ, ŻE ON KIEDYŚ NASTĄPI.
Tylko nie wiem kiedy.

Mamy szczęście, że jesteśmy w Quilchenie. Tak, śpimy jedno obok drugiego na wspólnych posłaniach w wielkich namiotach. Tak, uzbrojeni strażnicy nieustannie patrolują teren. I tak, nie mamy prawie żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Ale niektóre amerykańskie obozy są o wiele gorsze.

Słyszy się historie o uchodźcach przetrzymywanych siłą, o ludziach pozbawionych wszelkich praw. Nawet szalone plotki o tym, że na osobach o grupie krwi 0 przeprowadzane są eksperymenty. Kanadyjczycy przynajmniej traktują nas po ludzku. Są uprzejmi i w ogóle.

Żal mi ich. Nie mieli pojęcia, w co się pakują, kiedy zgodzili się przyjąć uchodźców.

Okazuje się, że ci, co przeżyli zagładę Four Corners, jak to się teraz określa w mediach, są agresywni i nieprzewidywalni.

Pierwsi uchodźcy ewakuowani do Calgary i Vancouver zaczęli od porzucenia swoich tymczasowych mieszkań i splądrowania okolicy.

Teraz Kanadyjczycy zgromadzili wszystkich w obozach i negocjują z rządem amerykańskim, sami nie wiedząc, co z nami począć. Biedacy, lepiej by na tym wyszli, gdyby nas nie przyjęli. Alex ma teorię, że częściowo czuli się winni, bo broń chemiczną opracowano w NORADZIE, a to wspólna inicjatywa Stanów i Kanady.

Jest pierwsza po południu, zwykle o tej porze uchodźcy gromadzą się w stołówce. Po lunchu pozwalają nam oglądać telewizję, ale tylko przez godzinę. Większe dawki wywołują u uchodźców wrogie nastroje i ogólne roztrzęsienie.

Rozdano nam kiedyś kilka minitabów, ale zainteresowanie nimi było o wiele mniejsze, niż można by przypuszczać.

Alex zdobył jeden i odkrył, że wszystkie dane zniknęły. Wszystkie nasze e-maile. Zdjęcia. Wiadomości. Kontakty. Konta. Wszystko przepadło i nie mamy nawet jak znaleźć naszych rodziców, skoro zginęły wszystkie dane.

Internet w ogóle stał się dość przygnębiający - działa tylko kilka głupich stron, ale głównie to same linki, które donikąd nie prowadzą, i luki. Zupełnie jakby Sieć cierpiała na amnezję.

Alex założył nam nowe konta. Jeśli nasi rodzice gdzieś tam są, to nas znajdą. Muszę w to wierzyć.

O drugiej po południu strażnicy udostępniają najnowsze listy nazwisk uchodźców i wszyscy rzucają się na nie w poszukiwaniu bliskich, których utraciliśmy.

Najpierw kod pocztowy, potem nazwisko.

Wciąż się modłę, że pewnego dnia zobaczę na liście naszych rodziców: 80132 Grieder James. I 80132 Grieder Leslie. Ale na razie nic.

Heyman Lori to kolejne nazwisko i imię, których uparcie wypatrujemy. Nikogo z rodzeństwa Astrid też dotąd nie znaleźliśmy.

Ulysses natomiast jakimś cudem odnalazł całą swoją rodzinę. Jego rodzice postanowili adoptować Maksa, jeśli nie pojawi się jego rodzina. Póki co, Max mieszka z nimi i jest zachwycony. Jakoś czuję przez skórę, że rodzina Dominguezów zapewni Maksowi bardziej tradycyjne i rozsądniejsze wychowanie niż jego biologiczni rodzice.

Mieszkają w Namiocie G, czyli tym dla rodzin z małymi dziećmi.

Tak zresztą jak i pani McKinley z bliźniakami. Chwila, gdy kapitan McKinley przyprowadził Caroline i Henry'ego do matki, była wspaniała, niezwykle radosna i jestem przekonany, że wszystko – wszystko, przez co przeszliśmy - było tego warte.

(Astrid przypomina mi tę chwilę, gdy budzę się w nocy z krzykiem. W koszmarach wciąż widzę twarz Paytona po tym, jak go zastrzeliłem. I tamtego faceta z wózka widłowego, którego pociąłem piłą).

Kapitan McKinley musiał wrócić do służby. Pani McKinley z czystej dobroci serca przygarnęła Chloe i Lunę. Gdyby w Namiocie J mieszkała z nami Chloe, chyba bym oszalał.

Pani McKinley i dzieci zabierają czasem Lunę na obchód szpitala. Luna zachowuje się, jakby zawsze miała być psem-terapeutą. Gdy ludzie ją tulą, macha ogonem i oblizuje im twarze. Opowieść o tym, jak ją uratowaliśmy aż z Monumentu, chyba daje im nową nadzieję. Luna stała się wręcz maskotką Quilcheny, z czego niezwykle dumna jest Chloe, która pielęgnuje ją z oddaniem i wyprowadza na spacer co najmniej osiem razy na dzień.

Kapitan McKinley powiedział nam, że widział się z panią Wooly w bazie lotniczej Fort Lewis-McChord. Z tego, co mówił, tak się ucieszyła, że udało nam się wyjść z tego cało i zdrowo, że najpierw ucałowała go w usta, a potem uparła się, że jemu i wszystkim innym będzie stawiać drinki przez całą noc.

Większość sama podobno wypila, już pod stołem oczywiście.

Wciąż nie mogę uwierzyć, że pani Wooly też żyje. Opowieść o tym, jak Ulysses zobaczył ją na lotnisku, należy do moich ulubionych. Kapitan McKinley mówi, że teraz pani Wooly stara się o przepustkę, żeby móc nas odwiedzić.

Alex, Astrid, Sahalia, Niko i ja mieszkamy w Namiocie J. To namiot dla sierot między ósmym a siedemnastym rokiem życia, ale ponieważ jestem tu z Alekssem, Astrid i Nikiem, w ogóle nie czuję się sierotą.

Dziś nie poszliśmy czytać list uchodźców. Mamy przyjęcie. Pani McKinley zorganizowała piknik. Poprosiła o pozwolenie dla nas wszystkich i dzięki temu możemy wyjść do strefy zewnętrznej Dołek 3. Wszyscy poza nami są na odczytywaniu list, więc mamy dla siebie cały trawnik.

Dziś są urodziny bliźniaków. Kończą sześć lat.

To piękny dzień. A na Dołku 3 jest akurat staw. Znaczą pewnie nazywa się to „oczkiem wodnym”. A za stawem rosną drzewa płonące złotem, pomarańczą i brązami. To musiało być bardzo ładne pole golfowe, zanim je zmienili w nasz obóz.

Pani McKinley rozłożyła na trawie prześcieradło jako koc piknikowy. Musiała długo oszczędzać jedzenie i niezłe się starać, żeby zebrać tyle przysmaków dla dzieci. Jest cała paczka czipsów (każdy bierze tylko po jednym, najwyżej dwa), torba chrupek serowych i nawet nieco wymięte pudełko pączków z czekoladową polewą. Prawdziwa uczta.

Caroline i Henry bawią się swoim prezentem - piłką nożną. Dołączają do nich Ulysses i Chloe, aż zaczyna się mały mecz, bo dwaj starsi bracia Ulyssesa zgodzili się stanąć w bramkach. Luna biega wokół, obszczekuje wszystkich i płacze się pod nogami.

Dorośli siedzą na zwiędłej trawie i obserwują grę.

Można odnieść wrażenie, że znów żyjemy prawdziwym życiem.

Max siedzi wygodnie na kolanach pani Dominguez. Widać, że sam też by chętnie zagrał, ale jego stopy wciąż się nie zagoiły. Pani Dominguez codziennie chodzi z nim do kliniki i stoi w długich kolejkach, żeby obejrzał go lekarz. Codziennie od dwóch tygodni, odkąd tu trafiliśmy.

Pani Dominguez głaszcze Maksa po niesfornej czuprynie, a jego wicherek i tak za każdym razem staje dęba. Głowę daję, że nigdy nie przypuszczała, że będzie matką takiego czupiradła.

- Skąd oni wytrzasnęli tę piłkę? - pyta Astrid, stając tuż przy mnie.

Obejmuje mnie w pasie, więc przytulam ją.

Myślicie, że przyzwyczailem się już do tego, że jest moją dziewczyną?

Ani trochę.

Promienieje w słońcu. Nie wiem, czy to z powodu ciąży, czy tylko dlatego, że tak ją kocham jak wariat, za każdym razem, gdy do mnie podchodzi, muszę wręcz osłaniać oczy. Jest taka jasna i piękna.

Ale nie jestem już przy niej tak nieśmiały, co jest fajne, i nie próbuję udawać kogoś, kim nic jestem.

Czuję, że ona już wszystko o mnie wie.

- Pewnie kapitan jakoś ją przesz mugłował – mówię, wskazując piłkę głową. - Przecież pani McKinley nie dałaby rady jej tu zdobyć w zwykłych wymianach.

Alex i Sahalia siedzą na trawie. Zbyt daleko, żebym słyszał, o czym rozmawiają, ale Alex coś mówi, na co Sahalia przewraca oczami i uderza go w ramię. Oboje wybuchają śmiechem.

Dziwne. Nie wiem, co zaszło między nimi w drodze. Niby nie są razem, ale niemal codziennie spędzają ze sobą dużo czasu. Sahalia obserwuje, jak Alex naprawia sprzęty, które ludzie do niego przynoszą, a Alex chodzi z nią szperać w pojemnikach z odzieżą z darów. Wkrótce jej urodziny i Alex już kombinuje, jak zdobyć na wymianach parę czarnych butów motocyklowych, o których marzy Sahalia.

Dziś Sahalia ma na sobie biały kombinezon malarski podwinięty do kolan i z obciętymi rękawami, a do tego czerwoną bandanę zawiązaną w talii.

Ta dziewczyna ma styl.

Nagle czuję, że Astrid się spina.

Jake. Idzie w górę przyblakłym zielonym wzgórzem. Ze swoim ojcem.

Odnaleźli się od razu pierwszego dnia, gdy tu przylecieliśmy.

Zazdrozczę mu (ojca).

Ale to nie szkodzi, bo i on zazdrości mnie (Astrid).

Ogólnie omijamy się szerokim łukiem.

- Hej! – woła Jake.

- Wujek Jake! Wujek Jake! - wrzeszczą dzieciaki i piszczą z radości. Porzucają piłkę i pędzą do niego, obskakując go ze wszystkich stron, aż razem upadają na ziemię i toczą się w dół wzgórza.

(Można by pomyśleć, że Max będzie markotny, że nie może dołączyć do tego tarboszenia się z Jakiem, ale on tylko wtula się mocniej w ramiona pani Dominguez i daje się jej rozpieszczać na wszelkie sposoby).

- Gdzie też mi się zapodział ten prezent? - przekomarza się Jake z dziećmi. Łaskocze Henry'ego, a potem Caroline. - Może na twojej szyi? A może tu pod paszką?

Dzieci chichoczą szczęśliwie.

- Jake wyciąga paczkę gumisiów i dzieciaki wariują z radości. Żelki nie stanowiły dla nich żadnej atrakcji w Greenwayu, gdzie mieliśmy setki paczek, ale teraz, gdy tak trudno je dostać, szaleją za nimi.

- Lepiej z nim – stwierdza Astrid.

- No – przyznaję.

Nie mówię jej tego, co wiem od Aleksa – że Jake jest na antydepresantach i chodzi do terapeuty.

Sam przecież może jej to powiedzieć. Rozmawiają czasami. Ona próbuje mu wyjaśnić, dlaczego wybrała mnie, a nie jego. On pewnie próbuje ją przekonać, żeby do niego wróciła.

Ale to się nie stanie. Nasz plan jest taki, że dziecko będzie mówiło do Jake'a „tatusiu”, a do mnie „Dean”, i tak jest okej. Nie muszę mieć tytułu. Ale chcę tę robotę.

- Hej! Czy wszyscy już są? - woła pani McKinley.

- A Niko? - pyta Astrid.

- Pewnie poszedł na odczytywanie list – odpowiadam. Z nas wszystkich Niko ma chyba teraz najgorzej. Snuje się wokół, z nikim nie gada. Nie udało mu się dowiedzieć niczego o bliskich.

I wciąż oplakuje Josie.

Czasami rysuje, ale nie chce nikomu pokazać.

- Chodźcie, chodźcie! — nawołuje nas pani McKinley. Wbiła dwie świece urodzinowe w dwa małe pączki.

Leżą na cienkim papierowym talerzyku.

Przed ich zapaleniem pani McKinley odgarnia sobie z oczu długie, kasztanowe włosy. Wygląda zupełnie jak bliźniaki, same piegi i niebieskawozielone oczy. Najbardziej je przypomina, gdy się uśmiecha i w kącikach oczu pojawiają się zmarszczki.

- Chciałam tylko podziękować wam za to, że tak się zajęliście moimi dziećmi. Nigdy nie zdołam się wam odwdziżyć.

Zawdzięczam wam... zawdzięczam wam wszystko... — urywa, bo głos ją zawodzi.

Pojęcia nie mam, jak nam się to udało. Naprawdę nie wiem, jak udało nam się uratować dzieciaki.

Chodzimy z Alekssem na długie spacerunki, gdy mieszkańcy Namiotu J mogą wyjść na dwór. Opowiadamy sobie, co się działo, gdy nie byliśmy razem. Nie czuję już żadnej różnicy wieku - gadamy jak równy z równym.

Rozmawiamy o przyszłości.

Nie potrafimy uwierzyć, że w ogóle jakąś mamy.

Rozglądam się wokół po twarzach przyjaciół i żał mi, że nie ma z nami Nika. Martwię się o niego. Smutno mi, że Brayden nie przeżył. Już zawsze będzie mnie prześladowała myśl o tym, jak zginął. I biedna Josie - jej ostatnie chwile musiały być koszmarem, który przechodzi ludzkie pojęcie.

Patrzę na panią McKinley i uśmiechnięte bliźniaki.

Patrzę na Sahalię, której nadal udaje się wyglądać *cool*.

Na Chloe, której nadal udaje się być nieznośnym bachorem.

Na braci — Ulyssesa i Maksa, stojących z resztą rodziny Dominguezów. Szkoda, że nie ma z nami Batiste'a — że nie może stanąć obok nich, bo przecież i on należy do rodziny. Ale Batiste jest (z tego, co wiemy) w Calgary. Głowę daję, że myśli o nas bez ustanku.

Patrzę na Jake'a i jego tatę. Jake w końcu jakoś sobie z tym wszystkim chyba poradzi.

I na mojego brata, Aleksa, którego już nigdy, przenigdy nie opuszczę.

I na piękną Astrid, dla której gotów byłbym zabić - i już to zrobiłem.

Zalewa mnie fala wdzięczności i spływa mi łzami po policzkach. Ale to nie szkodzi, bo gdy Henry i Caroline zdmuchują świece, wszyscy płaczą.

Po trawiastym wzgórzu zbliża się do nas jakaś postać. To Niko. Biegnie.

- Nie uwierzcie! - drze się zasapany. — Patrzcie! Patrzcie! Wymachuje pierwszą stroną papierowej gazety.

Papierowe gazety wróciły do łask przez to całe zamieszanie z Siecią. Wszyscy podchodzimy.

Nagłówek brzmi: DRYFUJĄCE CHMURY WOJSKOWYCH CHEMIKALIÓW.

Na myśl o tym, że chmury rzeczywiście mogły zacząć dryfować, ściska mi się żołądek w panice.

Ale to nie tym tak się przejął Niko.

Wskazuje nam inny, mniejszy nagłówek: BUNT W MISSOURI!

A pod tym: Protesty uchodźców w obozie na uniwersytecie Missouri.

Puka palcem w kolorowe zdjęcie.

Jakiś staruszek. Ktoś osłania go przed strażnikiem wymachującym pałką.

- To pan Scietto! — krzyczy Alex.

A tuż przy nim, ochraniając pana Scietta przed ciosem, stoi dziewczyna z dwoma żyrafimi koczkami.

Josie.

Ta dziewczyna na zdjęciu to Josie!

- Jadę po nią – mówi Niko, patrząc to na Aleksa i mnie, to na Jake'a. – Kto jedzie ze mną?

PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować mojej redaktorce i wydawcy Jean Feiwel za wsparcie i rady. Holly West, dziękuję ci za to, że znasz już ten tekst niemal na pamięć, i za wszystkie twoje wspaniałe pomysły. Tak się cieszę, że was mam. Muszę również podziękować Dave'owi Barrettowi, sekretarzowi redakcji, za cierpliwość oraz fantastycznej adiustatorce Anne Heausler za jej pracę nad tą powieścią.

Dziękuję mojej agentce Susannie Einstein za wsparcie i doskonale rady. Mam też wielkie szczęście, że w mojej drużynie są Stephen Moore, Kim Stenton i Sandy Hodgman.

Rich Deas ma wspaniałe pomysły, jeśli chodzi o grafikę tej serii. Dzięki, Rich. Wielkie podziękowania należą się też KB, April i Katie za zaprojektowanie skrzydełek i wnętrza książek. Karen Frangipane i Kseniu Winnicki, dziękuję wam za pomoc we wprowadzeniu „Monumentu 14” do świata cyfrowego.

Do sukcesu tej serii przyczynili się też bardzo: Angus Killick, Elizabeth Fithian, Allison Verost, Kate Lied, Kathryn Little i inne osoby ze wspaniałych działów marketingu i sprzedaży w Macmillan Children's Group. Muszę przyznać, że wyprawy z Allison, Kate, Elizabeth Mason i Courtney Griffin były tak świetną zabawą, że wręcz trudno uwierzyć, że to legalne. Zresztą czy aby wszystko było legalne? Nie jestem pewna. To, co się działo w Pensacoli na przykład, nadal wydaje mi się dość podejrzane.

Chciałabym podziękować kompozytorowi Paulowi Libmanowi za napisanie muzyki do piosenek *Get Up* oraz *Leave Me Be*, których można posłuchać na emmylaybourne.com. Dziękuję

Avie Anderson za wspaniały wokal i Uriemu Djemalowi ze studia MadPan za tak piękne nagranie piosenek.

Świetna drużyna krytyków, matka i syn, Kristin i Andrew Bair, mieli niesamowity wkład w *Niebo w ogniu*. Dziękuję wam. Dziękuję też bardzo Elizabeth Harriman za jej pomoc przy scenie, w której Batiste odnajduje matkę. A Ricie Arens i Scottowi Taylorowi za wspaniałe krytyczną lekturę.

Jen Pattap, Jeanette i Anthony LoPinto z Threefold Café – dzięki za karmienie mojej duszy i serca od samego początku tej serii!

Wdzięczność, jaką czuję wobec moich rodziców, jest nie do opisanego na kilku stronach. To samo dotyczy mojego męża Grega i naszych dwojga dzieci, Elinor i Reksa. Pisarz powinien niby potrafić wyrażać takie uczucia, ale brak mi słów, by opisać, jakie to szczęście, że mam tak wspaniałych ludzi do kochania.